

**Jaga**

**RYDZEWSKA**

**ATALAYA**

**wojownicy**

superNOWA

WARSZAWA 2005



## Rozdział I

Delfi Douren miała piękną twarz, długie nogi i jasnoblond włosy sięgające pasa. Chłodny podmuch zaróżowił jej policzki. Stojąc tak na wietrze, ponad wzburzonym oceanem, wyglądała jak ucieleśnienie męskich marzeń.

Sule jednak patrzył na nią z uczuciem dalekim od zachwyty. Dziewczyna dziś właśnie rozpoczynała pracę jako szpieg. Nawet przy tej okazji musiała się spóźnić.

- Delfi, pora na nas!

Wiatr porwał słowa i zamienił w urywane dźwięki. Piękność podeszła ku niemu, stąpając tanecznym krokiem. Kolejny podmuch zadarł jej sukienkę i na moment owinał materiał wokół bioder, odsłaniając nogi w całej ich krasie. Wzrok Suleya mimo woli pobiegł w ich stronę, lecz sukienka natychmiast opadła na miejsce.

- Mówiłeś coś? - spytała Delfi, podnosząc ogromne orzechowe oczy. Mimo porywistego wiatru udało jej się szeroko otworzyć powieki.

- Mówiłem, że czas iść.

- As Sul, proszę, jeszcze tylko jedna mała chwileczka! Zrozum, żegnam się z oceanem!

Sule oparł się o barierkę i postanowił czekać cierpliwie. Delfi, cóż, bywała egzaltowana. Egzaltacja wynikała nie tyle z jej natury, ile raczej z przekonania, że dodaje jej to uroku w oczach mężczyzn. W tym akurat momencie było to przekonanie całkowicie bezpodstawne.

Oboje stali na szerokiej grobli, biegnącej wzdłuż brzegu. Delfi rzeczywiście mogła się stąd napawać wspaniałą panoramą. Hen, po horyzont, ciągnął się stalowoszary, rozkołysany ocean z białymi grzywami piany na wysokich falach. Tuż nad wodą, pędzone wiatrem, sunęły ciężkie od deszczu chmury, mroczniejące w oczach. Całe ogromne niebo przemieszczało się w ucieczce przed huraganem. Wiatr wciąż się nasilał. Lada moment położy fale jak żyto, a grobla zadrży od uderzeń sztormu. Jak okiem sięgnąć, na morzu nie zostało już ani jednej łodzi.

Po przeciwnej stronie grobli leżała łąka porośnięta młodziutką, jasnozieloną trawą. Dalej szumiał ciemny las. Na środku łąki stał zaś gotowy do startu kosmolot.

I czekał jedynie na Delfi.

Z rozwianymi włosami i zadumany wyrazem ślicznych oczu, Delfi nadal wpatrywała

się w przestrzeń. Wiatr dął coraz mocniej, fale z łoskotem rozbijały się o groblę. Jak na początek wiosny było wyjątkowo ciepło. Delfi, w wełnianej sukience, nie zdążyła jeszcze zmarznąć.

Sule spojrzął na zegarek, a potem na romantycznie upozowaną dziewczynę.

- Wiesz - zawołał, przekrzykując fale - robią ci się jakieś paskudne czerwone plamy na skórze! To pewnie przez ten wiatr, prawda?

Delfi drgnęła. Przytknęła dłonie do twarzy i rozejrzała się spłoszona, jakby w poszukiwaniu najbliższego lustra.

- Może naprawdę już chodźmy! - pisała. - Zaraz zacnie padać!

Odwróciła się i lekko zbiegła na dół, na łąkę. Sule spokojnie ruszył za nią. Wyraz jego szerokiego oblicza w ogóle się nie zmienił.

Niebo szarzało, pomrocniało. Brodząc w wybijanej trawie, Sule poczuł na policzkach pierwsze krople deszczu i odruchowo zadarł głowę ku chmurom. Ledwo wszedł na pokład, lunęła rześista ulewa.

Delfi czekała przy włazie. Uśmiechnęła się i odrzuciła w tył długie pasma blond włosów, jakby zamierzała strzepnąć z nich kropelki deszczu. Spacerowym krokiem przemierzyła służę, weszła do sterowni i stanęła na środku, rozglądając się z zaciekawieniem.

Sterownia wyglądała zwyczajnie. Dla Delfi, owszem, widok mógł stanowić atrakcję. Jako ksenolog latała już chyba kilka razy, choćby w ramach szkoleń, ale z pewnością nie stać jej było na własny statek.

- I ty naprawdę umiesz to pilotować?

Sule uśmiechnął się. Całkiem nieźle jej wyszedł ten nabożny zachwyt. No proszę - i podniosła ku niemu orzechowe oczy z wyrazem płochliwej sarenki... Dziewczyna zna się na rzeczy.

- Pilotowanie to na ogół żadna sztuka. Wystarczy dać polecenie komputerowi, zaraz sama zobaczysz. Siadaj i zapnij pasy, startujemy.

Usiadła, a raczej usadowiła się wdzięcznie, zakładając nogę na nogę. Sule zajął miejsce obok. Fotel aż stęknął, rozciągając się pod jego ciężarem.

Po kolei włączył urządzenia i wydał dyspozycje, wprowadzając nazwę i ogólne współrzędne docelowego ciała niebieskiego.

- Przyjąłem - powiedział komputer. - Włączam sztuczną grawitację. Rozpoczynam procedurę korytarza.

Bez najmniejszego udziału pasażerów statek powoli uniósł się znad łąki. Ulewa obmywała go strugami, rozpryskującymi się na burtach.

- Widzisz? - mruknął Sule. - Dziecko by potrafiło.

Delfi splotła dłonie, wpatrzona w burzowe chmury.

- Trochę się boję.

- Nie ma czego. Wykonamy zwyczajny skok w nadprzestrzeni, tyle że na pokładzie, a nie przez teleporter.

- Nie o tym mówię. Myślałam o pracy. Nigdy jeszcze nie byłam w Sol Wangkuo.

- Czemu wybrałaś akurat tę specjalność? Niewiele kobiet się na to decyduje.

- Powiem ci, jeśli nie będziesz się ze mnie śmiał. Żał mi ich było, wiesz, As Sul?

Popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy - Solaryjczyków?

- Tak. Wiem, że to brzmi bezsensownie. Koledzy na studiach też mi mówili, że Solaryjczycy są gorsi od drapieżnych kałamarnic, że nie mają ludzkich uczuć, są nienormalni i chorzy... Ale to przecież nie ich wina.

- Zanadto uogólniasz - powiedział tylko.

- Co ja poradzę, że mi ich szkoda? Wszystkich. I ludzi, i podludzi.

- Nadludzi też?

Delfi uśmiechnęła się, lekko przechylając głowę.

- O nadludziach za mało wiem. Nigdy żadnego nie widziałam, nawet na zdjęciu.

- Nie chcę cię martwić, ale raczej ich nie zobaczysz. Oni rzadko opuszczają Arkadię. To podobno wyjątkowo piękna planeta, ale nadludzie żyją tam jak ryby w złotym akwarium. Muszą mieć zgodę cesarza na każdą teleportację, więc kiedy już mogą się wyrwać, wybierają te rejony Sol Wangkuo, które są dla nich atrakcyjne. A Ziemia to tylko prowincja. W Sol Wangkuo jest wiele ciekawszych miejsc.

- Wymawiasz tę nazwę tak jak oni - zauważyła.

- Ty też powinnaś.

Zatrzepotała rzęsami, tak długimi, że Sule prawie widział, jak muskają jej policzki.

- Kiedy, As Sul, ich wymowa jest po prostu brzydka! „Sol-Uang-Kuo”, trzy sylaby i dwa tony, a wszystko razem brzmi jak... jak miauczenie. Zresztą cała ta nazwa i tak stanowi kompletny anachronizm, prawda? „Uang-kuo” to po chińsku „królestwo”, a przecież już od dawna rządzi nimi cesarz. A „Sol” to Słońce Ziemi, bo gwiazda Arkadii nazywa się Asterion. Czy ktoś rozsądny nazwałby całe wielkie cesarstwo imieniem jakiejś peryferyjnej gwiazdki? Skoro lekceważą sobie Ziemię, powinni być konsekwentni!

Sule pokręcił głowę. Oj, niezupełnie. Doprawdy, wolał już Delfi w postaci egzaltowanej niż jako erudytkę. W ciągu trzech lat studiów powinno obić się jej o uszy, że Słońce - każde w ogóle słońce - nadal stanowi w Sol Wangkuo potężny symbol religijny i

pełni ważną rolę w mistyce Doskonałych, już nie wspominając, że znajduje się też w herbie cesarza i całego państwa. Delfi, jak to Delfi, pewnie spóźniła się na ten akurat wykład.

- Pora otworzyć tunel - powiedział na głos. - Popatrz, wskaźnik zmienił kolor. To sygnał, że statek jest gotów do teleportacji.

W ciągu następnych kilku minut mieli pokonać z górą trzy i pół tysiąca lat świetlnych. Wyłonią się o minutę lotu od bazy, ukrytej pod powierzchnią ciemnej strony Merkurego. Delfi zostanie tam jako stażystka przez następne cztery miesiące. Była to jej pierwsza w życiu placówka - w zasadzie bezpieczna, bo baza prowadziła jedynie nasłuch infopola i rejestrowała ważniejsze dane. Delfi ani razu nie zetknie się z żywym Solaryjczykiem. Cały bagaż już na nią czekał; zdążyła go wysłać, nim w bazie zepsuł się teleporter. Tylko z powodu tej awarii Sule grzecznościowo podrzucił ją statkiem. W normalnych warunkach personel był tunelowany bezpośrednio na miejsce.

- Korytarz otwiera się - oznajmił komputer. - Zaczynam manewr.

Sule wygodnie rozparł się w fotelu, przymykając powieki. Nadwymiarzy i tak nie poddawały się ludzkiej percepcji, a zjawiska w nich zachodzące wykraczały daleko poza granice współczesnej wiedzy. Człowiek tylko prześlizgiwał się przez bezkresne terytoria Nieznanego... terytoria, których na zdrowy rozum powinien unikać, bo był tam zupełnie bezradny.

- As Sul! Coś jest nie tak! - odezwała się Delfi dziwnie piskliwym głosem.

Sule otworzył oczy.

Poderwał się tak gwałtownie, że pasy werżnęły mu się w ciało.

Ekran jarzył się blaskiem potężnych eksplozji. Tunel wyrzucił ich znienacka gdzieś w otwartym kosmosie. Nigdzie w zasięgu detektorów nie było ani Merkurego, ani żadnej innej planety. Statek mknął prosto jak strzelił na jakieś zawieszony w próżni konstrukcje, podobne do splecionych w zwoje, monstrualnych dżdżownic. Konstrukcje wybuchały bezgłośnie, segment po segmencie, jakby coś rozsadzało je od środka.

- A niech to szlag!

- Gdzie jesteśmy? - wyjąkała pobladła Delfi. - Co się dzieje?!

Sule nie tracił czasu na odpowiedź. Gorączkowo usiłował wyprowadzić kosmolot poza zasięg działań bojowych. Wisząca w próżni forteca ginęła, rozrywana eksplozjami, lecz do końca rozpaczliwie broniła się przed niewidzialnym napastnikiem, strzelając na oślep po całej otaczającej przestrzeni.

Nie zdążymy! - przemknęło Suleyowi przez głowę. Jesteśmy za blisko!

Statkiem targnął potężny wstrząs. Sule i Delfi krzyknęli na dwa głosy. Ekran pękł z

hukiem. Sule zdążył jeszcze zobaczyć, jak ściana pędzi w jego stronę.

Moment później włączył się przenikliwy alarm. Niepotrzebnie. I tak nikt go już nie usłyszał.

## Rozdział II

Pierwszym, co zarejestrował Sule, było uczucie dotkliwej niewygody.

Chwilę potem mógł już wyróżnić składowe tego uczucia.

Głowa pękała mu z bólu, ręce miał wykręcone do tyłu i unieruchomione, do gardła podchodziły mu mdłości i nie mógł podnieść powiek. Leżał na czymś twardym, ale zarazem miał dziwne wrażenie, że unosi się w powietrzu.

Gdy trochę oprzytomniał, skupił uwagę na własnym organizmie. Bez wysiłku zlikwidował nudności i tętniący w skroniach ból. Jego ręce zostały jednak mocno związane, oczy zalepione, zaś wrażenie nieważkości było ubocznym skutkiem narkotyku, który krążył w krwioobiegu.

Dostał hillium. Jeden z licznych środków zwanych popularnie eliksirami prawdy.

Wyczuł koło siebie ruch. Ktoś podszedł i podetknął mu pod nos jakieś paskudztwo o ostrym zapachu. Sule mimo woli poruszył głową w odruchu protestu. Woń była tak drażniąca, że pod zaklejonymi powiekami wezbrały łzy i przeciskając się pod nieszczelnym plastrem popłynęły po twarzy. Wówczas tamten, który pochylał się nad nim, złapał go za ramiona i posadził, opierając o gładką, zimną płaszczyznę. Musiała to być ściana, lecz Sule, wciąż cierpiący na zaburzenia równowagi, czuł się tak, jakby wisiał głową w dół, dryfując w przestrzeni.

Nagle ktoś zaczął odbierać jego myśli. Albo ten człowiek był mentatem, albo po prostu włączył telepator.

Mglisto i niewyraźnie Sule zaczął wspominać katastrofę statku. Tunel musiał być zwichrowany, co za pech... Przywołał obrazy gładkich ud Delfi, jej kuszącego ciała...

Pytanie, gdy w końcu padło, zostało wypowiedziane na głos:

- Kim jesteś?

Słowa należały do języka xinés, powszechnie używanego w Sol Wangkuo. Głos był cichy, niski, niewątpliwie męski.

- Jestem podczłowiekiem - wymamrotał Sule. Mięśnie mu ścierpły. Powoli, ostrożnie spróbował zmienić pozycję. Już zaczynał się orientować, gdzie jest góra, a gdzie dół. - Co do cholery... Hej, ty tam, czy ja mam związane ręce? Czemu nie mogę otworzyć oczu?

- Jak się nazywasz, podczłowieku?

Intonacja pytania była szczątkowa jak u maszyny.

- Ja? Sule. To znaczy Suleyman. Suleyman Raszd.

- Gdzie mieszkasz? - spytał drugi głos, zaskakująco miły i dźwięczny jak srebro, bez wątpienia dziewczęcy.

- Na Chotał-Ekwa.

Była to pograniczna planeta, krążąca wokół jednej z bliższych gwiazd konstelacji Lautaro.

- Ile masz lat, Sule?

- Trzydzieści dwa arkadyjskie.

- A wzrostu?

- Dwieście siedem centymetrów.

- Ile ważysz?

- Nie wiem dokładnie. Gdzieś ze sto trzydzieści kilo.

- Sto trzydzieści, akurat! - mruknął męski głos, najwyraźniej nie do jeńca, lecz do dziewczyny. - Widywałem już szafy dwudrzwiowe, które były od niego mniejsze! Założę się, że dawali mu hormony. Podludzie nie bywają tacy ogromni.

- Nikt mi nic nie dawał... - Sule znów poruszył się niemrawo. - Ślicznotko, jesteś tam? Czemu nic nie mówisz? Masz bardzo ładny głos.

- Czym się zajmujesz, Sule?

- Jestem handlowcem. Wożę eleuterium z Chotał-Ekwa do Sundhainarf.

Beznamiętny głos mężczyzny bardzo dokładnie wypytał go o działalność, płacone haracze, stosunki na Chotał-Ekwa i prywatne sprawy rodzinne Suleymana Raszda. Sule recytował bez zająknięcia. Znał swoją legendę na pamięć.

- Skoro wracałeś właśnie z Sundhainarf, czemu nie masz pieniędzy? Wszystko ci poszło na sudańskie dziwki?

- Nie, skąd. Wracałem z sześcioma tysiącami czerwoców.

- Gdzie je ukryłeś?

- W skrytce na statku.

Oczywiście mężczyzna natychmiast kazał mu opisać skrytkę.

- Wiesz coś o tym, Oria? - zwrócił się do dziewczyny.

- Przeszukaliśmy wrak, ale sam przyznasz, że skrytka jest pomysłowa - usprawiedliwił się miły głos ze skrucą. - Nikt z naszych jej nie znalazł.

- Co się stało z jego statkiem?

- Został w kosmosie, *džoude shi* - odparła stropiona dziewczyna. - Porządnie oberwał plazmą... remont kosztowałby majątek. Zresztą ten statek w ogóle był jakiś dziwny.



Sule oczekiwał, że mężczyzna wybuchnie gniewem - sześć tysięcy sundańskich czerwońców stanowiło niebagatelną kwotę - ale tamten bez słowa komentarza wrócił do przesłuchiwania jeńca.

- Kto z tobą leciał?

- Tylko Delfi. Moja kuzynka.

- Sypiasz z nią? - zagadnęła dziewczyna.

- Nie.

- Dlaczego? Wolisz chłopców?

- Chłopców? Skąd. Ja nie jestem omniseksem.

- Każdy jest.

- Bzdura. Jeszcze się taki nie narodził, którego by podniecało wszystko, co się rusza.

Albo i nie rusza.

- Naukowcy twierdzą co innego.

- A, tak - zgodził się Sule sennie. - Naukowcy. To chyba ci sami faceci, którzy mawiają, że jeśli fakty nie pasują do teorii, tym gorzej dla faktów?

- Ściślej biorąc, podobno powiedział to Hegel - zauważyła dziewczyna z cieniem uśmiechu w głosie.

- Aha. Czyli już wiem, czemu popiersia Hegla stoją w każdym Pałacu Filozofii. Mądra jesteś, ślicznotko, wiesz?

- Wracając do twoich preferencji, Sule, kogo wolisz najbardziej?

Sule uśmiechnął się. Zdawał sobie sprawę, że jego uśmiech musi wyglądać idiotycznie.

- Dziewczyny. I tylko dziewczyny.

Teraz znów odezwał się mężczyzna, zimno i bezosobowo:

- Czemu twoja kuzynka zasnęła po hiliium?

- Nie mam pojęcia.

- Czy ktoś ją uodpornił na eliksir?

- Delfi? Ona pewnie ma alergię. Jest wyjątkową alergiczką.

- Sprawdź to, Oria - mruknął tamten.

Zapadła chwila ciszy. Nagle wrażenie obcej obecności zniknęło z umysłu Suleya jak zdmuchnięte. Przesłuchanie dobiegło końca; wyłączono telepator.

- Co z nimi zrobimy? - przerwała ciszę dziewczyna.

- Wejść w ogólną pulę zysków do podziału.

- Nie są wiele warci. To przecież biali. Dziewczyna ma fatalnie brzydką twarz, za

długi nos, hodowlane rzęsy, no i te naturalne jasne włosy, okropność. Nikt za nią nie da więcej niż piętnaście czerwoców. Tego Raszda można by oszacować na trzydzieści pięć, czterdzieści...

- Liczysz cenę od metra czy od kilograma?

- Nie bądź złośliwy, Dag. On jest może trochę przyciężki, ale cała jego masa to kośćce i mięśnie. I spójrz, naprawdę jest ładny.

- Przepiękny. Mógłby grać King Konga prawie bez charakteryzacji.

- Bzdury wygadujesz. Zobacz, jakie ma regularne rysy. I co za nos. Myślę, że to się kiedyś nazywało „rzymski profil”.

- A nie grecki? - zakpił mężczyzna.

- Nie, grecki wyglądał inaczej. Nos był zrośnięty z czołem.

- A u niego jest zrośnięty z uchem?

- Idźże z tą twoją matematyczną precyzją. Świetnie wiesz, o co chodzi - odparła rezolutnie Oria.

- Skoro King Kong tak ci się podoba, weź go sobie.

- W ramach rozliczeń tongu?

- Nie. Oboje wchodzi do majątku organizacji. Ja nimi dysponuję. Dziewczynę zatrzymam do własnego użytku, a Suleymana Raszda weźmiesz ty.

- Dzięki, Dag. To największy prezent, jaki dostałam kiedykolwiek.

- Ciekaw jestem, co z nim zrobisz - zauważył mężczyzna, znów kpiąco.

- Pomyślę. Ostatnio brakowało mi kogoś, kto by mnie nosił na rękach i czcił ziemię, po której stąkam.

- Masz moje błogosławieństwo. On cię uważa za ślicznotkę, ty jego za ślicznotka. Pasujecie do siebie.

Sule słuchał ich z uwagą. Wiedział już, dokąd trafił. Dziewczyna napomknęła o rozliczeniach tongu, zaś słowo „tong” oznaczało triadę - podludzką organizację przestępczą.

Usłyszał szmer otwieranych drzwi, a potem zbliżające się kroki.

- Zabierzcie go do apartamentów dostojnej Niao Ichi - rozkazał mężczyzna.

- Tak jest, dostojny Yaoyingu - odparł natychmiast inny męski głos.

Silne ręce złapały Suleya i postawiły na nogi. Zachwiał się. Raczej wlokąc jeńca, niż prowadząc, mężczyźni wkrótce dotaszczyli go na miejsce. Sule został dokądś wrzucony tak brutalnie, że upadł na twarz. Jak na obyczaje praktykowane w triadach, i tak odnosili się do niego z zaskakującą łagodnością: ani razu nikt go nie uderzył ani nie kopnął. Był tym zdziwiony, dopóki nie usłyszał głosu dziewczyny, odprawiającej podwładnych. Aha, zatem

transport odbywał się pod okiem właścicielki.

Ktoś - chyba dziewczyna - dotknął jego kajdanek.

Moment później ramiona, uwolnione, opadły mu wzdłuż tułowia. Ledwo zdążył usiąść, drzwi zamknęły się znowu. Został sam.

Pierwsze, co zrobił, to zdał plastry z powiek. Potem zamrugał i rozejrzał się dokoła.

Siedział pośrodku niedużego pomieszczenia bez okien. W jednej ze ścian zamontowano drzwi, w przeciwległej - ekran widokowy, a pozostałe były ozdobione kompozycją z wiszących roślin. Z sufitu sączyło się miękkie, białe światło. Całą podłogę pokrywała mięsista wykładzina. Najwidoczniej dziewczyna nie miała alergii na kurz. Albo stanowiła rzadki wyjątek, albo stać ją było na terapię genową.

Imiona „Oria” i „Dag” musiały być prywatnymi imionami dwojga podludzi, którzy go przesłuchiwali. Słowa „Niao Ichi” i „Yaoying” oznaczały ich rangi w triadzie. Suleyowi nic to nie mówiło. Każdy tong stosował własne nazewnictwo stopni hierarchicznych.

Znów się rozejrzał. Ani śladu lustra, toaletki, ani jednego kosmetyku. Żadnej szafy czy wnęki z ubraniami. Jeśli Niao Ichi dysponowała buduaem i garderobą, musiała być nie lada kim. Na całe umeblowanie składały się wąskie jednoosobowe łóżko, ozdobny puf i mały stolik.

Sule wstał, chwiejnie i niepewnie. Wciąż kręciło mu się w głowie. Podeszedł do ekranu i dotknął go opuszkami palców. Liczył, że wywoła funkcję okna. Ekran rozjarzył się wspaniałą artystyczną panoramą kosmosu. W nieskończonej czerni błyszczały miriady gwiazd, przetykane barwnymi woalami mgławic. Obraz przesuwiał się powoli, odsłaniając stale nowe widoki Wszechświata.

Sule zmarszczył brwi. To był astronomiczny hologram, piękny i starannie opracowany, ale nawet jeśli baza triady wisiała w otwartym kosmosie, taki obraz nie mógł znaleźć się na monitorach.

Dla próby pstryknął w ekran palcami.

Gwiazdy znikły. Ujrzał nagle zupełnie inny widok. Na horyzoncie zachodziło pomarańczowoczerwone słońce. Pod wieczornym niebem rozpościerało się morze czarnych górskich wierzchołków. Jak okiem sięgnąć, wszędzie sterczały posępne granie, nagie i martwe, pozbawione śniegu czy jakiegokolwiek roślinności. Ciemne skalne masywy wyraźnie odcinały się na tle jaskrawych barw nieba. Doliny tonęły w głębokim cieniu.

To mogła być transmisja z otoczenia bazy - perspektywa gór, widziana z najwyższego szczytu. Jeśli tak, trafił na jakąś planetę.

Ale na jaką?

Drzwi okazały się solidnie zamknięte. Sule rzucił się na wąziutkie łóżko Niao Ichi i z rezygnacją zamknął oczy.

## Rozdział III

Udawał sen - powinien przecież zasnąć po hillium - lecz był zbyt niespokojny, żeby choć na krótko się zdrzemnąć.

Martwił się o Delfi. Wystarczy pobieżny skan genowy i zaraz wyjdzie na jaw, że bynajmniej nie są spokrewnieni. To akurat nie problem; powinien tylko się zdziwić i rzucić parę niemiłych słów o prowadzeniu się jej matki. Ale jak ona zniesie pobyt w bazie tongu, na łasce tych bezlitosnych kreatur? Wojownicy triad słynęli z niepohamowanego okrucieństwa. Nawet w Solaryjczykach budzili lęk - a to już mówiło samo za siebie.

Triady były jedynymi podludzkimi organizacjami tolerowanymi przez władzę. W teorii przestępcze i nielegalne, w praktyce prowadziły rozległe interesy w doskonałej symbiozie z ludzką biurokracją. Handlowały, utrzymywały wśród podludzi system hazardu i domów publicznych, wymuszały haracze za to, że pozwalały niezrzeszonym żyć. Władzy to nie obchodziło. Podludzi uważano za zwierzęta, co zresztą wcale nie przeszkadzało ich opodatkować.

Współczesne podludzkie triady nie wywodziły się, wbrew pozorom, od swoich imienniczek, historycznych triad chińskich. Owszem, dzięki gorliwemu naśladownictwu osiągnęły ten sam albo i większy poziom bezwzględności, co jednak nie zmieniało faktu, że ich rodowód był podrabiany. Kilka stuleci temu tajne organizacje - w tym i triady - władały Ziemią. Z początku rządziły nieoficjalnie, potem już niemal jawnie. Dawały pracę, dzieliły rynki, wywoływały i kończyły lokalne wojny, a w końcu zaczęły decydować o całym kształcie cywilizacji. Gdy zaś na gruzach poprzednich kultur wyrosła nowa uniwersalna kultura światowa, to właśnie organizacje przestępcze wzniosły podwaliny ziemskiego społeczeństwa. To one zbudowały porządek przejściowy po Stuleciu Zamętu, gdy załamał się system ekonomiczny, a pod gruzami banków legły razem amerykańska technokracja i islamska teokracja. I tylko dzięki nim, dzięki ich mafijnej quasi-państwowości, powstało w końcu Królestwo Ziemi. Toteż gdy za czasów Królestwa dokonał się kolejny podział społeczny, członków tych organizacji zaliczono do ludzi, a szefów - do nadludzi.

To były dawne dzieje. Obecne samozwańcze triady powstały wśród podludzi jeszcze w epoce, gdy cywilizacja chińska znajdowała się w apogeum świetności. W dzisiejszych czasach imitowana chińsko-japońska tradycja zachowała się nadal w nazewnictwie i w mentalności triad, choć świat już się zmienił. Nie tylko wśród podludzi, ale nawet w kulturze

ludzkiej - co było znamienne - wracały trendy hinduskie, afrosyberyjskie i metyskie, schińszczone, lecz wciąż żywotne. I to właśnie podludzie stanowili rozsądnik zmian. Społeczeństwo ludzkie było zbyt stabilne.

Triady miały własne rytuały, sekretne języki, symbole i hierarchie. Każdy tong był hermetycznym dominium, niedostępnym dla ludzi ani dla podludzi z zewnątrz. Członków triad nazywano Wojownikami - i rzeczywiście, ciągle toczyli krwawe wojny z konkurencją, mordując się wzajem z wyrafinowanym, iście chińskim sadyzmem. Uprawiali też szpiegostwo przemysłowe na obszarach innych ludzkich cywilizacji kosmicznych.

A więc diabli zanieśli nas do tongu. I co teraz? - pomyślał Sule.

Merkury na pewno zaalarmuje centralę. Centrala zaś, oczywiście, zacznie na początek sprawdzać, czy dwoje zaginionych podróżników nie wpadło przypadkiem w ręce Agencji... A to zajmie sporo czasu. Nie ma szans, by ktokolwiek znalazł ich tu przez clariver. To miejsce nie wyglądało na podrzędną bazę, a wszystkie ważniejsze ośrodki triad były starannie ekranowane.

Co nie znaczy że Sule powinien się bać. Żaden ekran nie stanowi przecież bariery dla Juna M'bo. Jeśli Jun kogoś poszuka, to znajdzie. A zacznie szukać lada moment. Zaraz po odwiezieniu Delfi Sule miał przecież teleportować się na Sanyasin, gdzie przebywała już cała reszta grupy. Wystarczy tylko poczekać cierpliwie i...

Amulet!

Sule mało nie usiadł. Nagle przypomniał sobie coś, od czego włosy stanęły mu dęba.

Dwa tygodnie temu Jun wręczył mu złoty łańcuszek z medalikiem. Była to osobista własność Juna, amulet jego katolickiej religii. Z wielkim naciskiem poprosił Suleya, by przez najbliższy czas nosił go na szyi. Sule wzruszył ramionami i spełnił prośbę. Jego przyjaciel nie miał zwyczaju tłumaczyć swych zachcianek, lecz wieloletnie doświadczenie nauczyło Suleya, że w pomysłach Juna zawsze tkwi sens.

Odruchowo podniósł teraz dłoń, czując, jak żołądek ściska mu się z napięcia. Łańcuszek i medalik nadal były na miejscu. Pięknie. Tylko że prędzej czy później ta Oria, czy jak jej tam, każe mu się rozebrać. Co wtedy?

Przeciętny prymitywny Wojownik ujrzałby tylko złotą błyskotkę. Większość Solaryjczyków nie umiała nawet czytać. Jednak Yaoying i Niao Ichi, kimkolwiek byli, zaliczali się do wykształconej elity. Słyszeli co nieco o Heglu. Rozpoznają heretycki przedmiot na pierwszy rzut oka.

A to oznaczało katastrofę.

*Spokojnie* - powiedział cichy, znajomy głos.

Głos zabrzmiał tak czysto i wyraźnie, jakby Jun stał tuż obok. Serce Suleya podskoczyło.

*No, nareszcie! Wiesz, co się stało?*

*Tak.*

*Gdzie jestem?*

*Miejsce nazywa się Migong. A dokładniej Migong Yaosai, Labiryntowa Twierdza. To lokalne centrum dowodzenia Triady Trójgłowego Smoka. Leży w masywie gór Atlas na Ziemi.*

Sule zasepił się. Spośród ponad czterdziestu solaryjskich tongów Triada Trójgłowego Smoka należała do najpotężniejszych.

*Kiepsko. Baza musi być silnie strzeżona. Trudno będzie stąd uciec. Co z Delfi?*

*Żyje, jest cała i zdrowa. O ucieczkę się nie martw. Bard właśnie zaczął obmyślać plan.*

*Bard wie, dokąd trafiłem?*

*Oczywiście.*

*Najpilniejszy problem to twój medalik. Nadal mam go na szyi. Gdy Niao Ichi go zobaczy, żadne pomysły Barda już mi nie pomogą.*

*Oni go już widzieli.*

*Co?!*

*Yaoying i Niao Ichi obejrzeni was sobie dokładnie, gdy leżeliście nieprzytomni. Zobaczyli medalik. Od razu postanowili, że żadne z nich nie widziało go na oczy i pojęcia nie mają o jego istnieniu. Na wszelki wypadek nie spytali o to nawet podczas przesłuchania.*

*Oslaniają mnie? Sule był zdumiony. Takie rzeczy nie zdarzały się w Sol Wangkuo! Dlaczego? Czy to zakamuflowani heretycy?*

*Na pewno nie.*

*Więc czemu od razu nie przekazali mnie Agencji?*

*To długa historia. W każdym razie ten problem możesz uznać za niebyły. Yaoying i Niao Ichi będą cię chronić. Ale uważaj na...*

Jun urwał nagle. Kontakt telepatyczny osłabł i zanikł w chwili, gdy Sule usłyszał szmer otwierających się drzwi.

Do sypialni energicznie wkroczyła szczupła, wysoka dziewczyna. Sule wstał, przyglądając się jej zdumiony.

Była biała. Równie biała jak on sam, choć sądząc z pogardy, z jaką mówiła o Delfi, spodziewał się ujrzeć przedstawicielkę najczystszej rasy Han. Miała jasną cerę, wręcz szarawą, typową dla osób spędzających wiele czasu w kosmosie lub podziemnych bunkrach. Ciemnobrązowe, obsmyczone włosy spadały jej na ramiona, odsłaniając czoło. Pod

niebiesko-czerwonym trójwymiarowym tatuażem dawało się przy pewnym wysiłku dostrzec delikatne rysy, czysto europejskie, bez śladu azjatyckich czy murzyńskich domieszek. Najbardziej jednak przyciągały uwagę jej oczy, wielkie i pełne światła, o podwiniętych długich rzęsach. Sule nigdy jeszcze nie widział tak niezwykłego, srebrnoszarego koloru tęczówek.

Przez chwilę stali naprzeciw siebie. Niao Ichi musiała wprawdzie zadzierać głowę, by spojrzeć mu w twarz, lecz mimo to patrzyła chłodno i bardzo z góry. Sule otaksował ją wzrokiem od stóp do głów, równie bezpardonowo jak ona jego. Czarny kombinezon okrywał ją szczelnie i zwisał na jej chudym ciele niczym bezkształtny worek. Zapewne kryły się pod nim sterczące obojczyki, kępściutki biust i kościste biodra. Ktokolwiek nosiłby ją na rękach, z pewnością by się nie podźwignął. Tylko te niezwykle, piękne oczy czyniły jej wygląd w miarę znośnym.

- Kim jesteś? - zapytał Sule. Po hillium nie miał prawa pamiętać o niczym, co zdarzyło się, gdy był pod wpływem narkotyku.

- Zwracaj się do mnie Niao Ichi. Znajdujesz się w bazie mojej triady i jesteś moim niewolnikiem.

Sule aż drgnął. Gdzie się podział ten miły, dźwięczny głosik? Pozostał dźwięczny, owszem, tylko że teraz nie było w nim już nic miłego. Tchnął arktycznym zimnem.

Podczas rozmowy z Yaoyingiem Niao Ichi mówiła, jak wszyscy Solaryjczycy, zbyt szybko i zbyt monotonnie, z fatalną dykcją i słabą, niemal szczątkową modulacją. Teraz, zwracając się do niewolnika, przemawiała wyraźnie rozkazująco, wyrzucając z ust słowa ostrej komendy. Brzmiało to bardziej jak szczekanie niż ludzka mowa.

Szkoda - pomyślał Sule. - I przeszła na xinés hiraketa... Szkoda.

Xinés hiraketa był ubogim językiem o prymitywnej składni. Powstał jako mieszanina słów mandaryńskich, arabskich, hindi, angielskich i hiszpańskich, zlepionych gramatyką na poziomie pidgin. Za pomocą hiraketa porozumiewano się w codziennych sprawach, w tym języku tworzono całe virtuo, ale wyrażanie subtelnych myśli czy precyzyjnych pojęć było zupełnie niemożliwe. Dlatego wkrótce wykształcił się dialekt zwany xinés omoi, zawierający też elementy japońskie, łacińskie i perskie, o wiele bardziej złożony od prymitywnego pierwowzoru. W omoi dawało się nie tylko myśleć, ale choćby i filozofować. Był to jednak język wąskiej grupy nadludzi i najwyższych ludzkich kast, język literatury i elit.

Oraz, jak się okazało, prywatny język Yaoyinga i Niao Ichi. Wobec niewolników i podwładnych Wojownicza odruchowo przechodziła na prymitywną mowę klas niewykształconych.



- Nie jestem niczym niewolnikiem - oznajmił Sule z przekonaniem. W hiraketa brzmiało to: *Uo bi persún bu abde*. „Ja być osoba nie niewolnik”.

- Masz nieaktualne dane. Jesteś. Od dziś - poinformowała chłodno. - I lepiej, żebyś słuchał moich rozkazów. A teraz chodź.

Mogłem trafić gorzej - powiedział sobie Sule, wychodząc za nią z pomieszczenia. Niao Ichi kroczyła zamaszyście jak dziarski żołnierz. Bez żalu oderwał wzrok od jej chudych pośladków, zagubionych w fałdach luźnego kombinezonu. Rozejrzał się wokół.

Podziemna baza triady przypominała potężny schron. Jak wszystkie większe budowle solaryjskie, składała się z dziesiątków identycznych korytarzy, przecinających się pod kątem prostym. Ściany były gęsto porośnięte fioletowym, podobnym do mchu fotoksytem, przetwarzającym dwutlenek węgla w tlen. Sufit, pomalowany luminescencyjną farbą, jaśniał bladym, zimnym światłem. Wszędzie panowała sterylna czystość, która jeszcze podkreślała bezosobowy, laboratoryjny wygląd wnętrza.

Podczas kilkunastu minut marszu napotkali tylko gromadę bawiących się dzieci - narybek tongu - i dwa patrole Wojowników. Wojownicy byli uzbrojeni po zęby, wytatuowani i ubrani w identyczne jak u Niao Ichi kombinezony, tyle że barwy nie czarnej, lecz brunatnej, szeregowej. Triada pod względem kolorystyki mundurów naśladowała Agencję Ochrony Dobra. Brakowało tylko pagonów z czerwonymi runami.

Na kombinezonie Niao Ichi nie było żadnych oznaczeń, lecz przechodzący obok Wojownicy kłaniali się dziewczynie, i to uniżenie.

- Dlaczego tak tutaj pusto? - zagadnął Sule.

- Prawie wszyscy są w auli. My też tam idziemy.

- Po co?

- Zobaczysz - ucięła.

Sule spróbował z innej beczki:

- Jak ja tu trafiłem? Leciałem na Chotał-Ekwa!

- Musiałeś źle obliczyć parametry tunelu. Albo cię zniosło. Twój statek wyszedł z nadprzestrzeni w strefie planetoid Układu Słonecznego Ziemi. Trafiłeś prosto w sam środek bitwy między naszym tongiem a Triadą Ryczącego Tygrysa. Gdyby nie osłony z pól, już byś nie żył. Szczerze mówiąc i tak się dziwię, że żyjesz.

- Kto wygrał bitwę?

- My.

Było to powiedziane zupełnie obojętnie.

- Ty też walczyłaś?

- Jasne.

Znajdowali się już na miejscu.

Wrota auli otwarły się przed Suleyem.

## Rozdział IV

W powietrzu unosił się mdławy, metaliczny zapach krwi. Oria siedziała nieruchomo, patrząc z kompletną obojętnością na rozgrywającą się przed nią scenę.

Scena trwała od dłuższego czasu. Zaczęła się standardowo, a potem już z minuty na minutę robiła się coraz nudniejsza. I coraz obrzydliwsza.

Dwóch jeńców obdzierano żywcem ze skóry, pozbawiając ich przy tym po kolei rozmaitych narządów i części ciała. Podłączeni do aparatury medycznej, byli przez cały czas przytomni, no i na pewno nie mogli liczyć, że umrą z szoku czy upływu krwi. Chwała bogom, w końcu przestali wyć z bólu. Z ich rozdartych ust wydobywało się tylko chrypliwe rżenie.

Obok Orii siedział jej nowy niewolnik. Milczał, choć w auli dawało się już bez problemu rozmawiać. Był szary na twarzy i starannie unikał patrzenia w stronę konających.

Mięczak - pomyślała Oria z politowaniem. Widać to prawda, że najwięksi mężczyźni są psychicznie najslabsi. Sama też nie uważała widowiska za przyjemne, ale przecież zachowywała fason, utrzymując pozę wyniosłej obojętności. Nikt patrząc na nią nie odgadłby, że na sam widok krwi robi się jej niedobrze. Jako Niao Ichi miała obowiązek dawać przykład. Nawet jeśli żołądek się jej wywracał, powinna się uśmiechać. I uśmiechała się.

Zresztą czy nie miała powodów do radości? Miała, pewnie. Gdyby to jej tong przegrał bitwę, to ona dogorywałaby właśnie w mękach. Zakładając, że złapano by ją żywcem, jak tych dwóch kretynów. Tchórzliwie zwlekali z samobójstwem - no to mają za swoje.

Na widowni panował tłok. Oria nie znosiła tłoku. Aula była niewielka, a zgromadziło się w niej blisko pięćdziesięciu Wojowników i kilkunastu adeptów, dopuszczonych przez Yaoyinga do udziału w rozrywce. Mniej więcej jedną czwartą stanowiły kobiety. Wszyscy, niezależnie od płci, nosili kombinezony, brunatne, granatowe, szare lub czarne; wszyscy byli uzbrojeni i wytatuowani. Większość widzów rozsiadła się na matach tatami. Do pierwszych rzędów przepchnęło się kilku energicznych karłów, a pod ścianą garbiły się dwa blisko trzymetrowe słońowce - samiec i samica. W skład załogi wchodził też inni mutanci. Jeden z oficerów skrywał pod kombinezonem chwytny ogon zakończony dłonią, a pewien szeregowiec stanowił ostatni, samotny relikwiarz Czwororęki Pongoidów. Oria pamiętała jeszcze czasy, gdy mutanci liczyli się w triadach, jednak od tamtej pory władze wzięły kurs na tępienie odmieńców. I właściwie czemu? Mutanci nikomu nie szkodzili. Owszem, w ich ciałach wylegały się nowe odmiany wirusów i prionów, ale nauka od dawna radziła sobie z

epidemiami. Władze bełkotały coś o „standaryzacji galaktycznej”, zupełnie jakby tylko w Sol Wangkuo prowadzono eksperymenty z transgeniką. Z roku na rok kryteria zaostrzały się, a mutanci znikali. Najlepsza przyjaciółka Orii z czasów dzieciństwa, zielonoludka, szczęśliwie uciekła do Sundhainarf, lecz wielu innych przekazano stosownemu urzędowi i ślad po nich zaginął.

Yaoying, jako jedyny, nie siedział na podłodze. Zgodnie z etykietą górował nad podwładnymi, usadowiony półtora metra wyżej, na latającym dywanie otoczonym złocistą poświatą. Dywan był wąski. Yaoying z konieczności musiał skrzyżować nogi po turecku i tkwić tak przez cały czas. Wyglądał jak posąg, wyprostowany i zupełnie nieruchomy. Jedynym jasnym akcentem w czerni jego stroju były kryształy górskie, zdobiące pas z czarnej skóry.

Biedny Dag - pomyślała Oria ze współczuciem. Na pewno ścierpły mu już mięśnie. Utrzymywanie godnej pozycji wymagało cierpliwości jogina, a efekt i tak był wątpliwy. Tylko jeden podczłowiek patrzył na Yaoyinga częściej niż na umęczone kadłuby jeńców, a był nim technik, odpowiedzialny za stan latającego dywanu. Gdyby nagle wysiadł grawistat, a dostojny Yaoying rymsnął z łoskotem na podłogę, dla technika oznaczałoby to wyrok śmierci.

U stóp latającego dywanu spoczywał gruby, skośnooki Aranami - jedyny spośród trzech zastępców Yaoyinga, który aktualnie przebywał w Migong. Aranami posilał się dystyngowanie. Sałatka z ryżu i preparatu rybnego powoli, lecz systematycznie znikiała w jego przeżuwających szczękach. Miał obsesję na punkcie starannego rozdrabniania cząstek pokarmu. Żując, z uśmiechem spoglądał na torturowanych. Przypominał dobrotliwego, tłuściutkiego Buddę.

U jego boku leżał zwinięty w kłębek akcelerat Obote, zagapiony na swego pana z mieszaniną uwielbienia, lęku i idealnej bezmyślności. Uwielbienie było zaprogramowane, nie potrafiła go zdławić nawet brutalność Aranami. Ciało akcelerata nosiło ślady licznych ciosów. Obote skończył właśnie trzy lata i wyglądał na smukłego, urodziwego osiemnastolatka. Klon, z którego pochodził, stanowił najlepszy model wypuszczony jak dotąd przez renomowaną wylęgarnię Vesme. Miał szarobrunatną skórę, gładką jak u niemowlęcia, czarne włosy, oczy w modnym kolorze różowym, płaski nos i długie miękkie uszy, porośnięte jedwabistą sierścią i spływające łagodnie na ramiona. Ciekawe, że mutacje u akceleratów jakoś władzom nie przeszkadzały. Średni okres używalności akcelerata wynosił pięć lat. Za osiem lat, o ile ktoś zechce utrzymywać go tak długo, Obote umrze ze starości. Jego inteligencja nigdy nie przekroczy poziomu debilizmu.

Orii zawsze było żal tych stworzeń. Ona sama, należąc do podludzi, miała status

zwierzęcia, lecz sytuacja zwierząt była i tak dużo lepsza niż los nieszczęsnego Obote, który stał na równi ze zmywarką do naczyń czy skarpetką. Był rzeczą. Nikogo nie obchodziło, że przecież żyje, czuje i nawet coś tam pewnie myśli.

Kilka kroków od Aranamię przycupnęło troje ciemnoskórych Wojowników - żona i dwóch mężów Szagdar, zastępczyni Yaoyinga. Szagdar poleciała akurat w delegację na Mulungu, zostawiając swoje stado w domu. Jej żona, Ukubu, była w zaawansowanej ciąży z którymś z mężów. Może dlatego oglądała egzekucję z wyraźnym obrzydzeniem. Mężowie siedzieli po obu stronach współżony. Młodszy, Rinczen, patrzył na konających w głębokim skupieniu. Pewnie układał właśnie haiku na temat ulotności życia czy czegoś równie odkrywczego, był bowiem nadwornym poetą bazy. Masudi spoglądał na Zunyere, a w oczach miał jawne pożądanie. Idiota, no po prostu idiota. Szagdar nie puści tego płazem, a Zunyere jeszcze na niego napluje.

Zunyere siedziała rozkraczona, demonstrując tłuste, nabite ciało. Niska, krępa, z olbrzymimi piersiami, miała skórę barwy ciemnej czekolady. Na jej okrągłej głowie sterczały z rzadka niczym antenki kępy skręconych włosów, w nosie wisiało okazałe kółko, a cała twarz była pokryta bliznami po rytualnych nacięciach.

Mężczyźni szaleli za nią. Dag kupił ją za astronomiczną cenę, a i to ciągle musiał jej używać dosłownie każdemu ze swych przełożonych, który choć raz rzucił na nią okiem. Przyciągała samców i samice jak za sprawą magii, choć przecież miała całkiem przeciętną urodę. No i te potworne baloniaste cycki - brr, zgroza! W czasach, gdy każda piękna kobieta powinna mieć piersi małe i płaskie, takie jak mężczyzna, Zunyere wyglądała jak miss urody dolnego paleolitu. Kto wie, może żądze, które budziła, miały charakter właśnie atawistyczny?

We wszystkich testach na inteligencję Zunyere zdobywała wyniki świadczące wręcz o genialności. Co oznaczało, że jej status społeczny nigdy się nie zmieni. Odkąd skończyła dziesięć lat, jej kolejni właściciele musieli hojnie sypać groszem, by ustrzec ją przed Urzędem do Spraw Podludzi. Zadaniem tej instytucji było przecież właśnie tropienie nazbyt inteligentnych podludzkich osobników. Urząd łaskawie przymykał oko na ponadnormatywną inteligencję u niewolnicy, ale mowy nie było, żeby Zunyere kiedykolwiek została Wojowniczką. Wiedziała o tym i nie mając nic do stracenia, demonstrowała swój intelekt z całą arogancją. Zaangażowała się na przykład w ruch Retrognozy, i to aż do przesady. W jej żyłach, jak wykazał skan genowy, płynęła krew Pigmejów i Buszmenów. To wystarczyło, by obudzić w niej niepohamowany rasizm: Zunyere nie znosiła całej reszty ludów Afryki, a już zwłaszcza plemion Bantu, Kwa, Mossi czy Kongo. Uważała ich, nie bez racji, za obcych najeźdźców, którzy przed wiekami zepchnęli jej pokojowych przodków w najgłębsze dżungle

i najdalsze pustynie, zabierając im urodzajne ziemie, które następnie zmarnowali i zamienili w ugory. Zunyere opowiadała o tym, zgrzytając z pasją zębami, jakby spotkało ją to osobiście i ledwie wczoraj. Właśnie dlatego Masudi, potomek Kwa, nie miał u niej cienia szansy. Gdy zaś pewien niewolnik z plemienia Aszanti próbował ją kiedyś wyśmiewać, Zunyere odczekała do sposobnej chwili, związała go jak paczkę i wyprawiła na jego cześć uroczysty aszancki taniec śmierci, atopere. Ceremonialnie, bez pośpiechu, obcięła mu obie ręce i obie nogi. Poniosła karę, oczywiście, ale niewolnik nadawał się już tylko do utylizacji.

Oria skrzywiła się na to wspomnienie. Aszanti był sympatyczny i całkiem rozsądny; co go podkusiło, żeby zadzierać z Zunyere? Przecież każdy wiedział, że Zunyere jest nietykalna. Dag ani jej nie kochał, ani nawet nie lubił, ale dawała mu satysfakcję jak żadna inna kobieta.

I ta cała Retroгноza. Po co odgrzebywać minione animozje? Jakże to ma znaczenie po kilkuset latach? Gdyby chociaż tłukli się o realny kawałek ziemi - ale cała Afryka była dzisiaj, tak samo jak Europa, jednym wielkim wyschniętym pustkowiem, gdzie pośród niszczących ruin miast wędrowali zagłodzeni koczownicy, dalecy potomkowie Murzynów, Arabów i Hindusów, którzy kiedyś zasiedlali te kontynenty.

Zunyere, ani żaden normalny podczłowiek przecież by tam nie zamieszkał. Widocznie gdzieś w podludzkiej naturze tkwi potrzeba, by różnić się od innych, by posiadać tożsamość nie tylko osobistą, ale i grupową - potrzeba tak głęboka i mocna, że rozum odbija się od niej jak piłka od ściany. Ludzie zresztą pod tym względem wcale nie byli inni od podludzi. Owszem, nie mieli żadnych przodków, ale to tylko oznaczało, że zamiast wojen plemiennych toczą wojny między sektami.

Zunyere chyba znudziła się egzekucją. Chwilę kręciła się niespokojnie, a potem skulona wpół przemknęła w stronę Orii.

Otaksowała Suleya wzrokiem i trąciła go pierśią, jakby przypadkiem. Sule zerknął na nią przelotnie i odwrócił wzrok.

Zunyere ukloniła się Orii, trzykrotnie dotykając czołem ziemi, jak nakazywała etykieta.

- Witaj, dostojna Niao Ichi.

- Witaj - Wojowniczką zdawkowo kiwnęła głową.

Nie przepadały za sobą. Zunyere, główna nałożnica Yaoyinga, była ogromnie zazdrosna. Oria wprawdzie nigdy nie sypiała z Yaoyingiem, ale miała na niego największy wpływ, co Zunyere uważała za fenomen przeciwny naturze. W swoim czasie usiłowała wciągnąć Orię w rozmaite rozgrywki, ustawiać ją przeciw zastępcom czy przeciw samemu

Yaoyingowi. Sparzyła się na tym boleśnie. Obecnie panował między nimi zbrojny pokój. Nie lubiły się, ale i nie wchodziły sobie w drogę.

- Zapaliłam dziś wiele świec dla boga Khmvum - powiedziała Zunyere. - Cieszę się, że nasz pan odniósł kolejne zwycięstwo.

- Wszyscy się z tego cieszymy.

Rozmawiały w omoi. Zunyere, ze swą typową arogancją, gardziła normalnym hiraketa. Nigdy nie omieszkła podkreślić, że jest wyjątkowo wykształcona.

- Dwoje nowych niewolników też weszło do puli zysków?

- Tak. Nasz pan zatrzymał sobie dziewczynę. Ten samiec tutaj jest mój.

Zunyere prześwidrowała ją czarnymi jak węgle oczami. Oria odpowiedziała jej chłodnym spojrzeniem.

Niechętnie, z rezygnacją, Zunyere odsunęła się od Suleya. Pogardliwie wydeła usta.

- Wygląda, jakby się bał odrobiny krwi. Nie będzie z niego pożytku, jeśli w łóżku wykazuje tyle samo wigoru. Powiedz mi, dostojna Niao Ichi, czy obejrzałaś tę nową niewolnicę?

- Owszem.

- Nie widzę jej tutaj.

- Jeszcze śpi po hillium. Jest kuzynką tego tu.

- Równie biała jak on?

- Bardziej. Ma jasne włosy.

- O - powiedziała Zunyere z satysfakcją. - Może przynajmniej mądra?

- Może.

- Myślisz, że nasz pan będzie z nią spał tej nocy?

Oria wzruszyła ramionami i spojrzała na Zunyere z góry.

- Spytaj go sama.

- A spytam - zapewniła niewolnica tonem mocno przypominającym pogroźkę. Skłoniła się Orii i wróciła na miejsce.

W sam czas. Męczarnie jeńców dobiegały końca. Widzowie byli już znudzeni i okazywali to hałaśliwie. Euforyzanty i alkohol cały czas krążyły po auli. Na samym początku wiele osób uprawiało seks, uznając, z powodów dla Orii niepojętych, że widok tortur działa podniecająco. Teraz panowały inne emocje. Wokół szły zakłady, który z jeńców umrze pierwszy.

Oria spojrzała na zegarek. No, jazda! Przenoście się do następnych wcieleń, nieszczęsne przyglupki. Zaliczyliście dziś porządny kawałek złej karmy, w nowym życiu

powinno wam to procentować... Jeśli istnieje jakieś nowe życie, oczywiście.

Nie znosiła egzekucji. Zawsze potem przez kilka nocy nie mogła zasnąć. Dag też nie lubił tortur, przyprawiały go o mdłości, i nawet jeśli zasypiał, budził się spocony, dygocąc od koszmarnych snów. Organizm reagował irracjonalnym, silnym stresem. Ale Dag był mężczyzną, więc miał łatwiej. Mężczyźni to proste żyjątka. Mógł rozładować część napięcia poprzez seks. Weźmie sobie do łóżka tę żółtowłosą Delfi i po kłopotcie. A ona? Zostawał jej wybór między induktorem snu, neurotonerem albo pracą tak intensywną, żeby podpierać się nosem ze zmęczenia.

Choć nie. Dziś wieczór miała jeszcze jedną możliwość: Suleymana Raszda.



## Rozdział V

Na czarnym niebie świecił księżyc, otoczony szarawą mgiełką. Masyw górski tonął w mroku i ciszy.

Oria lubiła ten widok. Nocą otoczenie bazy Migong nabierało romantycznej urody. W ciągu dnia ekran pokazywał wciąż te same płowe, nagie skały, pozbawione wody i życia. Wiatr porywał tumany pyłu, a słońce bezlitośnie wypalało wątłe załączki roślin. W dolinach ciągnęły się kilometry kamienistych piargów i suche jak pieprz osypiska. Od czasu ostatniej wojny góry Atlas były martwe.

Baza Migong - centrum dowodzenia triady na cały Układ Słoneczny - leżała ukryta głęboko wewnątrz masywu. Pod urwiskami i piargami zbudowano nowoczesny, całkowicie samowystarczalny kompleks obronny. Z głębi ziemi doprowadzano nieskażoną wodę, powietrze było chemicznie wytwarzane i oczyszczane dzięki fotoksytowi i morferom klimatyzacyjnym, a żywność powstawała w hodowlach plastoponicznych i była nanoformowana z odpadów. Migong mogła przetrwać każde oblężenie.

Najwyższy szef bazy, Yaoying, siedział rozparty w fotelu. Jego pociągła twarz pozostawała jak zwykle bez wyrazu - Yaoying rzadko pozwalał sobie na luksus mimiki. W milczeniu patrzył, jak Oria sprawdza wykrywaczem trucizn potrawy i napoje, przyniesione na kolację. Wreszcie Niao Ichi odłożyła urządzenie.

- Wiesz, jestem zadowolona - powiedziała, sięgając po kawałek syntetycznego sojowca. - Nasz udział w zyskach okazał się całkiem niezły.

Dag bez odpowiedzi wziął swoją porcję. Oria była przyzwyczajona do jego sposobu bycia, więc ciągnęła pogodnie:

- Dokładny wykaz przygotuję jutro, ale już widzę, że będzie tego więcej, niż myślałam. A nie liczyłam jeszcze tych sześciu tysięcy Raszda.

Yaoying milczał. Jego jasne oczy nie zdradzały żadnych myśli.

- Dag, ruszmy się. Lada moment Ryczący Tygrys wyśle ekipę, żeby sprawdzić, co zostało z planetoidy. Jeśli znajdą statek, możemy stracić te pieniądze.

- Zrobiłem obliczenia - odezwał się wreszcie Dag. - Statek Raszda dryfuje zupełnie innym torem niż szczątki planetoidy. Oddala się od nich z każdą sekundą. Dlatego lepiej odczekać trochę, zanim polecimy. Za tydzień okolica powinna być czysta.

Oria kiwnęła głową.

- W porządku. Co chcesz zrobić z tymi niewolnikami?

Dag przez chwilę zastanawiał się, bez pośpiechu jedząc posiłek.

- Musimy ich w miarę możliwości odizolować od załogi. Czy twój King Kong zdjął już heretycki talizman?

- Nie. Myślałam, że schowa go gdzieś w sypialni, ale chyba nie wpadł na to. A może bał się kamer. Albo sprzątaczy.

- A może nie chciał.

Oria bez słowa wzruszyła ramionami.

- To robi się niebezpieczne - zauważył Dag chłodno. - Wystarczy, że jakiś oficer, choćby Aranami, spojrzy na niego przez soczewki transwizyjne i trochę pomyśli. Aranamiemu zdarza się to od czasu do czasu.

- Jesteś zbyt surowy. Aranami myśli nawet po kilka razy dziennie.

- Mówiłem o podglądaniu cudzych niewolników. Lepiej trzymaj Raszda cały czas u siebie.

- Na razie odesłałam go do boksów. Strasznie marudził, że chce zobaczyć tę Delfi. No to zobaczył.

- Pokaż go.

Oria włączyła komputer.

- Monitor na boksy niewolników - poleciała.

W powietrzu wyświetlił się obraz wąskiej hali, zastawionej szeregami klatek. Każda klatka tworzyła kwadrat o boku dwóch metrów, z betonową gołą podłogą. Pomieszczenie było ciemne, ale co chwila przemykało po nim światło reflektorów. Interwał błysków został specjalnie dobrany. Miał działać usypiająco i zobojętniająco. Kilkunastu niewolników będących w dyspozycji oficerów triady tkwiło we frontowych klatkach. Niewolnicy Yaoyinga siedzieli w głębi, dalej od wyjścia.

Zunyere nudziła się, dłubiąc w zębach i spoglądając zimno na Delfi i Suleya. Najwyraźniej rozważała, w jaki sposób pozbyć się tej pary. Delfi stanowiła dla niej konkurencję u Yaoyinga, a Sule wzbudził zainteresowanie Aranami, który preferował własną płć i tylko dla Zunyere robił wyjątek.

Delfi siedziała skulona w rogu klatki. Przesunęła dłoń między stalowymi prętami, żeby Sule mógł trzymać ją za rękę.

I trzymał. Choć jakby nie do końca to zauważał. Rozłożył się na plecach, z ramieniem pod głową i wyrazem twarzy tak marzycielskim, jakby patrzył w chmury na letnim niebie, nie w betonowy sufit.

Wypełniał sobą cały boks. Aby się zmieścić, musiał zgiąć nogi w kolanach.

- Wezmiesz go do łóżka? - spytał Dag.

- Nie.

- To po co wypytywałaś o jego preferencje?

Oria wzruszyła ramionami.

- No bo... chciałam wiedzieć.

- Spróbuj. Co ci szkodzi. On ci się przecież podoba.

- Bez wzajemności.

- Więc nafaszeruję go emotropami i wszczępię neuroimplanty. Jutro będzie cię kochał... jak idzie ta piosenka? „Z ogniem boskim, przewspaniałym, swoim cudnym gibkim ciałem, topiąc serce twoje harde jak komety jądro twarde... ”

- Nie chcę syntetycznych uczuć.

- Są trwalsze i mocniejsze od naturalnych.

- Nie wierzę w to.

- I ty to mówisz? Biochemik? Jesteś absurdalną romantyczką, Oria. Weź go sobie. Spadł ci jak z nieba: biały samiec, inteligentny, zdrowy i zrównoważony psychicznie. Takiego niewolnika nie kupisz na rynku, a wiesz, ile by kosztowała produkcja na zamówienie?

Sule wciąż leżał nieruchomo, z sennie półprzymkniętymi powiekami. Tak - rzeczywiście, podobał się jej. Miał w sobie tyle spokoju... Mówił powoli, poruszał się z leniwą gracją, a teraz, kiedy inni kuliliby się w klatce, przerażeni czy apatyczni, on rozłożył się wygodnie, niczym książkę otoczony kordonem wiernych wojsk.

Zunyere wstała nagle i z irytacją zaczęła tłuc się po boksie. Sule szerzej otworzył oczy i spojrzał prosto na Murzynkę. Nieznacznie zmarszczył brwi.

Jaki on piękny - pomyślała Oria tęsknie, sama się sobie dziwiąc. Jego twarz na pewno nie zdobyłaby laurów w żadnym konkursie urody, lecz przecież miała w sobie coś ogromnie miłego dla jej oczu. Ciemnoblond włosy Raszda były krótko obcięte, a tęczęwki miały barwę starego złota, z orzechową otoczką i drobnymi orzechowymi cętkami.

- Ma oczy jak bursztyny - powiedziała na głos.

Dag rzucił jej ironiczne spojrzenie.

- I zęby jak perły, tak? A cerę jak krew z mlekiem? I co jeszcze? Może roztacza upojną woń fiołków?

Najeżyła się.

- A ty jak byś go opisał, mądralo?

- Dużych rozmiarów samiec podczłowieka. Piękny okaz białej rasy. Jeśli chodzi o

oczy, są żółte jak kocie gówno. Wiesz, że taki kolor oznacza fałszywy charakter?

- Wcale nie są żółte. Już raczej miodowe.

- *Dzoude shi!* Oria, ja cię nie poznaję! Skoro ten okaz budzi w tobie tyle uniesień, czemu nie chcesz z nim spać?

- Nie chcę. Nie chcę i już.

Nawet gdyby Suleyman Raszd był bosko piękny - a wcale nie był - Oria nie miałaby ochoty na tak intymny kontakt z obcym człowiekiem. Chwała bogom, wreszcie sama mogła o tym decydować. Teraz musiała sypiać już tylko z przełożonymi Yaoyinga. Jak dotąd był to czysto teoretyczny obowiązek. Zwierzchnicy Daga rezydowali na odległej planecie Ken Angrok i nie wydawało się prawdopodobne, by jej uroda wznieciła w którymś z nich szal dzikiego Pożądania.

Raszd niekoniecznie roztaczał woń fiołków - zwłaszcza po paru godzinach w boksie. I mógł się okazać śmiertelnie groźny.

Po raz pierwszy go zobaczyła, kiedy leżał w rozbitym statku, a ona wdarła się na pokład z grupą Wojowników. Na szczęście tylko jej skafander był wyposażony w filtr transwizyjny. Tylko ona, oglądając jeńców, zobaczyła pod koszulą jednego z nich złoty łańcuszek z małym, owalnym medalionem.

Mężczyzna został wepchnięty w teleporter i wraz z resztą łupów przetunelowany do Migong. Dag osobiście przebałał heretycki przedmiot. Za pomocą programu retrognostycznego ustalił, że ten podczłowiek nosi go dopiero od kilkunastu dni. Przedtem talizman znajdował się w posiadaniu kogoś innego, po kim nie pozostały żadne infoślady. Clariver wyświetlił zero danych, chronowizor pokazał szary szum. Informacja została nie tylko wykasowana. Została usunięta z infopola, tak jakby nigdy nie istniała.

A to było dziwne. Podejrzane. Może poprzednim posiadaczem był jakiś doskonały mentat, ale skąd wziąłby się taki wśród joszuistów? Joszuici, tak jak wszyscy heretycy, byli tylko ubogimi podludźmi, ciężko walczącymi o byt na rubieżach Sol Wangkuo. Ich religię, dawniej zwaną chrześcijaństwem, wytępiono niemal totalnie.

W swoim dorosłym życiu Oria nie spotkała żadnego joszuity. A szkoda. Zawsze ją intrygowało, czemu tak fanatycznie trwają przy swej herezji. Tacy na przykład hinduiści, buddyści czy taoiści bez większych oporów przyjęli połączenie najcenniejszych elementów dawnych wyznań w nową Prawdziwą Religię. Co prawda to katarzy nadali Prawdziwej Religii kształt i oprawę instytucjonalną, ale przecież katarscy uzdrowiciele i mistycy nie darmo nazywali się Dobrymi Ludźmi. Nie byli mściwi. Po Stuleciu Zamętu, gdy runął stary porządek, a islam, dotąd dominujący, wykrwawił się i upadł, ich doktryna przeżyła wspinały

renesans. Oni jednak wykazali tolerancję wobec odwiecznych wrogów: każdy, kto nawrócił się na Prawdziwą Religie, mógł liczyć na wybaczenie minionych błędów. Jozuizym ogłoszono herezją, gdyż wszystkie religie monoteistyczne, wyznające osobowego Boga, który stworzył świat, zostały uznane za kłamliwe i zwodnicze. Większość czcicieli materii nawróciła się. Tylko nieliczni fanatycy świadomie, z wyboru, pozostali poza nawiasem społeczeństwa obywatelskiego. I sami byli sobie winni.

Bo wkrótce potem Agencja Ochrony Dobra energicznie wytrzebiła herezje z Sol Wangkuo. Nie oszczędziła nawet tych najnowszych, niemających już nic wspólnego z czcicielami materii - jak choćby sekty igualistów. Jej założyciel, Jurij Kuragin, głosił, że podludzie mają taką samą duszę jak ludzie, a po śmierci reinkarnują się w siudrów, członków najniższej ludzkiej kasty. I co to komu szkodziło? Ale doktrynerstwo jak zwykle wygrało ze zdrowym rozsądkiem. Dobrzy Ludzie wywarli nacisk na rząd, a rząd rozprawił się z igualistami. Prawdziwa Religia głosiła bowiem, że podczłowiek zawsze zostanie podczłowiekiem, choćby zmieniał wcielenia jak rękawiczki.

Dobrzy Ludzie opanowali świat. Gardzili nie tylko materią, ale całą w ogóle doczesnością. Ich religia trafiała na podatny grunt, bo życie, jak wiadomo, jest ciężkie i każdy prędzej czy później dostaje od losu boleśnie po głowie, a wtedy traci zbędne złudzenia. Głosili, że wszystko, co materialne, jest złe, bo inne być nie może. Nie żeby krytykowali obowiązującą doktrynę omniseksualizmu. Skądże - oni głęboko gardzili tą stroną życia. Erotyka, ich zdaniem, stanowiła chory produkt plugawej materii. Potępiali seks, choć przecież jeden z Aksjomatów głosił, że, człowiek powinien posiadać każdego, kogo kocha".

Seks był dobry dla pospólstwa, stanowił rozrywkę gminu. Ludzie naprawdę uduchowieni woleli miłość czystą i wzniosłą - nieskalane renbo, mistyczną ekstazę. Niektórzy, tak zwani Doskonali, dokonywali manifestacyjnej samokastracji albo, protestując przeciw całej materii jako takiej, wybierali endure, skrajną praktykę ascetyczną prowadzącą do śmierci głodowej. Oni jednak stanowili elitę, i to coraz mniej liczną, bo wśród Dobrych Ludzi więcej dziś było kapłanów i ideologów na ciepłych posadkach niż Doskonałych skłonnych do męczeństwa. Ale to dzięki nim Dobrzy Ludzie nadal mieli rzesze zwolenników czy wręcz czcicieli, choć dni ich potęgi powoli odchodziły w przeszłość.

Wyłącznie na Pograniczu tułały się jeszcze niedobitki innowierców, głównie wśród wolnych plemion. Prędzej czy później Agencja dobierze się im do tyłków. Kłamstwo i zło nie miało prawa pienieć się po świecie.

„Agencja ma rękę karzącą, lecz sprawiedliwą” - głosiło hasło tej instytucji. Celem Agencji było szerzenie dobra, miłości i tolerancji poprzez likwidację wrogów dobra -

likwidację, rzecz jasna, nie fizyczną, lecz duchową. Nikt nie karał heretyków śmiercią. Joszuici nie ginęli już z modlitwą na ustach, rozszarpywani przez lwy, jak to załatwiano w dawnych ciemnych stuleciach. Zamiast niszczyć materię, która i tak jest złudzeniem, przerabiano umysł.

Ale reedukacja zostawia ślady... Suleyman Raszd na pewno jej nie przeszedł. Nie byłby tak spokojny, tak stabilny psychicznie. Już raczej pracuje jako zwyczajny płatny prowokator, wyszukujący niepewny element. Jest w nim coś budzącego zaufanie. To ważne dla prowokatora. Wygląda jak wielki miś, więc kobiety przy nim miękną...

- Nie - powiedziała Oria głośno. - Żadnego seksu.

- Wszystko jedno, każ go przyprowadzić. Obojętne, co z nim zrobisz, nie powinien przebywać z resztą niewolników. A już zwłaszcza z Zunyere. Jej kontroler z Urzędu do Spraw Podludzi ostrzegł ją właśnie, że przysyła za mało nowych danych. Teraz będzie wychodziła ze skóry, żeby wyszpiegować jakąś sensację.

- Spreparujmy jej coś.

- Nie ma pośpiechu. Tak znów pochopnie się jej nie pozbędą. Jest za dużo użyteczna. Zresztą każdy jej raport trafia do Agencji, a już Agencja na pewno nie pozwoli jej zredukować, póki jest moją kochanką. Nie odetną sobie takiego źródła informacji. Chyba że podsuną mi najpierw inną kobietę.

- Szkoda mi jej. Jedna wpadka przy testach na inteligencję i przez resztę życia musi w zębach przynosić raporty... To mogło się być i nam przytrafić.

- Nie każdy jest tak mądry, by skutecznie udawać głupiego - odpowiedział sentencjonalnie Dag. - Wracając do tematu, uważaj na Raszda. Cały czas, gdy odbierałem jego myśli, odnosiłem wrażenie, że on wie o tym. A przecież na czas przesłuchania zablokowałem mu alarm telepatyczny.

Oria spochmurniała.

- W porządku, Dag. Nie obawiaj się.

- Masz do niego stosunek uczuciowy. W nikłym stopniu, ale jednak. To niebezpieczne. Tylko wzruszyła ramionami.

## Rozdział VI

Przyprowadzony przez robota Sule wszedł do sypialni Niao Ichi i posepnie spojrzął na zatraskujące się drzwi.

- Dobry wieczór - przywitała go Oria uprzejmie.

Nie rozchmurzył się. Podszedł do łóżka, na którym siedziała z podwiniętymi nogami, i stanął tuż nad nią, jak masywna góra. Z wyżyn swojego wzrostu wbił w nią ponury wzrok.

- Co się stanie z moją kuzynką? - spytał szorstko.

Mówił w omoi. Oria uniosła brwi i odpowiedziała w tym samym dialekcie:

- O tym zadecyduje Yaoying.

Bursztynowe oczy pociemniały. Oria prawie się uśmiechnęła. Dag mógł sobie do woli drzwi z banalności tego porównania, ale to nie zmieniało postaci rzeczy.

- Co Yaoying robi z Delfi? - zagrział wielkolud.

Oria zmierzyła go wzrokiem. Sule miał bardzo niski, basowy głos, doskonale ustawiony i o dużej sile. Zazwyczaj mówił dość cicho. Gdy odezwał się głośniejszym głosem, zabrzmiało to, jakby grom huknął.

- Bądź łaskaw nie krzyczeć. I nie zadawaj głupich pytań. Możliwe, że ta twoja Delfi umie świetnie grać w jakąś inteligentną grę albo ma gadane jak Szeherazada, bo jeśli nie, to nadaje się tylko do jednego.

- I nie przeszkadza ci to? Przecież ona ci robi konkurencję. Nie powinnaś pozwalać, żeby Yaoying uprawiał seks z kimkolwiek oprócz ciebie.

Wzruszyła ramionami.

- Ja z nim seksu nie uprawiam. To jedna z niewielu rzeczy, których nigdy razem nie robiliśmy. Nie ma takiego obowiązku, wiesz. I nie martw się o tę twoją Delfi. Będzie zadowolona.

Uznała temat za wyczerpany, ale Sule nie rozpogodził się ani trochę.

O mnie nikt nie robił tyle hałasu - pomyślała z urazą.

Od dziecka wyrosła w triadzie. Została gruntownie wykształcona w teorii i praktyce technik seksualnych i chcąc nie chcąc odbywała te nużące, mechaniczne i nieraz obrzydliwe ćwiczenia, odkąd skończyła dziewięć lat. Nawet do głowy jej nie przyszło uważać się nad sobą. Prowadziła przecież egzystencję najzupełniej normalną. Wszystkie dzieci oddawały tego rodzaju usługi swym przełożonym i starszym kolegom. Wojownikom nie wolno było

przebywać w wirtualu dłużej niż przez godzinę tygodniowo, więc przez resztę czasu ich potrzeby musiały być zaspokajane w realu.

Nie zrobiła kariery przez łóżko. Cóż, była niezaprzeczalnie biała. Koleżanki za jej plecami opowiadały, że ma ciało blade jak glista, że jest chuda i kanciasta jak Doskonała pod koniec endury i że, jak każdy z jej rasy, porasta wstrętnym włosiem. Oczywiście żadna nie odważyła się powiedzieć jej tego w oczy.

Ale brzydota miała swoje zalety. Oria nigdy się nie bała, że straci urodę podczas bójki, więc walczyła bezwzględnie, ani dbając, że sama też oberwie. Jej kobiece zwierchniczki, bardziej wybredne od mężczyzn, nigdy nie uważały jej za atrakcyjną - i dobrze, bo seks z mężczyznami bywał już wystarczająco paskudny. Pewnie, że była oziębła, no i co z tego? Oziębłym żyje się łatwiej. Zresztą po co komu orgazm w realu, skoro w wirtualu są lepsze? I tak szczęście, że nie nabawiła się trwałych urazów psychicznych. W gruncie rzeczy udało jej się całkiem nieźle przetrwać wychowanie w tongu.

Dag, niestety, miał problemy... Właściwie trudno się dziwić, po tym, co z nim robili jego zwierchnicy obojga płci, a kiedyś również współadepci. Większość jego kolegów została bi - lub triseksami, on zaś, dobiegając trzydziestki, wciąż musiał łykać afrodyzjaki dla wypełnienia wielu rytualnych obowiązków Yaoyinga. Dzieci, zwierzęta czy abionty nie podniecały go ani trochę; no, ale nie musiał się z nimi zadawać. Gorzej, że każde nagie ciało, czy to kobiece, czy męskie, latami budziło w nim takie obrzydzenie, że w końcu musiał zaaplikować sobie solidną autoterapię, by móc znów obojętnie patrzeć na siebie pod prysznicem. To właśnie w ramach terapii kupił Zunyere. Należało jej przyznać, że spisła się świetnie. Co prawda Agencja otrzymała przy okazji szczegółowy raport o problemach Daga, lecz Dag nie miał nic przeciw temu. Był racjonalistą. Jakies jego sekrety Agencja i tak powinna znać - choćby po to, by szeregowi kontrolerzy mieli się czym wykazać przed przełożonymi - a lepiej, żeby znali te sekrety niż inne. Chodziło przecież tylko o ciało, nic więcej.

Oria nie poddała się żadnym terapiom. Nie miała ochoty. Owszem, parę lat temu, z czystej ciekawości, podjęła ostatnią próbę, by polubić seks. Kupiła kilku bardzo przystojnych, świetnie wyszkolonych chłopaków. Niestety, przy najlepszych chęciach nie przemogła się, żeby z nich skorzystać.

Teraz spojrziała na swój nowy nabytek. Co za niedźwiedź. Gdzie mu tam do filmowej urody poprzedników! A jednak Sule podobał się jej w zupełnie inny sposób niż tamci. Tamtych podziwiała tak, jak podziwiała się piękne, obojętne rzeczy. Ich idealne twarze i ciała zanadto kojarzyły się z postaciami z wirtualu. Gładkie pokrowce dla pustki. Z żadnym nie miała



ochoty rozmawiać, przebywać, żadnego nie pragnęła dotknąć - po prostu dotknąć, nic więcej. Sule wydawał się bliski, jakby znała go od dawna. W jego uśmiechu, głosie, mimice było coś ciepłego i fascynującego.

Szkoda tylko, że te emocje pozostawały całkowicie nieodwzajemnione.

- Przestań dziwaczyć - poradziła mu. - Lepiej podziękuj swoim bogom, że ta Delfi nie trafiła na kanibala czy nekrofila. Wtedy dopiero miałbyś powód do zmartwień! I może udzielił się trochę jako niewolnik, dobrze? Nie po to cię sprowadziłam, żebyś mi nudził o tej samicy.

- A po co?

Oria ułożyła się wygodnie i zamknęła oczy. Kannon-samá, jak potwornie czuła się zmęczona! Chciałaby zasnąć, lecz napięcie wciąż w niej wibrowało.

- Bo ja wiem... Włącz partiví, wywołaj program i powiedz mi, co teraz idzie na każdej wiązce.

Rozejrzał się.

- Gdzie masz diadem?

- Prawda, ty nie wiesz. Ja rzadko oglądam partiví w virtu. Musisz włączyć ekran widokowy.

- Odbierasz partiví na ekranie? Dlaczego?

Oria westchnęła. Co za nudziarstwo, tłumaczyć to po raz kolejny. Większość podludzi, słysząc taką rewelację, patrzyła na nią jak na wariatkę. Tylko biedacy, których nie było stać na abonament, podłączali się nielegalnie przez ekrany widokowe. Partiví wymagała przecież osobistego zaangażowania, prawie że neuromii. Należało samemu wejść do programu, stać się częścią transmisji. Zdaje się, że nawet nazwa stąd się wzięła - od partycypowania, uczestnictwa.

- Wolę mieć dystans do wydarzeń. Zakładam diadem tylko przy filmach podróżniczych. I czasem przy historycznych, jak jest ładna scenografia.

- Coś podobnego. Przecież ty praktycznie oglądasz holowizję. Nawet nie wiem, jak się włącza partiví na ekranie.

- Zastukaj trzy razy w obudowę.

Bez pośpiechu podszedł do ściany z ekranem.

- Domyślam się, że założyłaś też blokadę mikrotunelu? - zagadnął.

- Pewnie. A z jakiej racji namolny prezenter ma mi przemocą wciskać swój towar? Kiedyś, kiedy jeszcze nie miałam blokady, cała sypialnia była regularnie zavalona reklamowanymi świństwami. Sprzątacze nie nadążały z usuwaniem tego śmiecia.

- To jeszcze najmniejszy problem - zauważył. - Pomyśl o piractwie mikrotunelowym.

Bardzo łatwo podłączyć się do cudzego odbiornika.

- Cieszę się, że choć ta blokada zyskała twoją łaskawą aprobatę.

Sule uśmiechnął się i zastukał w obudowę. Na miejscu ekranu pojawiły się ogromne, rozwierające się wrota. Gdy stanęły otworem, wyświetliło się menu. Oria znów przymknęła oczy. Czuła kielkującą pod czaszką migrenę.

- Program pierwszy: transmisja Publicznej Spowiedzi ze Świątyni w Monmer.

- Darujmy sobie. Nudne jak sondowanie czarnej dziury.

- Sondowanie czarnej dziury? Myślisz, że to nudne?

- Nic nie myślę. Tak się mówi. Naprawdę nie słyszałeś? Zresztą jest w tym jakiś sens.

W czarnej dziurze każda minuta wlecze się milion lat.

Sule zmarszczył brwi. Nie znał tego powiedzonka. Po powrocie do domu trzeba będzie wgrać sobie memo z aktualizacją mówionego omoi. Najwyższy czas. Dawno tego nie robił, a przecież język stale się rozwija.

- Na programie drugim - podjął - „Blask księżycy drżący w mrocznej tafli jeziora”, film psychologiczny, który zdobył prestiżową nagrodę Omfalos.

Oria podniosła powieki i spojrzała na mgłę, ścielącą się w miejscu ekranu. Przez gęste opary sunęła uduchowiona kobieca postać, tocząc dokoła rozkojarzonym wzrokiem. Jej długa do kostek suknia była wilgotna od rosy.

Tak, do tego można by założyć diadem. Przynajmniej na chwilę. Poczuć na stopach mokrą trawę, na twarzy podmuch wiatru... a pośród mgły majaczyło coś jakby krzewy bzu. Obsypane kwiatami, jak to na filmie. Ależ tam musi pachnieć, w tym partiví...

Tylko że trzeba by także wczuć się w psychikę postaci. Na przykład tej nawiedzonej w długim giele. I śledzić akcję, tak wyrafinowaną intelektualnie, że bez pięciu doktoratów człowiek nie zrozumie, o co chodzi. Nie warto. Skoro film zdobył nagrodę, na pewno nie nadaje się do oglądania.

- Na trzecim planetarne zawody sumo. Na czwartym wiadomości. Po wiadomościach program uczestniczący z udziałem obywateli z całej Ziemi: dysputa ze świętym Gompą Radżaguptą.

- Tylko nie to! - prychnęła Oria, krzywiąc się z odrazą.

Sule uśmiechnął się, rozbawiony.

- Sri Gomba jest oficjalnie uznanym prorokiem - zauważył. - Wydaje mi się, że przysługuje mu nawet tytuł Rimpoche, bo przecież to szacowny doktryner, twórca komentarzy i wykładni do Niebiańskich Praw. Nie lubisz go?

Święty Gomba - skośnooki mężczyzna z kasty aminów, ubrany we fiołkową szatę

Dobrego Człowieka - wyciągnął ku nim dłonie, jakby chciał ucapić ich za kark.

- Wykasuj tego kretyna. On uważa, że podczłowiek to chodząca obraza Wszechducha, naczynie nieczystości.

- Ale ma też wiele innych poglądów. Postęp Anizotropowy, na przykład. Co za wizja. Sol Wangkuo zasiedlające całą Galaktykę, niosące kaganek oświaty zacofanym ludom... Nie porywa cię to?

- Jakoś nieszczególnie. Sule zaśmiał się cicho.

- A zarazem przeciwstawia się kartystom. To duży plus, nie sądzisz?

Tutaj Oria niechętnie musiała mu przyznać rację.

Kartyści budzili sprzeczne emocje, zarówno entuzjazm, jak niechęć. Po trzystu latach uduchowionej gnozy narodził się oto ruch całkowicie zorientowany na cielesność. Sam fakt, że kartyści działali legalnie, a Rada Arcykapłanów nie uznawała ich za heretyków, dowodził zarówno ich własnej teologicznej sprawności, jak osłabienia katarskiego betonu. Oria ich nie znosiła. Odkąd paru bałwanów wymyśliło Kartę Praw Materii, zadrżał w posiadach ostatni bastion rozsądku w Sol Wangkuo. Prawa materii nieożywionej oznaczały bowiem dodatkowe obowiązki dla człowieka. No, jeśli Karta zyska kiedyś poparcie Archontów, to ci dopiero nastaną wesołe czasy!

- Gdybyś miała normalne partiví, moglibyśmy pooglądać ten program uczestniczący. Słyszałem o tych programach! Podobno każdy z nich to skrzyżowanie wiecu sekciarskiego z publicznymi zamieszkami. Ludzie krzyczą, plują, pyskują, rzucają w siebie fantomami albo mikrotunelują zgniłe pomidory. Zabawnie to musi wyglądać.

- Sama bym chętnie czymś cisnęła w tego idiotę. Tylko że on i tak ma osłonę.

- Zobacz, jak czasy się zmieniają - zauważył Sule filozoficznie. - Jeszcze sto lat temu za krytykowanie Doskonałego lądowało się na reedukacji.

- To tylko świadczy, że nawet z kogitystów jest jakiś pożytek. Chociaż na dłuższą metę kogityści mogą się jeszcze okazać gorsi od Dobrych Ludzi. Co na piątym?

- Program piąty: wesoły, pełen temperamentu halucynat renomowanej grupy onidelirycznej Zabójcy Demonów. Na szóstym „Piegi”. Zwariowana komedia o zazdrosnej kobiecie, która ściga po całej Galaktyce swego byłego kochanka i dwoje jego aktualnych partnerów, żeby ich obedrzeć ze skóry, co ostatecznie jej się udaje, ale...

- Ale?

- Nie wiem. Zdanie nie jest zakończone. Gwarantowany wspaniały humor i zestaw znakomitych gagów.

- A na ostatnim programie?

- Macie na Ziemi tylko siedem?
- Czego chcesz, to prowincja.
- „Dwa serca złączone, klucz rzucony w morze”.

Romantyczna opowieść o wielkiej, niespełnionej miłości pomiędzy Sun Hsiang Tangaro, wybitnym naukowcem, aminem, a Wututu Chac, skromną urzędniczką z kasty wajsa. W rolach głównych żywi aktorzy.

- No dobrze. Co byś wybrał?
- Zawody sumo.
- Te koszarne grubasy, obłapiające się nawzajem?
- Więc wiadomości.
- W porządku, włącz.

Program informacyjny, jak zwykle, pełen był relacji z Sol Wangkuo. Nieliczne wieści z innych cywilizacji galaktycznych dotyczyły nieodmiennie głodu, wojen, łamania praw człowieka, szalejących epidemii, skażeń genetycznych, konfliktów etnicznych albo konkurencji międzypłciowej.

Sule zalogował się w chwili, gdy trwała wypowiedź jednego z lokalnych prawodawców. Prawodawca surowo potępiał niedawne zajścia na Mulungu, gdzie dwie neuromie, z których każda prowadziła duchomat, starły się ze sobą tak brutalnie, że omal nie doszło do ofiar w ludziach. Zacietrzewieni sekciarze próbowali z wielką energią ukamienować przeciwników. Prawodawca grzmiał i gromił; Oria westchnęła, pokręciła głową i zmieniła program.

Przez następne parę minut w grobowym milczeniu śledzili „Piegi”. Film został w całości wykreowany przez kogiter, łącznie ze scenariuszem i wszystkimi postaciami, więc fabuła była płaska i jawnie bzdurna. Ścigany kochanek spadł właśnie z orbitalnej stacji kosmicznej na powierzchnię planety, po czym wstał, otrzepał się energicznie ze strzępów chmury i ruszył ku dalszym przygodom.

- Zaraz, dlaczego my się nie śmiejemy? - spytał w końcu Sule, spoglądając na Orię ciekawie. - Niech no zgadnę: masz wyłączone empatory.

- Owszem. To nie jest zakazane.

- Nic dziwnego, że się nudzimy. Przy włączonych empatorach zachwycilibyśmy się wszystkim jak leci.

- A może ja wcale nie chcę zachwycać się wszystkim jak leci? Nie przyszło ci jeszcze do głowy, że mam wredny charakter?

Drzwi sypialni rozsunęły się. W progu stanął Dag. Jak zwykle był nieskazitelnie

opanowany, lecz Oria wyczuła jego irytację.

- Chodź, pomóż mi - powiedział.

Już była na nogach.

- Co się stało?

- Właśnie próbuję się dowiedzieć. Może ty jako kobieta prędzej zrozumiesz, o co jej chodzi.

- Komu?

- Podobno ma na imię Delfi.

- Ładne. Jak u kapłanki jakiegoś Apollina.

- Przestań. Miałem ciężki dzień.

Sypialnia Daga - przestronna, umeblowana skąpo i funkcjonalnie - mieściła się przez ścianę z sypialnią Orii. Na wielkim łożu, zagrzebana w prześcieradłach, leżała całkowicie ubrana Delfi, kurczowo przyciskając do siebie poduszkę i płacząc histerycznie. Łóżko aż drżało od jej spazmów; spomiędzy poduszek dobiegało rozpaczliwe szlochanie. Idealne nogi Delfi, wciąż w obcisłych rajstopach, wystawały spod pomiętej pościeli, a długie, złociste włosy rozsypały się w luźne pasma.

Oria spojrzała zde gustowana:

- Ona tak cały czas?

- Teraz to jeszcze nic. Żałuj, że nie widziałas tego cyrku, który mi odstawiła przed chwilą.

- Trzeba mnie było zawołać. Już ja bym ją uspokoiła.

Sule, który wszedł do sypialni za Orią, usiadł przy Delfi i niezręcznie poklepał ją po plecach.

- No, już, już. Nie płacz. To tylko ja.

Delfi oczywiście natychmiast puściła poduszkę i przywarła do jego szerokiej męskiej piersi. Niesmak na twarzy Orii jeszcze się pogłębił.

- Co za krowa.

Sule spojrzał na nią ciężkim wzrokiem.

Yaoying i Niao Ichi stali teraz jedno obok drugiego - oboje szczupli, wysocy, sprężyści jak dzikie zwierzęta. Na Suleya spoglądały z jednakowym chłodem dwie pary jasnych oczu, tylko nieznacznie różniących się odcieniem. Mężczyzna miał oczy wąskie, jakby przymrużone, o zupełnie srebrnych tęczówkach, podczas gdy oczy dziewczyny były duże, a tęczówki po prostu jasnoszare, nie tak metaliczne. Yaoying miał włosy całkiem czarne, Niao Ichi - ciemnobrązowe. Twarze obojga pokrywał trójwymiarowy tatuaż, pod którym ledwo

dawało się rozpoznać rysy. Mimo to im dłużej Sule patrzył, tym wyraźniej dostrzegał fizyczne podobieństwo.

- Jesteście rodzeństwem! - odkrył, zdumiony.

Zignorowali go.

- Ona się boi - stwierdziła Niao Ichi, rzucając Delfi nieprzyjazne spojrzenie. - Albo udaje, bo nie rozumiem, czego tu się bać. Ty i tak jesteś cierpliwy. Każdy inny mężczyzna miałby w nosie jej humory i po prostu by ją zgwałcił.

Odwróciła się na pięcie, pobiegła do łazienki i nabrała zimnej wody w kubek Daga do mycia zębów. Powróciwszy, złapała garść blond włosów. Zamierzała szarpnięciem odciągnąć w tył głowę niewolnicy, lecz Sule chwycił ją za przegub. Zabolało.

- Zostaw - rozkazał spokojnie.

Chyba zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale nie zdążył. Dag znalazł się za nim i brutalnie wykręcił mu ramiona w tył. Sule syknął. Choć był potężnym mężczyzną, daremnie próbował się uwolnić. Każdy ruch tylko wzmacniał ból napiętych więzadeł.

Oria odwróciła ku sobie twarz Delfi i chlusnęła zimną wodą. Delfi wydała przeraźliwy pisk.

- Uspokój się, idiotko! - warknęła Oria gniewnie. - Wiesz, jak wyglądasz? Gęba spuchnięta, nos jak pomidor, a koło ust wylazł ci rekordowy pryszcz! Opanuj się, histeryczko, bo Yaoying odda cię pierwszemu lepszemu Wojownikowi! O co ten krzyk? Pomyślałby kto, że masz iść do łóżka z Drakulą!

Liczyła, że te słowa rozsądku, w połączeniu z zimną wodą, otrzeźwią niewolnicę. Nic podobnego. Delfi spojrzała na nią tylko ze zgrozą wielkimi brązowożółtymi oczami, wykrzywiła usta i ze zdwojoną siłą uderzyła w płacz. Łkała głośno, a łzy spływały jej po twarzy jak z konewki.

Dag puścił Suleya i stanął nad niewolnicą.

- Rzeczywiście, nie wygląda atrakcyjnie.

- Zamiast w łóżku, powinieneś ją umieścić na środku Sahary. Od razu zrobiłoby się jezioro, a potem może oaza.

- Woda we łzach jest słona - przypomniał rzeczowo Yaoying.

- No to mógłbyś hodować śledzie. Bo innego pożytku z tej dziewczyny to ja naprawdę nie widzę.

- Przestańcie się z niej nabijać, sadyści! - wycedził Sule. - Chciałbym zobaczyć was na jej miejscu!

- Trzeba się było zgłosić parę lat wcześniej - odparła Oria. - Teraz możesz już tylko

pomarzyć.

- Popatrz, on to naprawdę przeżywa - zdziwił się Dag. - W tym cielsku King Konga reinkarnował się błędny rycerz, Galahad!

- Ciekawe, gdzie się nauczył takich bzdur? Chotał-Ekwa niespecjalnie przypomina zamek Camelot. Czyżby ostatnio coś się tam zmieniło?

- Zabieraj go. Dość mam wrzasków na dziś.

- Zatrzymujesz dziewczynę?

- Odeślę ją do boksu. Jak spędzi noc na betonie, może przemyśli sprawę.

Sule rzucił mu ponure spojrzenie. Pamiętał z przesłuchania ten cichy, zimny głos, totalnie wyprany z ludzkich emocji. Delfi mogłaby z równym powodzeniem szukać miłosierdzia w sercu żarłacza ludojada.

Yaoying odwrócił się, by podejść do terminalu komputera.

Znienacka Sule skoczył na niego z ręką uniesioną do ciosu. Dag zareagował odruchowo, błyskawicznie. Sule dosłownie nadział się na jego pięść. W tym samym ułamku sekundy Wojownik uderzył go w kark.

Ogromny mężczyzna osunął się na kolana z głuchym stęknieniem. Oria w jednej chwili znalazła się przy Delfi i złapała ją za szyję szczupłymi, mocnymi palcami. Mogła się nie fatygować. Żółtowłosa nawet nie próbowała walczyć u boku swego obrońcy. Dygotała jak uszkodzony silnik, zalewając się łzami.

Dag podszedł do komputera, włączył go i wydał kilka poleceń. Moment później w sypialni pojawiły się roboty. Jeden z nich sprawnie zabrał Delfi, której zawodzenia jeszcze się wzmogły, choć przecież opuszczała sypialnię Yaoyinga. Drugi robot zbliżył się do skulonego na podłodze Suleya.

Sule zdołał wstać i aż się zatoczył, zgięty w pół. Oria spojrzała na niego z niepokojem. Dag był cyborgiem, miał w rękach biowszczepy; jego ciosy potrafiły miażdżyć narządy wewnętrzne. Na szczęście niewolnik w końcu się wyprostował, bledszy niż zwykle, ale chyba zdrowy. Robot unieruchomił mu dłonie i owinął przeguby kawałkiem kabla.

- Chwilowo - powiedział Dag do Orii - twój pieszczonek będzie chodził związany. Jutro lub pojutrze, jeśli znajdę czas, założę mu hipnoblokadę.

Sule doszedł już do siebie. Popatrzył na Yaoyinga ponuro, bez strachu. Zmierzyli się wzrokiem.

- Nie zabiłem cię, bo jesteś wart trzydzieści parę czerwonońców - stwierdził Dag oschle.

- Chwalebna oszczędność - wycedził Sule.

- Taka jest cena rynkowa za twoje ciało. Za duszę, o ile masz duszę, nic nie płacą.

Pamiętaj o tym. Jeśli jeszcze raz zrobisz coś, co mi się nie spodoba... cokolwiek, Raszd... zajmę się twoim umysłem. Sam siebie nie poznasz, kiedy z tobą skończę. A już na pewno nie pozna cię nikt na Chotał-Ekwa.

Dag mówił cicho, wbijając w Suleya przeraźliwie jasne oczy. Sule zbladł. Zacisnął pięści; przez moment wyglądał, jakby wbrew wszelkim szansom chciał rzucić się na Wojownika.

- Dobrze, Yaoying - powiedziała Oria szybko i wzięła Suleya za unieruchomioną rękę.  
- Już ja dopilnuję, żeby mój niewolnik więcej cię nie drażnił. A ty, Sule, nie rób takiej bojowej miny. Yaoying wykazał maksymalnie dobrą wolę. Teraz chodź. Tę noc spędzisz u mnie.



## Rozdział VII

Sule przespał noc ubrany i związany, na kocu w łazience, między sedesem a prysznicem. Oria uwolniła go rano, odblokowując drzwi. Gdy sama wyszła z łazienki, odkryła, że Raszd przeniósł się bez pytania w wygodniejsze miejsce. Dziwna rzecz - humor miał całkiem niezły. Rozwalał ogromne cielsko na jej łóżku, ziewając potężnie i z niesmakiem patrząc na koncentrat proteinowy, zostawiony mu na śniadanie.

- Muszę stanowczo zaprotestować przeciw jakości posiłków w tym hotelu - wymamrotał. - Materace macie jakieś twarde, a budzenia wcale nie zamawiałem. Gdzie tu się składa reklamacje?

Oria zastanowiła się, już w progu.

- Czy ja wiem? Pewnie u Yaoyinga. Ale na twoim miejscu raczej bym nie liczyła na pozytywne rozpatrzenie.

Znalazła Daga w gabinecie.

Siedział z nogami na biurku. Przed nim wisiała owalna czarna plama, po której sunęły kolorowe, trójwymiarowe szeregi fraz w gao yeyán, wewnętrznym języku neurikomów i wyższych kogiterów. W ciemnej głębi projekcji pojawił się właśnie złożony bladożółty wielobok, opatrzony rzędami skomplikowanych matematycznych zapisów. Orii nic to nie mówiło. Nie potrafiła odróżnić całki od funkcji. Co tu zresztą gadać o całkach - nie potrafiła wykonać prostych działań arytmetycznych bez pomocy kalkulatora.

Projekcja była emitowana przez dorodnego puchacza malajskiego, który siedział na biurku, nastroszony jak zwykle, gdy pracował. Jego ciemnoszare, niemal czarne oczy omiotły wchodzącą Orię kłującym spojrzeniem. Podeszła i pogłaskała ptaka po mięciutkich piórkach na brzuchu. Puchacz ani drgnął.

Oria była jego formalną właścicielką - o ile dałoby się tak powiedzieć o dziewczynie z triady, nieposiadającej na własność nic kompletnie, nawet swego ciała. Roboty-maskotki w formie drapieżnych ptaków wyszły z mody gdzieś przed dziesięciu laty. Oria kupiła puchacza właśnie dlatego. Wybrała rzadki gatunek, który w przyrodzie dawno już wyginął. Nazwała ptaka Fulko, choć z punktu widzenia etymologii było to właściwie imię dla sokoła. Podobało jej się jednak. Niejasno kojarzyła je z elegancją i szlachetnością, sama nie rozumiejąc, dlaczego.

Wojownicy znali metody obchodzenia systemu biokart kredytowych, toteż mogła

zamówić najdroższy model z serwisu oficjalnie przeznaczonego tylko dla ludzi. Fulko okazał się naprawdę piękny - wielki, o gęstym pierzu, mocnych piórach i imponujących, nastroszonych puchaczych uszach. Był jasnoszary, Prawie kremowy, w brązowe i ciemnoszare cętki.

Niedługo się nim nacieszyła. Dag ujrzał nową zabawkę siostry, odczekał trochę, aż Fulko straci urok nowości, po czym spokojnie go zarekwirował. W tajemnicy wypruł wnętrze robota, zostawiając tylko zewnętrzną ptasią powłokę, i wbudował mechanizm konstruowany przez siebie osobiście.

Neurikom.

Podobno pierwsze neurikomy zostały stworzone przez ludzi. Było to w czasach dawnych i na pół bajecznych, kiedy uważano jeszcze, że kogiter to po prostu udoskonalony komputer, zaś neurikom - udoskonalony kogiter. Współczesne neurikomy osiągnęły taki poziom złożoności, że mogły być projektowane i konstruowane wyłącznie przez neurikomy starszej generacji. Uchodziły za odrębną formę inteligencji, w niczym nie przypominającą istot ludzkich. W Sol Wangkuo tytułowano je Powiernikami Nadludzi lub wręcz Powiernikami Bogów. Stały ponad systemem kastowym, ulokowane hierarchicznie między ludźmi a nadludźmi. W gruncie rzeczy stanowiły trzeci gatunek istot rozumnych, zamieszkujących Sol Wangkuo, obok *homo sapiens* - człowieka i pseudohomo - podczłowieka. Nadludzie istnieli poza oficjalną biologią jako byty już anielskie, choć jeszcze obarczone materialnym ciałem.

Pod względem potencjału mentalnego Fulko dorównywał najlepszym solaryjskim neurikomom, a technicznie nawet trochę je przewyższał. Zarazem miał inteligencję na poziomie umiarkowanego niedorozwoju i jedynie szczątkową osobowość. Dag, zawsze ostrożny, zabezpieczył się w ten sposób przed nadmierną emancypacją swojego tworu. Nie potrzebował partnera ani tym bardziej konkurenta. Chciał tylko uzyskać znakomite narzędzie. Ciągłe udoskonaliał Fulkona i poprawiał, wprowadzając nowe, własne wynalazki i rozwiązania. Fulko stał się ahumanoidem o potężnej mocy.

Oria wolała nie myśleć, co by się rozpełtało, gdyby ktoś odkrył prawdziwą naturę puchacza. A przecież neurikomy Ziemi były jasnowidzami, Agencja też miała swoich mentatów, którzy mogli wpaść na trop, zwłaszcza jeśli opili się ayahuasco i podłączyli do solidnych wzmacniaczy. Baza Migong była wprawdzie otoczona ekranem, którego szczelność stale kontrolowano, a Dag też znał różne sztuczki, lecz mimo to cały czas balansowali na granicy śmiertelnego ryzyka. Toteż Oria stale się bała. Była do tego przyzwyczajona. Już od dwudziestu lat żyła w chronicznym lęku, który jeszcze się pogłębił, odkąd Dag zajął się swoją

pasją.

- Cześć - mruknął Dag, nie odrywając oczu od projekcji.

Oria podeszła do niego. Spojrzawszy na potargane czarne włosy brata, rozwiązała wstążkę i w pół minuty zaplotła mu porządny warkocz. Dag nie zwrócił na nią uwagi, zaabsorbowany pracą.

- Zostaw to na chwilę - powiedziała, gdy skończyła. - Chcę z tobą porozmawiać.

Gestem dłoni zatrzymał sunące barwne frazy.

- W nocy zrobiłam badania genetyczne tych dwojga niewolników. I wiesz co?

Urwała dla większego efektu. Dag milczał, czekając niewzruszenie.

- To nie są biali Solaryjczycy.

To go zaskoczyło. Źrenice Yaoyinga rozszerzyły się leciutko.

- Tak jak ty, byłam pewna, że należą do solaryjskiej rasy białej. Ale zrobiłam im mapę genomu i posprawałam różne rzeczy. Oni nie należą do żadnej z ras powstałych na Ziemi. Albo są transgeniczni, wyhodowani na zlecenie Agencji, albo to przedstawiciele obcej cywilizacji kosmicznej.

- Której?

- Wedle atlasu rozpoznań, Medh. To znaczy, po solaryjsku, Medy.

Dag zmarszczył brwi.

- I to się da ustalić na sto procent? Dla mnie oni wyglądają tak jak ty czy ja.

- Owszem - przyznała Oria i uśmiechnęła się. - To dlatego, że *homo sapiens* występuje pospolicie w naszej Galaktyce. Podobnie jak inne gatunki. Znasz teorię protoprzejsć nadprzestrzennych?

- Coś słyszałem - wzruszył ramionami. - Podobno wszyscy pochodzimy z jednej planety, nie wiadomo której, skąd w jakiejś nieokreślonej przeszłości rozpleniliśmy się po kosmosie przez naturalne tunele nadprzestrzenne, które potem z nieznanymi przyczynami same się zamknęły. Tak, znam to. O ile wiem, poważni naukowcy uważają tę teorię za bzdurną.

- Koncepcja protoprzejsć ma sens, Dag. Mówię ci to jako genetyk. Tylko że sto lat temu z Arkadii przyszła dyrektywa, nakazująca zwalczanie tej teorii.

- Z Arkadii? Czemu nadludziom przeszkadzają protoprzejsćia?

- Tego nikt nie wie. A te prawomyślne teoryjki są bzdurne. Wyobraź sobie, nasi biolodzy twierdzą, że IPSIROS na wielu planetach przebiegał podobnie, bo modelował go rezonans infopola Galaktyki!

- Co przebiegało podobnie?

- IPSIROS. Insularny Psychogeny Rozwój Skokowy.

- Aha, to - skinął głową Dag. - Ewolucja skokowa, tak?

- Nie używaj tej kretyńskiej nazwy. Wymyśliły ją głupie media i teraz wszyscy powtarzają. Albo „evolucja”, albo „skokowa”, razem to... jak się nazywa zestawienie sprzecznych pojęć? Nieważne. W każdym razie żaden genetyk nie uwierzy, że w różnych miejscach rozsianych po całej Galaktyce ni z tego, ni z owego powstały same z siebie tysiące genetycznie tożsamy gatunków. Zresztą żadne morfogenetyczne rezonanse infopola nie tłumaczą takiej masy zbieżnych specjacji. Nie, Galaktykę zamieszkuje dokładnie jeden i ten sam rodzaj *homo sapiens* czy pseudohomo, jak zwał, tak zwał... To nie są żadne podobne człekoformy. To podludzie, tacy jak my.

- W takim razie jak możesz twierdzić z całą pewnością, że tych dwoje niewolników pochodzi z Medy?

- A, bo w obrębie jednego gatunku istnieją różnice rasowe. Pomyśl tylko. Przecież poza Sol Wangkuo żyje kilkanaście odmian rasy białej, kilkanaście odmian żółtej i czarnej, a są i takie rasy, których nigdy nie znano na Ziemi. A nawet w obrębie jednej i tej samej odmiany funkcjonują rozmaite podtypy. Każda odmiana jest odrębna, fenotypowo i genetycznie. Sule ma jasną skórę i rysy podobne do staroeuropejskich, ale łatwo pokazać na mapie genomu, w jaki sposób różni się od białego Solaryjczyka. Zresztą można to sprawdzić w praktyce. On inaczej będzie reagował na niektóre leki i pokarmy i ma tendencję do rozwoju innych chorób.

- Czy jako Medycyzk powinien wykazywać brak reakcji na hillium?

- Jego brak reakcji jest nabyty. Został uodporniony na hillium i na kilka innych tego rodzaju środków, w tym dwa nieużywane na obszarze naszej cywilizacji.

Zapadło milczenie. Oria uśmiechnęła się.

- I co ty na to?

- Właściwie - powiedział Dag z namysłem - powinienem przekazać ich do centrali. Bo tylko centrala ma prawo zajmować się kosmitami. Ale...

Porozumieli się wzrokiem.

- Ale nie przekażesz - dokończyła Oria. - A ja zniszczę wyniki badań.

Kiwnął głową i spojrzął na zegarek. - Przepuszczę ich przez mentoskop. Jutro się tym zajmę, dziś nie mam czasu.

- A co planujesz?

- Jak to co? Mam randkę.

Twarz Orii ściągnęła się.

- Vikman?

- Mhm. Muszę jej odpalić udział w zyskach.

Oria objęła go i pocałowała w czubek głowy.

- Uważaj na siebie.

- Robisz się coraz bardziej uczuciowa - powiedział, nie patrząc na nią. - Potrzebujesz mężczyzny.

- Niech Kali porwie mężczyzn. Mam pilniejsze kłopoty - Oria zachmurzyła się. - Choćby ta cała Vikman. Oby zdechła i szeszła, przeklęta modliszka!

W jej głosie zabrzmiała jednak nie zawziętość, a rezygnacja. Vikman, na swoich wyżynach władzy, znajdowała się daleko poza zasięgiem jej życzeń, dobrych czy złych. Była Brigadeführerem Agencji.

Agencja, która czerpała wzorce z wielu dziwnych źródeł - od ismailitów, na przykład, albo od inkaskiej biurokracji i carskiej Ochrony - zapożyczyła hierarchię i nazewnictwo rang od dawnej SS. Zdaniem historyków, SS stanowiła mistyczny i magiczny zakon, oparty na katarskiej gnozie, którą pasjonował się pierwszy Reichsführer, Heinrich Himmler. I w ten oto sposób, może celowo, a może niechcący, władze Agencji stworzyły zabawny dziejowy paradoks: nic chyba nie mogło być bardziej obce współczesnym wielorasowym Sturmmanom i Oberführerom niż pomysł wyhodowania blondgermańskiego narodu panów.

Brigadeführer Vikman miała oczy skośne jak pantera i złocistobrązową skórę. Na dodatek do swej pozycji, majątku i talentów, musiała być jeszcze piękna... Jej spotkania z Dagiem trwały długo. Za długo na nerwy Orii. Zawsze czekała na powrót brata z tajonym lękiem, tak spięta, że ciało jej marzło i usta zasychały. Trzeba go będzie wreszcie namówić, by pozbył się tej kreatury, zanim ona pozbędzie się jego. Piękna Vikman wiedziała już, że z podludzi można robić abażury do lamp; tylko patrzeć, a dowie się, że można z nich również produkować mydło.

Oria westchnęła. Poszła do sypialni Daga, spojrzała z roztargnieniem na pomiętą pościel - aha, Dag wziął sobie Zunyere - i zabrała tacę z resztkami śniadania. Trzeba zadzwonić do kuchni po placek i porządne kotlety dla Suleya. Podwójną porcję. Taki wielkolud pewnie je za dwóch.

Na myśl o Suleyu humor odrobinę jej się poprawił. „Muszę stanowczo zaprotestować przeciw jakości posiłków w tym hotelu”. Wkrótce pan hrabia zacznie narzekać na bezczelność obsługi i niski poziom rozrywek. Miło, że jest w bazie taki Medyczyk. Przynajmniej nad nim miała jakąś kontrolę. Wszystko inne było tak kruche, że aż bała się myśleć.

## Rozdział VIII

W mieście Peng Lai jak zwykle świeciło słońce.

Dom Vikman unosił się majestatycznie w powietrzu na wysokości stu pięćdziesięciu metrów nad ziemią. Z zewnątrz wyglądał jak spłaszczona, łagodnie opalizująca biała kula.

Na trzecim poziomie mieściła się okrągła sypialnia, urządzona w surowym, mistycznym stylu myrddiańskim. Gdziekolwiek spojrzeć, biel i szarość panowały niepodzielnie, w idealnej harmonii. Podłoga, sufit i wszystkie większe płaszczyzny biegły ostrymi skosami. Ścian nie było w ogóle - zamiast nich sypialnię okalały wielkie okna, sięgające od sufitu po posadzkę.

Z okien roztaczała się rozległa panorama Peng Lai - stolicy Ziemi. Miasto zdawało się maleńkie i bajkowo piękne, jakby mieszkały w nim czarodziejskie elfy. W rzeczywistości żyło tu sto tysięcy ludzi, co czyniło z Peng Lai największą aglomerację planety i przysparzało władzom miasta szeregu problemów, dotyczących przede wszystkim zaopatrzenia w wodę. Peng Lai leżało na wyspie, otoczone słonym oceanem; naturalne źródła wody słodkiej nie wystarczały dla zaspokojenia potrzeb nawet dziesiątej części populacji. Stolica nie przetrwałaby ani dwóch dni bez fabryk H<sub>2</sub>O. A ponieważ zgodnie z dyrektywą miało to być najpiękniejsze miasto na Ziemi - i było, bez dwóch zdań - lokalne władze finansowały także stałą osłonę meteotechniczną. To dlatego zawsze panowała tu wspaniała pogoda, a mikroklimat uchodził za wyjątkowo korzystny. Całe Peng Lai trzymane dosłownie pod kloszem - pod gigantyczną, niewidzialną osłoną. Wszystko to kosztowało, i to dużo, toteż podatki lokalne były tu jeszcze wyższe niż w osiedlach kosmicznych.

Dom Vikman płynął powoli na wietrze, łagodnie opierając się prądom, próbującym unieść go w dal. Został solidnie zakotwiczony nad lesistymi wzgórzami. Gdyby Vikman pootwierała okna, w sypialni, mimo znacznej wysokości, pojawiłby się tylko łagodny powiew, niosący znad lasów balsamiczne powietrze o zapachu żywicy. Dag lubił ten zapach, zupełnie inny niż sterylne wonie Migong. Kiedyś, przed dwoma laty, niebacznie go pochwalił. Od tamtej pory Vikman zawsze podczas jego wizyt trzymała okna szczelnie zamknięte. Nie ze złośliwości - uważała po prostu za niedopuszczalne, by podczłowiek za darmo delectował się najzdrowszym powietrzem, za które ona sama i inni ludzie musieli płacić wysoki podatek miejski.

Oprócz domu Vikman po niebie dryfowały jeszcze inne, z rzadka rozrzucone.

Większość rezydencji zbudowano jednak na ziemi. Gdzieś tam wśród gęstej zieleni sterczały dachy pałaców lub wieże uroczych zameczków. Mieszkali tam najwyżsi rangą aminiowie. Dalej, za posiadłościami bonzów, ciągnęły się wielkie obszary parkowo-leśne, otaczające masywne budowle w ciężkim stylu neobabilońskim. Były to siedziby ziemskich instytucji rządowych. Pomędzy nimi wzniesiono lśniące piramidy - świątynie synkretyzmu.

Pozostałą część Peng Lai zaprojektowano koncentrycznie wokół dzielnicy rządowej. Najbliżej znajdowały się tereny rekreacyjne, pełne parków i sztucznych jezior. Były tam boiska sportowe, teatry, kawiarnie, parkiety taneczne, filharmonia synestetyczna, oniria, gdzie ludzie mogli wspólnie przeżywać marzenia, olbrzymie, otwarte dla pływaków akwarium pełne najdziwniejszych morskich stworzeń, park safari, luksusowe domy publiczne, odtworzone krainy z bajek i wiele innych atrakcji. Dopiero hen, daleko, za terenem wypoczynkowym, leżała mieszkalna i szkoleniowa dzielnica ludzi. Tam znajdował się między innymi Uniwersytet Ziemski wraz z rozległym kampusem. Jeszcze dalej, na obrzeżach Peng Lai, ciągnęły się długie, piaszczyste plaże, gdzie palmy kołysały się na wietrze, a fale, całkiem jak w wirtualnym, łagodnie obmywały brzeg.

Wszystko to stanowiło świat zupełnie dla Daga niedostępny. Jako podczłowiek nie miał prawa wstępu do Peng Lai, choć w praktyce władze tolerowały fakt, że kilku wybranych podludzi przekracza granice miasta. Nie odważyłby się tutaj wylądować - nie tylko służby miejskie, ale każdy człowiek mógł zabawić się w raka i zabić dwunożne bydło - ale do woli podziwiał Peng Lai z lotu ptaka w drodze do kontrahentów. Hojnie płacił odpowiednim osobom, żeby kontrole omijały jego grawilot.

Lubił oglądać stolicę. Wydawała się taka piękna i jasna. Nie znano tu ulic; roześmiane dzieci biegały po rozległych łąkach między domami. Wszędzie panował spokój i porządek. Dzięki ciągłemu nadzorowi Oczu w Peng Lai prawie nie popełniano przestępstw. Służba w tutejszych oddziałach Gindzaye musiała być wspaniałą synekurą. Z okien grawilotu Dag nigdy nie zauważył żadnych gwałtownych scen, żadnej międzyludzkiej agresji. W kampusie, stylizowanym na kompleks pagód, jedli lody fantazyjnie poukładani studenci. W parkach zakochani całowali się pod wiecznie kwitnącymi drzewami. Peng Lai, zgodnie ze swą nazwą, przypominało raj z bajki.

Chlubę stolicy stanowił jedyny w swoim rodzaju park-Monument. Na wzgórzach, na rozległym lesistym terenie, wzniesiono kilkadziesiąt białych pomników. Byli to Nieśmiertelni, których imię nigdy nie zostanie zapomniane. Najmniej licznie reprezentowana była grupa władców, składająca się wyłącznie z Huang-Ti, Echnatona, Asioki i Soltana Światłego, Pierwszego Króla Ziemi, który - naturalnie - otrzymał posąg najwyższy nie tylko

spośród władców, ale w ogóle ze wszystkich postaci. O wiele więcej monumentów upamiętniało uczonych. Najliczniejszy zespół stanowili jednak ideolodzy i męczennicy; była to również jedyna grupa, w której znaleźli się przedstawiciele starej Europy. Tak więc obok Konfucjusza, Buddy, Wielkiego Mani, Manco Capaka i innych Nauczycieli, wznosili się ku niebu niezłomny Giordano Bruno, błyskotliwy Wolter, genialny Hegel, dumny i nieszczęsny Jacques de Molay, umiłowany wódz katarów, Guilhabert de Castres, czy też zakłęci na wieki w białym kamieniu, stojący ramię w ramię twórcy pierwszej w ludzkich dziejach teorii unifikacji społecznej - Marks i Engels. Nieopodal, również na wspólnym postumencie, uwieczniono trzech pionierskich, przecierających szlaki Praktyków tej teorii - Lenina, Hitlera i Mao Ze Donga.

Jakiś czas temu wśród historyzofów rozpętała się nagle dyskusja na temat tych właśnie trzech Nieśmiertelnych. Kilku młodych uczonych opublikowało sensacyjną pracę. Pewne poszlaki w materiałach źródłowych sugerowały, że ówczesna pionierska unifikacja została przeprowadzona kosztem życia bliżej nieznaney liczby ludzi. W światku historyzofów aż zakipiało. Oczywiście był to świątek bardzo mały - dzieje prowincji, takiej jak Europa, nie interesowały przecież nikogo poza garstką specjalistów - lecz specjaliści spierają się zażarcie nawet na najbliższe tematy, które nic nie obchodzą przeciętnego człowieka. Po długotrwałych debatach i nawet zasięgnięciu opinii Powiernika Bogów z Ziemskiej Akademii Nauk uczeni ostatecznie uznali, że kontrowersyjna praca istotnie miała podstawy w faktach. Odtąd traktaty historyzoficzne sławiły imiona trzech Nieśmiertelnych z jeszcze większą czcią. Jakże genialni musieli być ci, którzy w epoce sentymentalizmu dostrzegli, że postęp wymaga ofiar, tak jak rośliny wymagają nawozu!

Nic dziwnego, że w stronę białych postaci Lenina, Hitlera i Mao spoglądał z uśmiechem słynny z mądrości i świętości lama Milarepa. W pobliżu ustawiono symboliczny postument dla wszystkich ofiar Inkwizycji.

Sąsiednią aleję poświęcono w całości tryumfowi Nadcześniaka-Zdobywcy. Upamiętniono tu odkrywców i podróżników, począwszy od Lokapali Mahendry, który jako pierwszy opłynął dokoła kulę ziemską, poprzez indiańskich odkrywców Afryki czy chińskich pierwszych kosmonautów, aż po zdobywców nadprzestrzeni. Tutaj już żaden Staroeuropejczyk na pewno się nie zabłąkał.

Wszyscy Nieśmiertelni mieli status nadludzi. Za dnia ich postacie lśniły nieskazitelną bielą. W nocy, z lotu ptaka, można było ujrzeć, jak świetliste postacie Wielkich wyłaniają się spośród gęstych ciemności parku, wznosząc głowy ku gwiazdzystemu niebu, ku milionom dalekich słońc. Widok był niezapomniany; poeci pisali o nim wiersze. Lecz również zwykły



człowiek, choćby siudra, mógł tu znaleźć temat do wielu wzruszeń i przemysłów.

Dag jednak nie był człowiekiem, toteż wcale się nie poczuwał do ludzkiej tradycji. Jego własna tradycja spoczywała zupełnie gdzie indziej. Całkiem dosłownie. W małej dolince parku, nad szemrzącym strumykiem, wybudowano szalety - obiekty nieduże, dyskretne i czystuśkie. W ziemi poniżej znajdował się masowy grób nieznannej liczby podludzi, którzy w początkach Królestwa Ziemi zostali uznani za potencjalnych wicherzycieli.

Nikt w stolicy o tym nie wiedział. Nikogo by to zresztą nie obeszło. Świat szedł naprzód, podobno ku coraz lepszej przyszłości. Minęły czasy ciemnoty, dziś panowała kogitokracja. Prości podludzie mogli sobie wyobrazić, że oznacza to władzę kogiterów. W rzeczywistości oznaczało to władzę Myśli, czystego i zwycięskiego Ducha, Intelaktu nie cofającego się przed niczym. Rządy w Sol Wangkuo sprawowali najmądrzejsi. Owszem, do tych najmądrzejszych zaliczali się również obywatele abiotyczni - potocznie zwani kogiterami - co samo przez się dawało świadectwo potędze Umysłu.

Właśnie dlatego Sol Wangkuo miało tak znaczne osiągnięcia. Żaden człowiek nie cierpiał głodu, nawet jeśli żywność dostarczana siudrom i wajsom nie była ani obfita, ani specjalnie pożywna. Jednak siudrowie i wajsowie w ogóle przecież istnieli tylko dlatego, że pod wieloma względami okazali się tańsi od maszyn. W ciągu zdumiewająco krótkiego czasu Solaryjczycy rozprzestrzenili się po kosmosie; nieważne, że z konieczności, bo ekosystem ziemski, zrujnowany wojnami i eksperymentami klimatycznymi, stał się zdecydowanie mniej atrakcyjny od ekosystemów nowo odkrywanych planet. Zasiedlanie przebiegało planowo i sprawnie. Ludzie zapomnieli o niepewności jutra, nie bali się nędzy ani walki o byt - ba, możliwe, że nie bali się nawet śmierci, choć o tym Dag nie był do końca przekonany. Na zdrowy rozum nie powinni, skoro śmierć oznaczała lepszy los, zmianę wcielenia, skok o oczko wyżej w kastowej hierarchii. Panowała całkowita równość, czy to płci, czy ras. Urząd do Spraw Populacji wytwarzał ludzi we wszystkich odmianach, a kogiterom było przecież najzupełniej, ale to najzupełniej wszystko jedno, czy implantują kontrolne neurotransmitery w mózgach płodów żółtych, czarnych, białych, brązowych czy może seledynowych w rzucik lilaróż. I choć biały człowiek był brzydki, pod innymi względami nikt nie uważał go za gorszego.

Co innego wśród podludzi. Tak, podludziom bardzo by się przydała jakaś rozsądna władza w rodzaju Systemu Kogiterów. To by ich może nauczyło trochę kultury. Tak jak się sprawy miały, czarni nie znosili żółtych i Metysów, uważając ich za fałszywych krętaczy. Sami czarni uchodzili z kolei za nieobliczalnych histeryków, skłonnych zwłaszcza do niekontrolowanej agresji. Ale to biali mieli najgorzej: dla wszystkich pozostałych byli

pogardzanymi ofiarami, bo zostało ich już tak niewielu. Dag aż się krzywił, wspominając, jak gorzko odczuł tę prawdę na własnej białej skórze.

Kiedy był dzieckiem, zazdrościł ludzkim dzieciom. Latami żył w poczuciu niezasłużonej krzywdy. I nawet dziś, gdy był starszy i mądrzejszy, czuł odrobinę satysfakcji, ilekroć jakichś ludzi spotykało coś złego, nawet jeśli wcale ich nie znał. A przecież wiedział, że ludzie jako tacy nie są ani lepsi, ani gorsi od podludzi, są tylko jakby oddzieleni ochronną ścianą. Łączył ich z podludźmi wspólny język i system pojęć, ale niewiele więcej. Na swój sposób żyli bardzo szczęśliwie... jeśli ich egzystencja w ogóle mogła być rozpatrywana w tych kategoriach. Czy szczęśliwe jest stado zadbanych hodowlanych zwierząt, szczerze wierzących, że żyją w najlepszym ze światów?

Vikman na pewno się nad tym nie zastanawia - pomyślał z ironią, przypatrując się swojej kochance.

Jak każdy człowiek, Vikman została poczęta in vitro. Nie posiadała żadnych biologicznych rodziców, cały jej materiał genetyczny powstał w bioformatorze w ramach masowej, seryjnej produkcji białek. Odkąd opuściła inkubator, jej życie biegło torem wytyczonym przez Urząd do Spraw Populacji. Ludzie nie wybierali sobie własnej drogi życiowej, chociaż tak im się wydawało. Kogitery pozostawiały im złudzenia, lecz realia były nieubłagane: kto miał zostać nadzorcą maszyn fabrycznych, zostawał nadzorcą maszyn fabrycznych, kto urzędnikiem - zostawał urzędnikiem, kto oficerem Agencji Ochrony Dobra - zostawał nieuchronnie oficerem Agencji Ochrony Dobra i niczym innym.

Przez pewien czas Vikman była pyzatem, miłym brzdącem. Ponieważ zaprojektowano ją jako osobę z najwyższej kasty, nie wychowywała się wyłącznie w przedszkolu, lecz częściowo w domu przybranej opiekunki, również należącej do aminów. Niebawem stała się wesołym, szczerbatym dzieciakiem z podrapanymi kolanami. Potem wyrosła na jedną z samodzielnych, rozhasanych nastolatek, jakich wiele w Sol Wangkuo. Mieszkała w internacie położonym na terenie parku krajobrazowego, latała na wycieczki po kosmosie ze swoją jednolitą kastowo klasą szkolną, wakacje zaś spędzała z opiekunką, na obozach lub w ośrodkach medytacji, doskonaląc się fizycznie i duchowo. Potem poszła na studia, gdzie przy okazji nauki przeżyła beztroski okres zabaw i licznych romansów, zaś po studiach zdecydowała się zdawać egzaminy do Akademii Dharmadżati na planecie Shambala. Akademia należała do Agencji Ochrony Dobra i kształciła oficerów. Vikman zdała egzaminy jako jedna z najlepszych. Dziś, w bardzo młodym wieku lat pięćdziesięciu ośmiu, była już Brigadeführerem - jedną z trojga najwyższych rangą oficerów Agencji na Ziemi. W tym punkcie jej kariera osiągnęła apogeum. Vikman będzie jeszcze pracować pięćdziesiąt lat,

kolejne dwadzieścia dwa przeżyje na zasłużonej wojskowej emeryturze, zaś w wieku lat stu trzydziestu odejdzie do następnej, już nadludzkiej inkarnacji. W zasadzie mogłaby żyć jeszcze ze dwadzieścia lat dłużej, ale państwo niechętnie utrzymywało emerytów, chociaż nie było ich wielu, bo emerytura przysługiwała wyłącznie aminorom. Kszatrijowie, wajsowie i siudrowie przenosili się do wyższych wcieleń, gdy tylko dobiegła końca ich przydatność zawodowa. Vikman i tak otrzymała hojne przywileje.

Była piękną kobietą. Tego upalnego, sennego popołudnia Dag po raz nie wiadomo który podziwiał jej nieskazitelne ciało, podczas gdy głowa Vikman spoczywała mu na piersi. Przepyszne czarne włosy, które dzięki jakimś zabiegom fryzjerskim zdawały się podświetlone błękitnym blaskiem, muskały jego pępek. W dotyku były miększe i gładziej od jedwabiu. Dłoń Vikman leżała na podbrzuszu Daga, lecz raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby. Rozliczenia mafijne i potężną porcję seksu mieli już za sobą.

Stałym zwyczajem Vikman, uprawiali seks unosząc się w powietrzu, owinięci jednym pasem lewitacyjnym. Wygodne to nie było - Dag stokroć bardziej wolał zwykłe łóżko - ale co zrobić; Vikman miała swoje dziwactwa. Przed chwilą wylądowali. Teraz leżeli w hamaku, jeszcze spoceni, jeszcze przytuleni. Za moment nadfrunie mały prysznic i wymasuje ich ciała strumieniami chłodnej wody. Jak zawsze.

Ale nie. Coś się zmieniło w stałej rutynie. Prysznic nie nadleciał, a Brigadeführer uniosła się i zeskoczyła z hamaka.

Ubrana wyłącznie w kółko w nosie, otoczona wonią egzotycznych perfum, zaczęła kręcić się po wielkiej sypialni. Była średniego wzrostu, lecz wspaniale zbudowana, gibka i silna. Wyglądała wciąż na dwadzieścia lat. Energii też miała mnóstwo. Uprawiała miłość z dzikim temperamentem, który bynajmniej nie zachwycał Daga, bo zaspokajanie jej wyuzdanych żądań wypruwało z niego siły regularnie za każdym razem. Dziś, po ostatniej nocy z Zunyere, musiał wziąć afrodyzjak, bo nie był samcem aż tak sprawnym, żeby zaspokoić dwie nimfomanki w ciągu doby. Wszystko to wchodziło w zakres obowiązków Yaoyinga: Zunyere brał dla prestiżu, no i dla przyjemności, zaś stosunki z Vikman były czysto służbowe. Musiał suce dogadzać, jeśli nie chciał źle skończyć.

Gdzieś w tym domu, na innym poziomie, stała ozdobna lampa, której brązowy abażur pokryty był oryginalnym barwnym wzorem. Tylko tyle zostało z pewnego uwodzicielskiego Metysa - Wojownika Triady - z którym Vikman żyła kilka miesięcy. Gdy miała dość, kazała obdrzeć go z tatuowanej skóry. Żywcem, naturalnie; inaczej to żadna atrakcja.

Przykre, pomyślał Dag, lecz przynajmniej definitywne. Inny podludzki amant pięknej Vikman żył wciąż, od dziesięciu lat. Została z niego sama głowa, podłączona do przemysłnej

aparatury, nie tylko podtrzymującej życie i świadomość, ale nawet umożliwiającej mowę. Vikman od czasu do czasu uciniała sobie z głową pogawędkę. Zresztą traktowała ją życzliwie i dręczyła stosunkowo rzadko.

Oficjalnie Brigadeführer Vikman Hundzeng należała do neuromii Wielkiej Yomo Maire. Yomo Maire uchodziła za bóstwo potężne, lecz łaskawe, więc yomoici, podobnie jak większość odłamów synkretycznych, potępiali celowe okrucieństwo. Człowiek - głosili - powinien być równie dobry dla podludzi, jak dla innych, miłszych zwierząt. W zasadzie Vikman stosowała się do tych wskazań. Niewolnicy, których trzymała w swych posiadłościach, byli bici tylko wtedy, gdy zasłużyli, a z okazji świąt Vikman rozdawała ich dzieciom cukierki, wcale nie zatrute. Gdy jednak któryś podczłowiek wpadł jej w oko i brała go sobie do łóżka, miał jak w banku, że po dłuższym lub krótszym wykorzystaniu zginie jakąś paskudną śmiercią.

Dag podejrzewał, że tak naprawdę Vikman nie lubi seksu. Owszem, pragnęła rozkoszy, ale seks - fizyczny kontakt ciał - stanowił dla niej jedynie rodzaj neurotycznego natręctwa, któremu się oddawała, bo to ją uspokajało. Nie przywiązywała się do partnerów, wręcz przeciwnie, łatwo nabierała urazy, a im bardziej się dla niej trudzili, tym bardziej nimi pomiatała. Tak naprawdę w życiu Vikman liczyły się tylko dwie osoby. Pierwszą była jej opiekunka z czasów dzieciństwa, drugą jej asura, osobisty kogiter, zwany Gandharwą. Niestety, Vikman, należąc do kasty aminów, mogła spędzać w virtu nie więcej niż dwie godziny tygodniowo, licząc w czasie rzeczywistym. Wyłącznie siudrom pozwalano przebywać w virtu tak często i tak długo, na ile tylko starczało im biokredytów. Tak mówiło prawo, a jego przestrzegania pilnowały z nieubłaganą precyzją same kogitery. - W efekcie Vikman mogła kochać się z Gandharwą o wiele rzadziej, niż potrzebowała.

Nic dziwnego, że wyszukiwała sobie ludzi i podludzi, by zapełniali tę lukę. I nic dziwnego, że nimi gardziła. Kimże byli w porównaniu z Gandharwą, jawiącym się zawsze jako ideał urody? Ludzie i podludzie, nawet Doskonali, mieli wstrętne realne ciała. Musieli jeść, trawić, wydalać, ślinili się i pocili, rosły im włosy... Ich psychika też była słaba. Jako istoty biologiczne, ulegali godnym pogardy frustracjom czy załamaniom. W porównaniu z nimi Gandharwą stanowił uosobioną Perfekcję - Perfekcję, której, jak Vikman ponuro zdawała sobie sprawę, ona sama nie była w stanie dorównać. Kochała go, bo tylko on rozumiał ją, dbał o nią i opiekował się nią jak dzieckiem. Nie wiedziała, czy jej miłość jest choć trochę odwzajemniona. Gandharwa nie okazywał uczuć.

Psycholog mógłby dojść do wniosku, że Vikman zabija swych podludzkich kochanków, aby ich ukarać za to, że zdradza z nimi Gandharwę. Dag był innego zdania.

Vikman zabijała, bo po prostu to lubiła, a w virtu była zbyt zajęta innymi rzeczami.

W poczciwych czasach wiktoriańskich uchodziłaby za obłąkaną. Umieszczono by piękną Vik w dalekiej wiejskiej posiadłości, a po okolicy krążyłyby legendy o demonicznym śmiechu - bądź rozpaczliwym płaczu - dobiegającym zza zamkniętych drzwi. Dziś jej postępowanie w ogóle nie zwracało uwagi. Pojęcie normy psychicznej stanowiło anachronizm. Nie istniało nawet określenie „choroba psychiczna”. Współczesna nauka mówiła jedynie o rozmaitych równoprawnych sposobach postrzegania rzeczywistości i subiektywnych metodach wartościowania. Bo przecież ktoś, kto uważa się za cesarza zrobionego ze szkła, ma niezbywalne prawo do samodefiniowania swej psychiki i być może w wyższym wymiarze czy w innym aspekcie struktury Brahmana jego definicja jest prawdziwa. Psychologów to nie interesowało. Mieli inne problemy - na przykład, jak niwelować uboczne skutki mocy parapsychicznych albo gdzie poszukiwać sławnego Archetypu Zero, którego istnienie zostało wprawdzie w teorii wykazane, ale nikt jak dotąd nie wyodrębnił go klinicznie.

Dag wyciągnął się wygodnie w hamaku. Postępowanie z Vikman angażowało całą jego przebiegłość. Była od niego dwa razy starsza, dwa razy bardziej doświadczona. Wygrywał, lecz wciąż czuł się tak, jakby tańczył na polu minowym.

Tym niemniej - wciąż jeszcze żył. Unikał teleporterów. Jako dostojnik tongu przybywał z całą pompą pancernym grawilotem, otoczony żołnierzami, roztaczając aurę siły. Triadę Trójgłowego Smoka łączyły z Agencją liczne i rozległe interesy, a oni dwoje dostawali prowizje od udanych przedsięwzięć. Te racje - i parę innych - składały się na fakt, że po czterech latach związku z Vikman Dag nadal znakomicie prosperował.

Brigadeführer stanęła przed ogromnym lustrem, przeciągając się jak kotka.

- Jestem piękna - stwierdziła z zadowoleniem. Dag obejrzał ją beznamiętnie od stóp do głów.

- Masz trochę zbyt wystający tyłek. Rozeźlona, cisnęła w niego butelką. Od niechcenia złapał butelkę w locie.

Zadzwoił telekom. Vikman odebrała. Natychmiast wyłączyła zewnętrzną wizję i fonię, żeby Yaoying nie wiedział, z kim rozmawia. Zamieniła z niewidzialną osobą tylko parę słów, gdy nagle jej twarz skurczyła się ze złości.

- Co takiego?! No nie! Idź w cholerę z taką nowiną!

Przerwała połączenie i z pasją cisnęła aparatem o kosztowną posadzkę.

- *Džoude shi!* Wiesz, co się stało?! - wrzasnęła z furją.

- No, co?

- Julia dostał nominację na Brigadeführera! Julia! A Čoti mi przysięgała, że to będzie Gero!

- Tak przypuszczałem - skwitował Dag obojętnie. Julia Figueroa był poprzednim kochankiem Vikman, z którym w dodatku rozstała się w gniewie, zaś Geronimo Paucar - aktualnym i bardzo w łaskach. Dag wiedział o awansie Julii już parę tygodni temu. Z rozmaitych powodów on też wolałby Gero. Dość go lubił, miał z nim niezłe układy, Julia Figueroa siedział zaś w kieszeni u konkurencyjnej Triady Tysiąca Ramion. Były też inne względy. To właśnie Figueroa rok temu wymyślił i osobiście nadzorował operację „Polowanie na ichtiozaury”. Pod tym kryptonimem przeprowadzono intensywne działania, aby wyszukać niedobitki kryptojoszuitów, wegetujące jeszcze na Ziemi. Chociaż Dag nie był heretykiem, kosztowało go to trochę nerwów. Miał do ukrycia tak wiele, że każdą akcję Agencji przeciw podludziom odbierał jak osobiste zagrożenie. Figueroa, niestety, aż pałał gorliwością i ambicją, a był tak inteligentny, że należało się go poważnie obawiać. Jego nominacja zmieniała cały układ sił w ziemskich strukturach Agencji.

- Bydlę! - wrzasnęła Vikman, krążąc po swym rozległym apartamencie niczym rozeźlona naga osa. Pieprzony Julia!

Dag założył ręce pod głowę i zakołysał się w hamaku.

- To teraz czekamy na ślub - zauważył mimochodem.

Vikman stanęła, przyglądając mu się podejrzliwie.

- Ślub? Jaki ślub?

- Jak to jaki? - zdziwił się Dag. - Naprawdę zapomniałaś? Zaraz... może niepotrzebnie mówiłem... Wszystko jedno.

Vikman zmarszczyła brwi.

- Ach, ten! - przypomniała sobie z błyskiem w oku.

Rok temu Figueroa popełnił nieostrożność. Publicznie obiecał, że jeśli dostanie awans, weźmie uroczysty ślub ze swoim małym tyranozaurem. Perspektywa awansu zdawała się wtedy wątpliwa.

- No! - Vikman zatarła ręce ze złością i zarazem dziką satysfakcją. - Już my go zmusimy, żeby dotrzymał słowa! Weźmie ślub, *dżoude shi!* I wyprawimy mu nawet uroczyste pokładziny albo nie nazywam się Vikman Hundzeng!

- Jak sobie wyobrażasz te, hm, pokładziny? - spytał Dag ciekawie.

- A to już jego zmartwienie, przeklętego pozera! Myślisz, że ktokolwiek wierzy, że on naprawdę żyje z tym swoim jaszczurem? Wszyscy wiedzą, że chwali się tym wyłącznie dla efektu!

Dag leniwie kołysał się w hamaku. Podzielał opinię Vikman. Nikt na świecie, nawet Brigadeführer Agencji, nie byłby na tyle stuknięty, żeby uprawiać miłość z tyranozaurom, choćby skarłałym do dwóch metrów wzrostu. Większość gatunków dino nie przywiązywała się do ludzi i wykazywała odporność na hipnozę. Jeśli okaz Julii nie został poddany neuromodyfikacji - a Julia zaklinał się, że nie - każda próba seksu skończyłaby się śmiercią, tym bardziej, że Figueroa miał zwyczaj rzucać swemu pieszczoškowi na pożarcie podludzkich niewolników. Trudno przecież wymagać, by gad pojmował subtelną filozoficzną różnicę między podczłowiekiem a Brigadeführerem. Z gadziego punktu widzenia jedno i drugie oznaczało ruchome mięso.

- Julia, kretyn skończony, opowiada, że ten jego Fafik pobudza go fizycznie i duchowo - ciągnęła Vikman ze zjadliwą drwiną. - Odkąd zakochał się w tym obmierzłym plejstocieńskim monstrum, nic innego go nie interesuje. Ani kobiety, ani chłopcy, nic w ogóle. Bo jaszczur dostarcza mu nieopisanych wrażeń. Co za brednie! Sam się podłożył! No, urządzimy mu wesele jak się patrzy!

Dag milczał. Vikman, raz napuszczona, nie wymagała dalszych zabiegów, ale na wszelki wypadek zadbał o rozwój sytuacji. Jutro lub pojutrze piękna Brigadeführer dowie się, że Julia próbował wystawić ją do wiatru przy kontrakcie na induktory snu. Jest szansa, że Figueroa tym razem się nie wymknie. Dag uśmiechnął się kącikami ust. Ślub się nie liczy, to tylko rejestracja związku. Następnego dnia można wziąć rozwód lub ożenić się z paroma innymi istotami - dwunogami, czworonogami, stonogami, co kto lubi. Ale pokładziny?

Julia będzie się wymigiwał. Oświadczy na przykład, że jego miłość to najprawdziwsze, platoniczne renbo. I kto wie, może to prawda? Może Julia jest szczerze zafascynowany charakterem Fafika, jego osobowością? Ile oni mają cech wspólnych! Istna harmonia dusz. Jakie to musi być przykre dla Julii, odnaleźć swą drugą połowę i nie móc się z nią połączyć! Julia i Fafik - dwa statki, które mijają się nocą... A stworzyliby takie udane, zgodne stadło.

- Chyba przesadzasz - powiedział na głos. Vikman spojrzała na niego z nagłą uwagą. Yaoying leżał z rozłożonymi ramionami, wyciągnięty niedbale w hamaku, i kołysał się powolutku. Gruby czarny warkocz spadł mu na ramię. Miał mocne ciało, szczupłe, sprężyste i muskularne. Nawet najmniejszy włoszek nie szpecił gładkiej skóry.

- Bronisz Julii?

- Ja? Co za pomysł. Przecież wiesz, że mam wobec niego parę drobnych obiekcji. Ja tylko myślę, że tego nie da się zrobić. Żadna siła nie zmusi Julii do pokładzin z tyranozaurom.

Vikman uśmiechnęła się drapieźnie.

- Zobaczymy.

- Nie byłbym pewien, czy to technicznie wykonalne. Oni, że tak powiem, różnią się konstrukcją.

- Dla chcącego nic trudnego.

- Zwierzątko nie zrozumie dobrych intencji Julii, zdenerwuje się i trzeba je będzie zastrzelić. Nie żal ci Fafika?

Zmrużyła oczy, przyglądając mu się kalkulująco, jakby próbowała dociec, czy naprawdę odwołuje ją od pomysłu, czy wręcz przeciwnie, podpuszcza. Dag miał jak zwykle nieruchomą twarz. A zastanawiaj się, zastanawiaj, Brigadeführerze - zachęcił życzliwie. Vikman była skazana na domysły - ani ona, ani Gandharwa nie umieli przebić się przez jego alarm telepatyczny.

Zeskoczył z hamaka i sięgnął po ubranie.

- Pora wracać.

- Zjedz ze mną obiad.

- Wolę jeść w mojej bazie.

- Nie otruję cię - prychnęła.

- Uchronię cię od pokusy, skarbie. Nie zostanę na obiedzie.

- Doskonale. Zjem sałatkę z Kikkim i Tollim. Kikki, Tolli, chodźcie do mnie, moje słodkie!

Dwa miniaturowe białe jednorożce, dotychczas leżące jak trusie pod oknem, zerwały się i na cieniutkich nóżkach podbiegły do swej pani.

- Masz rację - zgodził się Dag. Cmoknął, łakomie patrząc na stworzonka. - Sałatka z ich mięsem będzie doskonała. Nie ma to jak jednorożec, dobrze podduszony w pomidorach.

- Nie mów takich wstrętnych rzeczy, *dzoude shi!* Tylko podczłowiek może być takim ohydny zbrodnicem!

Dag uśmiechnął się. Wiedział, że kiedyś, na studiach, Vikman z kilkorgiem kolegów potajemnie zabiła, upiekła i zjadła królika, tylko po to, by poczuć dreszcz zakazanych emocji. Gorzej jeszcze - zataiła ten grzech podczas Publicznej Spowiedzi.

Podszedł do niej, objął mocno, aż jęknęła, i ugryzł w usta. Pocięła krew. Vikman oblizwała wargi. Wtedy odsunął ją szorstko.

- Do zobaczenia, Vik.

Rozczarowana, spojrzała na niego chłodno. Jej skośne oczy miały dziś barwę zieloną, usianą maleńkimi czarnymi gwiazdeczkami.



- Taki jesteś pewien, że będę miała ochotę znowu cię zobaczyć?

- Będiesz.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wyszedł.

Grawilot czekał, gotowy do startu. Sadowiąc się w fotelu, Dag punkt po punkcie przeanalizował randkę z Vikman.

Ośmieliła się nazwać go podczłowiekiem. Ciekawe. Rzadko sobie na to pozwalala. Ilekroć coś knuła, była zwykle przymilna. Jak na nią, oczywiście.

Głupia suka, pomyślał bez gniewu. Przecież sama wie, że jest jałowa jak krater księżycowy, bo gdyby nie to, każdy z podludzkich kochanków mógłby jej zrobić dziecko. Genetycznie należymy do tego samego gatunku.

Co prawda różnica między ludźmi a podludźmi miała charakter nie biologiczny, a metafizyczny... Dag urodził się z podkobiety - a więc w zwierzęcy, brudny sposób. Vikman powstała w sterylnym laboratorium. Jej narodziny głosiły chwałę Czystej Myśli. On, poprzez długie pokolenia przodków, wywodził się z prymitywnej, grzesznej materii, stworzonej przez złośliwego Demiurga, by uwięzić w niej Ducha, którego wyemanował prawdziwy Bóg, Brahman.

W odwiecznej walce Dobra ze Złem, Ducha z Materią, Światła z Ciemnością, podludzie byli z góry skazani na służbę siłom Zła. Podludzie, produkt pierwotnej materii, należeli do Demiurga. Ludzie za to należeli do Brahmana, bo ich ciała nie zostały stworzone przez demony, lecz stanowiły dzieło inżynierii genetycznej, za pomocą której nadludzie przechrztyli Zło. Nadludzie pojawiali się bowiem w dziejach świata jako obce anioły, emisariusze Ducha.

No i świetnie. Mogę być zwierzęciem - pomyślał Dag - ale ty, Vikman, skarbie, jesteś tylko przedmiotem. Ja chociaż miałem jakichś przodków. Twój materiał genetyczny, każda cząsteczka adeniny, cytozyny i czego tam jeszcze, każde twoje białko - wszystko powstało fabrycznie jako zwykły nanoformant. Zostałaś wytworzona jak rzecz. Stanowisz produkt zaawansowanej biotechnologii. Jakaś firma powinna mieć na ciebie patent. Należysz do hodowli prowadzonej przez kogitery, w tym i twojego umiłowanego Gandharwę. Jesteś jego kukłą, nie partnerką.

A czym są kogitery? Tworem moich przodków. Nie żebym się tym szczyił. Musieli być głupcami, skoro ukręcili bat sami na siebie.

A nadludzie i neurikomy? Tacy niby genialni, a jak wykorzystują swoje nieograniczone możliwości? Już od dwóch wieków nie dokonano w Sol Wangkuo żadnego istotnego odkrycia naukowego, żadnego wynalazku. Zamiast tego mamy najlepsze w

Galaktyce szpiegostwo przemysłowe. Nadludzie wykorzystują swój domniemany geniusz wyłącznie w dworskich intrygach na Arkadii, reszta ich gównem obchodzi. Żeby mieć takie możliwości i tak je marnować, trzeba być, psiakrew, debilami, nie nadludźmi. Nie potrafią nawet opanować własnego systemu ekonomicznego. Biokredyty tracą na wartości z roku na rok, a cały podludzki czarny rynek opiera się na czerwonych. Wiecznie to błędy w dystrybucji, to znów dla odmiany niedobory energetyczne... A niech ich szlag trafi, bandę durniów.

Nie żeby podludzie byli choć trochę lepsi. Nadludzie, bądź co bądź, nie sięgnęli aż takiego dna zidiocenia. Podludzie to w większości skończone przygłupy, zbyt tępe bodaj, by zrozumieć, że żyją. Dla takich półgłówków nadają się jak znalazł wszystkie te brednie o Błędzie Pierwotnym, co krok zionące lukami logicznymi. Bo skoro materia jako taka jest zła, dlaczego bywa piękna? Zgodnie z filozofią synkretyzmu - dlatego, że czysty, wzniosły Duch dostrzega piękno nawet w ułomności. Szkoda, że implikacje tej tezy jakoś umykają wyśmienitym umysłom Doskonałych. Jeśli bowiem Duch widzi piękno w Materii, to znaczy, że Materia i Duch to twory kompatybilne. Materia ma stosowny kształt, by radować Ducha. Dlaczego rzecz tak ewidentna musi uchodzić za herezję?

Historia stworzenia też trąciła fałszem na kilometr. Pierwszymi podludźmi zostali przecież ci, których biokarty kredytowe przestały być uznawane. Oficjalna historia wcale tego nie tajiła. Nie mogąc nic legalnie kupić ani sprzedać, podludzie wegetowali poza nawiasem społeczeństwa. W miarę upływu czasu przybywało ich coraz więcej - przeróżnych malkontentów, niezrzeszonych przestępców, upartych heretyków, wszelakiej maści outsiderów, mieszkańców slumsów, najprzeróżniejszych fundamentalistów, ksenofobów, życiowych pechowców, ryzykantów, którzy zadarli z kimś ważnym, białych ekstremistów, żółtej biedoty, murzyńskich i latynoskich rozrabiaków, starych, chorych i kalek odmawiających poddania się eutanazji, słowem wszystkich tych, których władze uznały za zbędnych dla nowej utopii. Wielu podludzi zabito. Tym niegroźnym pozwolono żyć na marginesie społeczeństwa obywatelskiego, bo widocznie do czegoś jeszcze byli władzom potrzebni. Dag nawet domyślał się, do czego. To podludzie pierwsi zasiedlali nowe planety; to oni myszkowali i szpiegowali w innych cywilizacjach; oni stanowili rezerwę genetyczną i być może również mięso armatnie w planowanych wojnach. Ale zaczęło się prozaicznie. Całą ideologię dorobiono później.

Dag odetchnął, otrząsając się z irytacji. Świat jest, jaki jest. Pora wrócić do pilniejszych spraw.

Spojrzał na ekrany. Wkrótce będzie w domu. Wyspy i ocean zostały już daleko.

Podłużny cień grawilotu przesuwiał się teraz po rudych, wypalonych słońcem górach.

Marzył o kąpiel. Czuł się spocony i brudny. Na jego skórze została woń ciała Vikman. Pragnął zmyć z siebie każdą molekułę jej potu, jej śliny. Brigadeführer na pewno o tym wiedziała, a jednak prysznic dziś nie nadleciał. I to złośliwe spojrzenie przy pożegnaniu... Przemknął wzrokiem po pulpicie kontrolnym. Nie, wszystko w porządku. Powinien wylądować cało. Vikman nie pozbędzie się go, póki nie załatwi porachunków z Julią. Nigdy nie walczyła na dwa fronty.

Na razie niech zatruje Julii życie. Przy odrobinie szczęścia... kto wie, może Figueroa nie wymiga się od uroczystych pokładzin z Fafikiem. O resztę już się zadba. Małżeństwo zostanie skonsumowane - razem z Julią. Proste i piękne. Gero raczej nie zdobędzie awansu; następnego Brigadeführera przyślą z centrali w teczce i znów trzeba będzie skurwysyna mozolnie rozpracowywać... Ale nic to. Nie pozwólmy, by lenistwo brało górę nad artyzmem. Jest szansa, że Vikman zostanie za karę zesłana do jakiejś odległej dziury - wtedy przyślą inną kobietę, żeby zachować parytet płci. I dobrze. Układ zrobił się już zbyt zastarzały i zaczynał się rozpadać. Pora na coś nowego.

Gdyby Dag był mentatem, wyczułby, że nowe, które nadchodzi, jest dziwniejsze, niż sobie wyobrażał. Wokół niego wirowały potężne moce, jak niewidzialne tornado, wywracające jego świat do góry nogami - a on niczego nie dostrzegał. Węzły kauzalne rozpadały się i zanikały; wytyczone z dawna tory zmieniały kształty i kierunki. Cały układ zdarzeń, cały bieg jego życia ulegał właśnie radykalnej zmianie. Nim minie doba, Ziemia i triada staną się tylko wspomnieniem. Już nigdy nie miał wrócić do Peng Lai. I nigdy więcej nie miał spotkać Vikman Hundzeng.

## Rozdział IX

- Robisz się zarośnięty jak jaskiniowiec - powiedziała Oria do Suleya.

Podeszła i kierowana trudną do przewyciężenia pokusą musnęła jego szorstki policzek. Mężczyzna ani drgnął. Patrzył na nią bez wyrazu. Szybko cofnęła dłoń, zła na siebie.

- Drapiesz - stwierdziła rzeczowo. - Musisz się ogolić. I dam ci nowe ubranie, żebyś wyglądał jak wszyscy.

Nowym ubraniem był granatowy kombinezon, nieprzenikalny dla kamer i soczewek transwizyjnych.

- Dlaczego ubieracie się identycznie? - spytał, bez entuzjazmu obracając uniform w dłoniach. - Nie tęsknisz do eleganckich, drogich strojów, Niao Ichi?

- Ani trochę.

- Dziwna jesteś. Stać cię przecież, żeby przyciemnić sobie skórę, uskończyć oczy i poszerzyć nos. Bogate białe kobiety zwykle tak robią.

Oria spojrzała na niego chłodno.

- A ja sobie rozjaśniłam włosy. Kiedyś miałam równie czarne jak Yaoying.

- Nie wolisz być piękna?

- Po co?

- Gdybyś się postarała, mogłabyś wpaść w oko jakiemuś dygnitarzowi i zostać Pierwszą Żoną.

Uniosła brwi z wystudiowanym zdumieniem.

- Co ty wygadujesz? Myślałam, że wychowałeś się na Chotał-Ekwa, a nie w odległej galaktyce! Pierwsza Żona musi mieć posag, koneksje i znakomity materiał genetyczny, a najlepiej, jeśli w dodatku jest autentyczną dziewicą. Ja mogłabym zostać tylko którąś z rzędu żoną. Znam dziewczyny w takiej sytuacji. To koszmar. Pół harem, pół ferma zarodowa, wiecznie pod władzą jakiejś rozpaskudzonej oficerskiej córuńi! Żonami zostają tylko te Wojowniczkę, które do niczego innego się nie nadają.

Wydawał się zaskoczony.

- Masz rację. Ten punkt widzenia nie przyszedł mi do głowy.

Jasne - pomyślała Oria. - Co ty wiesz o haremach... Co ty rozumiesz z moich trosk, Medycjyku jeden...

- Ale może chciałabyś mieć dzieci?

Oria westchnęła.

- Sule, przecież ja jestem oficerem tongu. W każdej chwili mogę sobie wziąć kilkoro mężów czy żon spośród moich podwładnych. Tylko po co? Nie będę marnować młodości przy wrzeszczących niemowlakach.

- Wiele podkobiet rodzi, zanim skończy dwadzieścia lat.

- I ty to pochwalasz? - spytała z niedowierzaniem. - Nie żal ci tych brudnych, głodnych analfabetek, terroryzowanych przez bandę samców?

Uśmiechnął się.

- „Banda lubieżnych samców” brzmiałoby jeszcze lepiej.

Oria, zirytowana, oparła rękę na biodrze.

- Łatwo ci się śmiać! Ty umiałbyś urodzić najwyżej kamień nerkowy. Nie dyskutuj, idź, umyj się, przebierz i przestań wtryniać nos w cudze życie.

- Wychodzisz?

- Przebierz się w samotności. Ja mam własne sprawy, a goły samiec to dla mnie żadne znów objawienie.

Kiedy wróciła, drzemał sobie w najlepsze. Łóżko zapadało się pod jego ciężarem. Na dźwięk otwierających się drzwi leniwie uniósł powieki.

- Nie oglądasz parviti? - spytała.

- Obejrzałem wiadomości.

- I co mówili?

- Dziś uroczyście otwarto pierwszą wylęgarnię obojnaków z kasty siudra.

- To świetnie - rzuciła z roztargnieniem.

- Świetnie? - zdumiał się. - Dlaczego? Po co komu obojnaki?

- Przewycięzanie różnic jest drogą postępu, drogą niwelowania antagonizmów - wyrecytowała. - Nigdy nie słyszałeś?

Pytanie było retoryczne. Wszyscy przecież znali na pamięć Niebiańskie Aksjomaty wielkiego Tien Ta Hsien. Szpieg też musiał się ich uczyć. Był nieźle zorientowany w realiach Sol Wangkuo.

Medyczyk tylko wzruszył ramionami. Oria przekrzywiła głowę.

- Na pewno wiesz, jaka będzie ostatnia różnica, którą przewycięży rząd?

- No, jaka? - mruknął.

- Różnica między żywym podczłowiekiem a martwym podczłowiekiem.

Dowcip miał długą i siwą brodę. Sule musiał go już słyszeć, lecz nie uśmiechnął się

bodaj przez grzeczność. Jego twarz pozostała opanowana. Powieki, półprzymknięte i ciężkie, nadawały mu wyraz sennego spokoju.

- Czy to cię nie bawi?

- Nie za bardzo.

- Zobaczymy, może coś innego cię rozrusza. Wstawaj, idziemy.

Podniósł się natychmiast. Przy całej swojej masie i leniwej powolności umiał, gdy chciał, poruszać się bardzo szybko.

Przez labirynt blado oświetlonych korytarzy Oria zaprowadziła go do windy, łączącej głębokie poziomy podziemnego bunkra z najwyższą częścią Migong. W drzwiach windy omal nie zderzyła się z Aranamim. Powitała go uprzejmym ukłonem. On też pochylił głowę.

- *Ni hao, meimei tongzi.*

Znów pluje jadem, pomyślała Oria. Aranami używał tradycyjnego pozdrowienia, kiedy był w złośliwym nastroju i chciał pokazać, że tylko on w tej zaniedbanej moralnie bazie przestrzega jeszcze etykiety. Rzeczywiście w dzisiejszych czasach mało kto zawracał sobie głowę przestarzałym chińskim formalizmem.

- *Ni hao, gege tongzi* - odparła Oria grzecznie.

Nie odszedł. Stał, blokując drzwi. Jego skośne oczy o fiołkowo-różowych tęczęwkach przebiegły po zwalistej sylwetce Suleya.

- Dorodny jest - zauważył. - Dostałaś go do wyłącznego użytku?

- Owszem.

- Dlaczego ma związane ręce?

- Bywa agresywny. Wczoraj rzucił się na samego Yaoyinga.

Nalana twarz Aranamiego wyrażała przez moment autentyczne niedowierzanie.

- Rzucił się na Yaoyinga? I żyje? Bogowie muszą mieć go w opiece!

- Myślę, że zamierzał uciec z Migong - wyjaśniła Oria.

Aranami pokiwał głową.

- A przecież wyglądasz na bystrego - powiedział do Suleya. - Atak na Yaoyinga to przedsięwzięcie w najwyższym stopniu... nazwijmy to... nieopatrzne. Dostojny Yaoying mógłby ci jedną ręką skrócić kark, wróbelku, i to całkowicie odruchowo, bez namysłu. Za ładny jesteś na taką głupią śmierć.

„Za ładny?” Oria, nie wierząc własnym uszom, spojrzała mimo woli na Suleya, a potem na Aranamiego. Odkąd to Aranami gustuje w niedźwiedziowatych białych osiłkach?

Jakby słysząc jej myśli, tłuszcioch łypnął na niewolnika pożądliwie. Wyciągnął rękę. Sule spochmurniał i zrobił krok w tył.

- Nie dotykaj mnie - ostrzegł.

Zabrzmiało to jak niskie warknięcie.

- Tak, tak, lepiej go nie dotykaj, Aranami. Został niewolnikiem dopiero wczoraj. Jest jeszcze troszkę niewychowany.

Pulchna dłoń Aranamiego zawisła w powietrzu.

- Kiedy ci się znudzi, daj go mnie - powiedział, już bez uśmiechu. - Nauczę go posłuszeństwa.

- Kto to jest? - spytał Sule, gdy Aranami odszedł.

- Jeden z zastępców Yaoyinga. Nie odzywaj się w jego obecności. Zostałeś mi przydzielony przez szefa, więc Aranami nie ma do ciebie żadnych praw. I potrafię mu o tym przypomnieć.

- Bardzo dziękuję, Niao Ichi.

- Ta ironia jest zbędna. Naprawdę masz mi za co dziękować. Gdybyś to na Aranamiego podniósł wczoraj rękę, dzisiaj krtań by ci pękła od krzyku. Jego niewolnicy muszą przed nim pełzać. Ale Aranami cię nie ruszy. Zanadto boi się Yaoyinga.

I ma rację - pomyślał Sule. Yaoying był tu najwyższym oficerem; co za tym idzie, miał władzę absolutną nad każdym mieszkańcem Migong. A nie wyglądał na kogoś, kto panuje miłościwie i łaskawie. Te wąskie, niemal białe oczy psychopaty, pociągła, wytatuowana twarz, pozbawiona wszelkiego wyrazu, jak obojętna maska Śmierci w Tańcu Duchów... Nic dziwnego, że wszyscy przed nim drżeli.

- Twój brat pewnie zabił wielu podludzi?

- Owszem, wielu.

- Często morduje niewolników?

- Niewolników? - zdumiała się. - Po co?

- No tak. Byłbym zapomniał. Niewolnik jest przecież wart wymierną kwotę w czerwiońcach. A często się nad nimi znęca?

Wzruszyła ramionami.

- On nigdy nie miał żadnego niewolnika prócz Zunyere. Trochę znęcania by jej nie zaszkodziło, zapewniam cię. Ale ty nie pójdziesz z nim do łóżka, więc nie licz na jego cierpliwość. Lepiej go nie prowokuj.

- Nie zamierzam - zapewnił Sule pogodnie. Póki co, wiodło mu się nieźle. Miał szczęście, że trafił na tę Wojowniczkę. Traktowała go niemal po koleżeńsku. Nie dążyła do żadnych intymności, co mu całkiem odpowiadało, bo Niao Ichi, ze swą wytatuowaną twarzą i chudym ciałem, obleczonym w workowate wdzianko, nie pociągła go specjalnie.

A odsiecz była tuż-tuż. Cała grupa Atalaya przeniosła się w lokalną strefę planetoid. Bard już opracował plan. Za parę dni Yaoying i Niao Ichi wyruszą, by zrabować sześć tysięcy czerwońców, ukrytych na statku Suleymana Raszda. Polecą sami, bez obstawy, bo nie zamierzają dzielić się tym łupem z triadą. Na wraku kosmolotu Bard zamontował pułapkę. Gdy tylko Wojownicy dostaną się na pokład, zostaną ogłuszeni i schwytani. Odzyskają wolność dopiero wówczas, gdy Yaoying nawiąże kontakt z Migong i każe przysłać do siebie dwoje nowych niewolników... To był plan A. W zanadrzu był jeszcze plan B. Na Chotał-Ekwa mieszkał człowiek, który dostawał regularną pensję za to, by w razie potrzeby udawać ojca Suleymana Raszda i wpłacić okup. Nie, Sule stanowczo nie zamierzał wdawać się w konflikty ze zбочonym tłusciochem ani z psychopatycznym mordercą-cyborgiem. Żadnych desperackich działań - trzeba spokojnie przeczekać.

Po spotkaniu z Aranamim poszli do sal produkcyjnych i na podziemne plantacje, skąpane w mdławym, sztucznym świetle. Do zadań Niao Ichi należał nadzór nad produkcją żywności. Minęły z górą dwie godziny, zanim wrócili na poziom mieszkalny. Tutaj Wojowniczką od razu sprawdziła u kontrolera lądowiska, czy Yaoying wrócił z Peng Lai.

Gdy okazało się, że tak, zmęczona usiadła na ozdobnym pufie. Nagle wydała się Suleyowi dziwnie krucha i delikatna.

To go zirytowało.

- Co teraz? - spytał rzeczowo.

- Teraz zjemy obiad - oznajmiła - potem zagramy w go, a wieczorem ułożę ci tarota i spytamy wyroczni I Ching, czy i kiedy wrócisz do domu.

Plan wydawał się racjonalny. Jeśli nie doszedł do skutku, to z przyczyn zupełnie od Niao Ichi niezależnych.



## Rozdział X

Ponieważ świec nie znalazło się w bazie ani na lekarstwo, Niao Ichi zapaliła wonne kadzidła. Sule siedział po turecku na dywanie i pobłażliwie przyglądał się, jak dziewczyna przetrząsa ukryte w ścianach schowki w poszukiwaniu kart wróżebnych. Nagle zatrzymała się w pół ruchu.

- Zaraz! Przecież pożyczała je ode mnie Niao San!

Przez chwilę stała nieruchomo, marszcząc brwi.

- Teraz pamiętam. Niao San, ta małpa, pożyczyła mojego tarota i nigdy nie oddała. To było rok temu, zanim przenieśli ją na Recabarren. Trudno, obejźmiemy się. Wystarczy I Ching. Ale gdzie są łodyżki? Bez łodyżek ci nie powrózę.

Drzwi rozsunęły się. Yaoying wszedł bezgłośnie, lekkim krokiem - zawsze chodził, jakby ledwo muskał podłogę - i wciągnął zapach hinduskich kadzideł. Skrzywił się, lecz nie skomentował. Zaaferowana Niao Ichi kiwnęła mu głową.

Sule wstał i z wysokości swoich dwustu siedmiu centymetrów w milczeniu wbił oczy w szefa triady.

Yaoying przemknął po nim obojętnym wzrokiem, jakby niewolnik stanowił rodzaj mebla. Przeszedł obok Suleya i rozłożył się wygodnie na łóżku Niao Ichi, wyciągając nogi i splatając dłonie na karku.

- Dogadałeś się w końcu z tą idiotką Delfi? - zagadnęła brata Oria.

- Nie. Zaczęła płakać.

- Znowu? Miłościwa Kannon-samá! Ta dziewczyna ma końskie zdrowie.

- Zunyere z dramatycznymi szczegółami opisała jej swój ostatni stosunek. Nie szczędziła informacji poglądowych, demonstrując każdy siniak, zadrapanie, otarcie skóry i ślad zębów. Zwłaszcza te zęby robiły wrażenie. Dużo ich było. Powiem ci, że momentami sam się zastanawiałem, co za zwierzę ją tak pogryzło. Od czasu do czasu dorzucała coś w stylu: „Ale żeby mu chociaż nie cuchnęło z ust!” Wzdychała, kiwała głową. Raz nawet załamała ręce.

Oria tupnęła gniewnie.

- I ciebie to bawi! Każ ją ukarać za te bezczelne kłamstwa!

- Ona nie kłamie - wyjaśnił Yaoying. - Wcale nie twierdzi, że to o mnie mowa. Nie wymienia żadnych imion.

- A to suka! Znowu puściła się z Aranamim! Że też jej pozwalasz. Przecież to twoja niewolnica.

- Zunyere wolno uprawiać seks ze mną i z moimi zastępcami. We trzech i tak ledwo dajemy jej radę. To nie jest kobieta dla jednego mężczyzny. A sama wiesz, że Szagdar nigdy z nią nie sypia, bo się nienawidzą.

Oria wzruszyła ramionami. Wrogość między Zunyere a zastępczynią Daga była jej własnym dziełem, efektem wielu subtelnych zabiegów. Nie mogła sobie pozwolić na ryzyko, że te dwie wiedźmy sprzymierzą się kiedyś przeciw niej. Dag rozumiał to doskonale; sam pomagał je skłócić.

- Wszystko jedno. Rozpuściłeś tę cwana dziwkę. Ja bym jej nie pozwalała na takie numery. Skacze sobie z łóżka do łóżka jak pasikonik i jeszcze cię obmawia!

- Obmawia również innych - zauważył spokojnie Dag. - Jej plotkarstwo bywa pożyteczne.

- Nigdy nie zrozumiem, co wy wszyscy w niej widzicie. To muszą być czary! A wiesz, jak ona o was mówi? „Ta banda samców z wywieszonymi jęzorami”. Sama słyszałam.

- Naprawdę? - Dag nie wydawał się poruszony.

- Mówi też, że tak tańczycie, jak ona zagra. I ma rację!

- Niech mówi, co chce. To nie mówienie jest jej mocną stroną.

Oria prychnęła, ale nie odpowiedziała. Mimo wielkich cycków, steatopygicznych bioder i włosów skręconych w wełniste czarne kłębki, Zunyere jako kobieta biła ją na głowę. No i trudno. Przynajmniej Dag odniósł z niej pożytek.

Drzwi rozsunęły się nieoczekiwanie. Yaoying, już na nogach - Sule zamrugął, bo w ogóle nie zarejestrował momentu, kiedy szef triady podniósł się z łóżka i znalazł nagle dwa kroki dalej - patrzył na wysokiego Wojownika, który przypadł do ziemi z głową pochyloną nad progiem.

- Przemów - rozkazał.

Mężczyzna uniósł się, nie podnosząc oczu na przełożonego, i trzy razy pokłonił się w pas. Był Wojownikiem zbyt niskiej rangi, by mógł bez formalnych przeprosin zakłócić spokój samego Yaoyinga.

Dag cierpliwie odczekał, aż mężczyzna wygłosi uniżoną formułę.

- Czego chcesz? - spytał, gdy rytuałowi stało się zadość.

- W sali kontaktu czeka pilne połączenie z Ken Angrok.

Wytatuowana twarz Daga nie zdradziła żadnych emocji.

- Zaczekaj - powiedział do siostry.

Sala kontaktu była okrągłym pomieszczeniem, tonącym w błękitnej, psychodelicznej poświacie. Dag celowo wybrał taki właśnie rodzaj oświetlenia. Wyglądał w tym świetle posepnie i niesamowicie, jak należy. Zawsze starannie dbał o wizerunek.

Wszedł. Drzwi zamknęły się za nim z cichym szelestem.

Pośrodku sali jaśniał naturalnej wielkości holobraz łącznościowca z Ken Angrok. Mężczyzna skłonił się Dagowi nisko.

- Witaj, dostojny Yaoyingu. Proszę, byś zczekał na połączenie z najwielmożniejszym panem Shengli Xiangiem.

Łącznościowiec znikł. Dag czekał kilka minut w pustej, cichej sali. Tego wymagał rytuał. Wreszcie powietrze pojaśniało i moment później ukazał się rosły czarnowłosy mężczyzna, ubrany w długą szatę z naturalnego jedwabiu. Mężczyzna spoczywał na sofie, niedbale wyciągnięty.

Dag opuścił wzrok, padł na twarz i zamarł w tej pozycji.

Przez chwilę panowało milczenie. Shengli Xiang obojętnie spojrział na kornie skuloną postać, sięgnął gdzieś w bok, poza zasięg przekazu, wziął wykałaczkę i zaczął czyścić sobie zęby.

- Witaj, Yaoying.

- Bądź pozdrowiony, panie mój - odparł Dag, wciąż przyciskając czoło do chłodnej posadzki.

- Możesz się podnieść.

- Dziękuję, panie mój.

Dag zmienił pozycję na klęczącą. Nie uniósł głowy i nie spojrział w twarz zwierchnika. Etykieta tego zabraniała. Sensowna rzecz, ta etykieta. Bo znał tę twarz aż za dobrze. Śniła mu się w sennych koszmarach.

Nie żeby sama w sobie raziła brzydota. Wręcz przeciwnie. Shengli Xiang był Sindianinem, przystojnym, brązowoskórym, o wydatnych kościach policzkowych i wyrazistych rysach. Uważał się za potomka królewskiego rodu Inków. Prywatnie miał na imię Kuan, a jego nazwisko, Ayllu Achawáll, świadczyło ponoć, że wywodził się w prostej linii od Atahualpy.

Stanowił czysty, by nie rzec kliniczny, przypadek umysłowości inkaso-konfucjańskiej, tak typowej dla nowobogackich Sindian. Przejawiał wielką niechęć do nowych rozwiązań. Był podczłowiekiem oschłym, pragmatycznym i bezdusznym. W jego stadzie rodzinnym mężczyźni z dawien dawna żenili się z własnymi siostrami, uważając to za przywilej inkaskich władców. Shengli Xiang posunął się dalej: jako dostojnik triady bezwzględnie

egzekwował podległość seksualną od swoich podwładnych, klonów i dzieci, i oczywiście od siostry-żony, cichej Lafken. Lubił dręczyć i poniżać, i nigdy nie porzucał swoich ofiar. Dag przekonał się o tym na własnej skórze.

Kłęczał ze spuszczonego wzrokiem. Kolana zaczynały mu już trochę doskwierać. Wreszcie Shengli Xiang przemówił:

- Zatrzymałeś sobie dwóch jeńców z Ryczącego Tygrysa. Już po egzekucji?
- Tak, panie mój.
- Bardzo dobrze. Nie marnujesz czasu.

Znow zapadła chwila ciszy. Dag, który regulaminowo wbijał wzrok w podłogę, zarejestrował jakiś ruch: Shengli Xiang odłożył wykałaczkę.

- Twoje zasługi są znaczne, a wierność godna pochwały, Sandayu.

Sandayu było to Tajne Imię, które Dag otrzymał niegdyś podczas inicjacji na Wojownika. Nadawano je na cześć wielkiego ninji Sandayu Momochi tym adeptom, którzy wyróżnili się odwagą i umiejętnością walki. W połączeniu z numerem identyfikacyjnym Tajne Imię określało osobistą tożsamość w tongu.

- Jestem zaszczycony, że moja pokorna i nic nie warta służba została tak łaskawie oceniona - odparł Dag grzecznie.

- Tajemna Hierarchia ma o tobie wysoką opinię.

Dag poczuł drobne ukłucie lęku.

- Sprawia mi to najwyższe szczęście.
- Oczekuję cię jutro na Ken Angrok.
- Tak, panie mój. - Dag uderzył czołem w posadzkę.
- Zabierz swoją siostrę.
- Jestem posłuszny, panie mój.

- Czeka cię ogromny zaszczyt. Tajemna Hierarchia postanowiła wynieść cię do godności Yue Shandian.

Dag na szczęście trzymał twarz tuż nad podłogą. Ktoś, kto znał go tak blisko jak Shengli Xiang, łatwo by spostrzegł, że przeżył szok. Prawie natychmiast jego rysy ułożyły się w stosowny wyraz. Podniósł ku Shengli Xiangowi oszołomione, uradowane oczy i zaraz je opuścił, dotykając posadzki czołem.

- O panie, nie wiem, jak mam dziękować! - wyjąkał. - Nie marzyłem o tak wspaniałej łasce! Nawet nie ośmieliłem się przypuszczać, że zostanę uznany godnym...

I zaczął bić rytualne pokłony.

Ja też nie przypuszczałem - pomyślał Shengli Xiang, spoglądając na podwładnego z

nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Od początku był przeciwny awansowi Sandayu 55. Nie tylko dlatego, że wolałby widzieć na tym stanowisku jednego z własnych klonów. Doprawdy przykre, że część Hierarchów przypisywała mu wyłącznie tak trywialną motywację. Jego obiekcje zostały zlekceważone. A szkoda.

Owszem, Sandayu 55 z pozoru wydawał się idealnym kandydatem. Jako Yaoying okazał się przeciętny. Osiągał przyzwoite, lecz nie rewelacyjne wyniki finansowe. Miał za to cechy jakby specjalnie zaprogramowane dla rangi Yue Shandian. Był znakomitym organizatorem. Podległe mu loże funkcjonowały sprawnie i gładko. Udoskonalił i przebudował wywiad i kontrwywiad odziedziczone po poprzedniku, dzięki czemu wyjątkowo skutecznie neutralizował konkurencyjne tongi. Powoli, systematycznie i dokładnie zbudował dominację Triady Trójgłowego Smoka na całym podległym mu terenie. Miał doskonałe układy z ludźmi. Agencja i Gindzaye niemal jadły mu z ręki, a to nie zdarzyło się przedtem żadnemu Yaoyingowi Ziemi. Zarazem jego lojalność nie podlegała kwestii.

Wszystko to była prawda. Mentoskopie Sandayu 55 też mieściły się w normie. A jednak Shengli Xiang żywił mocne wewnętrzne przekonanie, że Tajemna Hierarchia robi błąd. Sandayu 55 nie powinien być zostać wybrany.

Zawsze był zbyt samodzielny. Za tymi nienormalnie jasnymi oczami krążyły dziwne myśli. Od dziecka, jak kot, chadzał własnymi drogami. Patologicznie aspołeczny, nie włączył się do żadnego danwei, mimo że jako adept po prostu nie miał prawa przetrwać poza kolektywem. On jednak, zuchwale i podstępnie, nie tylko przetrwał, ale nawet wyrobił sobie guanxi. Jako piętnastoletni gówniarz dysponował już całą siatką powiązań, informatorów i wykonawców, która z biegiem czasu objęła nie tylko adeptów, lecz także dorosłych, nawet Wojowników.

Pod żadnym względem nie okazał się przeciętny. Był upośledzony - biseksualny inaczej, jak to delikatnie określano, a mówiąc bez ogródek, wyrósł na monoseksa typu hetero. Lecz zamiast walczyć z tym kalectwem lub chociaż wstydliwie je ukrywać, on się z nim pogodził i nie nabrał bodaj stosownych kompleksów. A to już trąciło herezją. Jeżeli jednak Sandayu 55 po cichu żywił jakieś nieprawomyślne poglądy - a żywiło je całkiem sporo wykształconych podludzi, co było godne ubolewania - to zachowywał je dla siebie, jak przystało na mądrego oficera.

Oczywiście, nie mógł być prawdziwie mądry, będąc zaledwie białym, a więc prostakiem. Rasy w postaci czystej dawno już znikły wśród podludzi, każdy był mniej lub bardziej mieszańcem, z wyjątkiem członków stad endogamicznych, takich jak stado rodowe

Shengli Hanga. Niestety, Sandayu był białym w stopniu przeważającym. Rozumował z prymitywną bezpośredniością, choć co poniektórzy hierarchowie woleli to nazywać klarowną logiką. Nie była to wyłącznie wina jego genów. Miał dobre predyspozycje i gdyby wyrósł we właściwym klimacie kulturalnym, na pewno przyswoiłby sobie subtelniejszą sztukę myślenia i konwersacji. Świetlisty nie dał mu tej szansy. Sandayu nie dostąpił honoru dobrego sindiańskiego wychowania. I nic dziwnego. Za czasów Królestwa do triad przyjmowano wyłącznie Sindian, Chińczyków i Japończyków; potem otwarto bramy dla podludzi z całej Azji; w końcu doszło do tego, że triady zalał potop murzyńskiej i metyskiej hołoty. Teraz zaś obyczaje upadły tak nisko, że przyjmowano nawet białych. Tajemna Hierarchia zwała to dopływem świeżej krwi - świeżej, pomyślałby kto, zupełnie jakby Hierarchowie byli gromadą wyposzczonych wampirów! Shengli Xiang należał do nielicznych konserwatystów, lecz nikomu się z tego nie zwierzał, jako że jego bezpośredni zwierzchnik był zambo, mieszańcem indiomurzyńskim.

Tak czy owak, Sandayu 55 był dziedzicznie obciążony genami swych prymitywnych przodków. Wychowywał się wśród powierzchownie schińszonych kolorowych, nie więc dziwnego, że nie czuł inklinacji, by podwyższać poziom kultury i polerować obycie. Shengli Xiang nie lubił z nim rozmawiać, bo takie rozmowy wzbudzały niesmak w duszy każdego wyrafinowanego Sindianina. Nieszczęsny Sandayu za długo był komandosem. Jego żołnierski, prosty styl ranił poczucie estetyki, mimo że Shengli Xiang oduczył go typowego dla warstw niższych rzucania przekleństwami.

Co innego Aranami. Konwersacja z Aranamim stanowiła prawdziwą przyjemność. Zastępca Sandayu 55 chwycił każde, nawet najsubtelniejsze niedopowiedzenie, każde pół słowa, ćwierć gestu, i zawsze umiał stosownie się zachować. No, ale on był Chińczykiem, pochodził ze starodawnego rodu Wu i kulturę miał już w genach. Żył wśród pospólstwa, rzadko więc mógł dawać upust naturalnemu upodobaniu do aluzji, metafor, niedomówień. Jego myśli biegły drogami równie krętymi jak uliczki w dawnych chińskich miastach, musiał jednak przemawiać do barbarzyńców tak, by go rozumieli. Ostatnio zresztą sam jakby spłycił się, schamiał... Chociaż on nawet kłął wytwornie, z nienaganną chińską intonacją. Cała reszta prostaków bluzgała w hiraketa, tym skundlonym i poprzekręcanym języku mieszańców, mówiąc: *dzoude shi*, on zaś mówił *choude shi* albo *gou shi*, zgodnie z etymologią, a kiedy chciał kogoś dosadnie nazwać, używał słów *ta ma de*, które w porównaniu z hiraketa brzmiały jak lutnia yue-qin na tle małpich wrzasków. Tak, szkoda, że ten wyjątkowy człowiek marnuje się jako ziemski Aranami, samotny bastion cywilizacji zalewany przez odmęty motłochu. Ta czarna niewolnica, która magicznie go omotała, też ma na niego zły

wpływ. Gdyby nie szacunek dla przodków, Aranami pewnie by się z nią nawet ożenił. Przy wszystkich cnotach swego umysłu należał do tych, którzy tracą rozsądek pod wpływem hormonów.

Sandayu 55 na pewno to nie groziło. Należało mu to przyznać. Był tak doskonale zimny i odporny, jak powinien być mężczyzna. Seks nie poruszał go emocjonalnie w najmniejszym bodaj stopniu.

Ale miało to również złe strony.

Shengli Xiang wysunął ku Sandayu wypielęgowaną stopę, obutą w drogi sandał.

- Do nogi, piesku.

Sandayu 55, wciąż na kolanach, przypadł bliżej i zaczął całować zwierzchnika po stopie.

Shengli Xiang trącił go w policzek czubkiem sandała.

- Dawno już cię nie wzywałem. Mam nadzieję, że nie zapomniałeś moich lekcji, chłopczyku?

- Pamiętam, mistrzu.

O, tak. Sandayu 55 pamiętał doskonale. I nigdy nie pozwolił sobie na jawne nieposłuszeństwo. Krnąbrni źle kończyli. A jednak Shengli Xiang nie zdołał go sobie trwale podporządkować. Sandayu okazał się odporny na ból, rozkosz, strach, samotność, nawet na pochlebstwa. Z taką samą gładką obojętnością spełniał każdy rozkaz, czy to przyjemny, czy jawnie i brutalnie poniżający. Raz jeden, gdy Shengli Xiang dawał mu akurat ostrą szkołę, ich wzrok spotkał się na chwilę i Shengli Xiang gotów był przysiąc, że dojrzał w tych szarych oczach wyraźną ironię. Trwało to moment i mogło być złudzeniem, lecz od tamtej pory Shengli Xiang był pewien, że na Sandayu 55 trzeba uważać.

Tak... jest zbyt niezależny. Może na nowym stanowisku ta wada ujawni się wyraźniej. Może trzeba mu będzie zrobić zabieg zmiany osobowości. A takie zabiegi bywają ryzykowne... Niewykluczone, że zanikną wówczas te cechy charakteru Sandayu, które zadecydowały o jego awansie. A wtedy stanowisko obejmie ktoś, kto lepiej się do tego nadaje. Hierarchowie poniewczasie zrozumieją swój błąd. Sandayu 55 sprawdził się jako Yaoying i na tym należało poprzestać. Lepsze jest wrogiem dobrego.

- Jutro po raz pierwszy ukaże ci się jeden z twoich Nieznanych Przełożonych - powiedział do klęczącego. - Nie zrób mi wstydu. Jesteś i zawsze zostaniesz tylko małpą, naśladującą lepszych od siebie, i długo musiałeś się uczyć, żeby przyswoić sobie stosowne maniery, ale liczę, że jednak zdołałem wytresować cię jak należy.

- Tak, panie mój i mistrzu. Jestem i zawsze zostanę tylko małpą, naśladującą lepszych

ode mnie - powtórzył jak echo Yaoying. Tego po nim oczekiwano; tak miał się odezwać. - Wytresowałeś mnie jak należy. Obiecuję, że cię nie zawiodę.

Shengli Xiang skinął łaskawie dłonią. Obraz zgasł.

Dag podniósł się wolno. Przez kilkanaście sekund stał zupełnie nieruchomo, patrząc niewidzącym wzrokiem w miejsce, gdzie przed chwilą spoczywała Projekcja ciała Shengli Xianga. Jeszcze czuł na wargach i policzku dotyk jego stopy. Wreszcie odwrócił się i energicznym krokiem poszedł do Orii.

Gdy stanął na progu jej sypialni, twarz miał jak; zwykle bez wyrazu.

- Chodź na chwilę.

Oria zamknęła I Ching. Dag odwrócił się i nie czekając, ruszył korytarzem do swojego gabinetu. Podbiegła za nim. Drzwi zasunęły się, oddzielając ją od Suleya.

- O co chodzi, Dag?

Objął ją ramieniem.

- Dostałem awans.

Orii zrobiło się zimno.

- Awans? - wyjąkała.

- Tak.

- Nna... na funkcję Yue Shandian?

- Dokładnie.

W milczeniu szli szybkim krokiem do gabinetu. Dopiero gdy tam dotarli, Dag cofnął ramię, którym ją obejmował. Popatrzyli na siebie, oboje jednakowo bladzi i przerażeni.

- Kiedy kazał ci przylecieć na Ken Angrok? - wychrypiała Oria. Jej dłonie nagle zrobiły się lodowate. Wepchnęła je do kieszeni kombinezonu.

- Jutro.

- Już jutro?!

- Tak.

Oria rozejrzała się wokół, niemal w panice.

- Mamy strasznie mało czasu! Co zabieramy?

- Jak najmniej.

Dag wziął się w garść, choć wciąż był blady pod barwnym tatuażem. Oczy świeciły mu dziwnie. Oria zadrzała. Podniosła dłoń do ust.

- Ten niewolnik czeka, aż zacznę mu wróżyć!

- Wyrzuć go do boksów.

- Dag, zabierzmy go! Zabierzmy ich oboje! Powiem Aranamiemu, że to jeden z



prezentów dla Shengli Xiang. Zapłacę za nich z mojego konta. To grosze... a konto i tak nigdy więcej mi się nie przyda.

- Ale po co?

- Nie chcę zostawiać Raszda Aranamiemu. Aranami zdręczy go na śmierć. A ta Delfi jest dla niego ważna, on się o nią troszczy i... - urwała, bo głos jej się załamał.

- Rób, co chcesz, tylko pamiętaj, że trzeba to zaksięgować. W takiej chwili myślisz o jakichś niewolnikach? Lepiej się zastanów, co wziąć ze sobą!

- Ile mamy pieniędzy?

- Równe dwadzieścia pięć tysięcy. Dołożymy jeszcze te sześć tysięcy Raszda.

Spojrzeni na siebie. Wciąż czuli strach. Oczy Daga miały spięty, zaszczuty wyraz, jakiego Oria nie widziała u niego od lat.

Podeszła do brata, objęła go w pół i przytuliła mocno.

- Wiesz, bardzo się cieszę - oznajmiła przez zaciskające się gardło. - Nareszcie nas spotka coś nowego i lepszego. Bo gorzej niż tutaj już nam nie będzie. I wiesz co? Już nigdy, nigdy więcej żadnych spotkań z tą żmiją Vikman ani z tym obrzydliwym Shengli Xiangiem. Nigdy więcej! Choćby dlatego warto stąd uciec!

Poczuła, jak jego ciało odrobinę się rozluźnia. Odsunął się od niej.

- Jasne - mruknął. - Masz rację. No to bierzmy się do roboty.

## Rozdział XI

Minęło południe.

Rozmyta złocista kula planety zajmowała większą część firmamentu. Okalało ją bezchmurne niebo barwy dojrzałej pomarańczy. Wyglądało to, jakby nad księżycem zawisło monstrualne cyklopie oko z pomarańczowym białkiem i ogromną, pozbawioną źrenicy złotą tęczówką. Oko spoglądało nieruchomo na dziki krajobraz Sanyasina.

Całą powierzchnię księżyca pokrywał bladożółty lód. W niecce krateru snuły się widmowe opary, spomiędzy których jeżyło się mrowie cienkich lodowych iglic.

Stację zbudowano głęboko wewnątrz lądolodu, więc kotlina pełna sterczących sopli leżała w rzeczywistości dziesiątki metrów wyżej. Na powierzchni mróz spadał do minus dwustu stopni Celsjusza, zaś blade opary składały się ze związków chemicznych, którymi żaden człowiek nie mógłby oddychać. Tu jednak, w środku stacji, było przytulnie i ciepło, choć panowała ciasnota. W warunkach ściśle konspiracyjnych wymiana gazowa i utylizacja odpadów musiały odbywać się na nader ograniczonej przestrzeni. Stacja leżała w samym sercu Sol Wangkuo.

Skromna jadalnia, służąca załodze również za salon i bibliotekę, w oczach Suleya wyglądała miło i swojsko. Cały wystrój był typowo medyjski. Malutkie, kopulaste pomieszczenie o zielonych ścianach mieściło zaledwie jeden owalny stół, kilka wiklinowych foteli i wnęki z książkami. Rolę okna spełniał półokrągły ekran widokowy. W tej chwili, gdy zgromadziła się tu cała pięcioosobowa załoga, jadalnia zdawała się pękać w szwach.

Sule rozparł się wygodnie, aż wiklina zatrzeszczała. Gdyby był kotem, zamruczałby z zadowolenia. Niedawno zjadł znakomity obiad i teraz, zrelaksowany, zamierzał cieszyć się życiem.

Tocząca się wokół dyskusja raczej go bawiła. Spod sennie półprzymkniętych powiek przyglądał się czworgu swoich podwładnych. Dobrze było znowu znaleźć się wśród nich. Proszę, jak się zacierzewili. Zwłaszcza Igor. Znow wali pięścią w stół. Miejmy nadzieję, że stół wytrzyma siłę jego argumentów.

Igor de Courcy jak zwykle zajął miejsce po prawej stronie Suleya. Dumne imię i pompatyczne nazwisko świetnie pasowały do jego posagowej postaci. Był wysoki i mocno zbudowany, a rysy twarzy miał tak idealnie regularne, jakby wykuł je z marmuru własnoręcznie sam Michał Anioł. Jeśli dodać do tego gęstą złotoblond grzywę, błękitne oczy i

ośniewający uśmiech, całość naprawdę robiła wrażenie.

Oto pomnik ludzkiej pracy - pomyślał Sule ze szczyptą ironii. Specjaliści od upiększania wykonali kawałek rzetelnej roboty. Oryginalny koloryt Igora był bledszy, a twarz nie tak nieskazitelna. Teraz Igor przypominał młodego nordyckiego boga, żywcem wyjętego z Sagi o Nibelungach czy innego posepnego eposu. Wyglądał jak Zygfyrd albo Thor. Niestety, zachowywał się też podobnie. Sule z łatwością mógł go sobie wyobrazić, jak z ogromnym mieczem w dłoni galopuje przez burzę i ciemność u boku jakiejś Walkirii, masakrując wrogów i wydając mrozący krew w żyłach ryk.

Urodzony w prozaicznych czasach, Igor nie zawsze umiał okiełznać żywioły własnej natury.

- Ten pomysł jest chory, po prostu chory! - zagrzemiał i znów uderzył w stół. Mówił o wiele za głośno i zbyt napastliwie. - Ja zresztą w ogóle nie rozumiem, po co zabieraliśmy tych bandziorów. Zgoda, przyznaję, pułapka spełniła swoje zadanie, wpadli nam w ręce jak śliwki. I wystarczy. Powinniśmy ich zostawić tam, w strefie planetoid, na ich własnym statku. Po cholere ich ściągając na Sanyasin? Już to było zbędne i głupie, tak, głupie! Ale to, co Jun wymyślił teraz, przekracza wszelkie granice! Ja nie wierzę, że mówił serio! Jeśli to nie jest durny żart, to znaczy, że Jun wymaga natychmiastowej pomocy psychiatrycznej!

Mocne - stwierdził Sule z uznaniem. Zamiast maczuga, Igor próbuje miazdżyć przeciwników ironią. Tak... cóż zrobić. Z maczuga radziłby sobie lepiej.

A jednak, wbrew pozorom, w tej bosko pięknej głowie pracował pierwszorzędny mózg. We wszystkich medyjskich testach na inteligencję Igor kosił punkty jak maszyna, a rok temu uzyskał tytuł Mistrza Infotroniki Klasy Zero Plus, zdając egzamin z najlepszym wynikiem na Medzie. Właśnie dlatego był teraz tutaj.

Stół uzyskał szansę przetrwania: odezwała się Aune Rodriguez.

- Nie zamierzam marnować czasu na krytykę faktów dokonanych - oświadczyła swoim ciepłym, miodowym altem. - Wojownicy są na stacji, czy miało to sens, czy nie. Pozostaje problem, co z nimi teraz zrobić. Pomysł Juna jest szlachetny, ale niepraktyczny. Mamy do czynienia z dwójgiem agresywnych psychopatów, o czym nie wolno zapominać. Proponuję, żeby podłączyć ich do systemu podtrzymywania życia i podać długotrwały środek nasenny. Za dwa tygodnie obudzimy ich i przetransportujemy na Medę.

Sule patrzył na nią z przyjemnością. Nie tylko jej głos, ale i wygląd dostarczał estetycznej satysfakcji. Aune była niewysoka, lecz nosiła się jak wielka dama, z gracją, nonszalancją i naturalną pewnością siebie. Urodzona jako szatynka, po serii śmiałych eksperymentów wystylizowała się wreszcie na aniołka z aureolą popielatoblond loków i

tęczówkami w najdroższym odcieniu „morska woda”, mieniącymi się zielenią, błękitem i srebrem. Wyglądała tak słodko i ufnie, że aż serce topniało. Mało kto zdawał sobie sprawę, że charakter ma twardy jak pancierz z tyrolitu.

Jej brat, Bard Stapleton, znał Aune doskonale. Rozparty obok w niedbałej pozie, obdarzył właśnie siostrę swoim szelmowskim, słonecznym uśmiechem.

- Skąd wiesz, że nasi Wojownicy to agresywni psychopaci? - spytał uprzejmie. - Zdradź mi z łaski swojej, kto i na jakiej podstawie wydał taką diagnozę?

Bartholoms Stapleton, zwany Bardem, nie był właściwie bratem, tylko kuzynem Aune Rodriguez, młodszym od niej o dwa lata. Wychowali się jednak razem i żyli jak rodzeństwo.

- No proszę - wycodził Igor. - Odezwał się nasz pajac i powiedział, co wiedział. Każdy Wojownik Triady to psychopata. Nie słyszałeś o tym?

- Każdy? - zdumiał się Bard. - Naprawdę? Igor, to rewelacja! Do tej pory nie miałem pojęcia, że ktoś przetestował całą populację Wojowników pod kątem ich zdrowia psychicznego! Dlaczego tak sensacyjne badania nie są szerzej znane? Kto i kiedy je przeprowadził? Jakie były warunki testu i użyte metody?

Sule obserwował ich z cichym rozbawieniem. Igor nie ma szans. Bard będzie go wodzić za nos tak długo, jak zechce.

Bard Stapleton był urodziwy - nie idealnie piękny jak Igor, lecz ogromnie atrakcyjny. Dziewczęta zlatywały się do niego jak pszczoły do miodu. Miał falujące czarne włosy, śmiały profil i oczy, które wydawały się to modre, to znów turkusowe, zależnie od oświetlenia; zawsze jednak pozostawały ciepłe, wyraziste i wesołe - jak sam Bard. Promieniował taką energią i pogodą ducha, że Igor, choć przystojniejszy, wydawał się przy nim zimnym zrzędą.

Na tym niedoskonałym świecie rzadko spotyka się ludzi o prawdziwie ujmującym wdzięku. Wrodzony wdzięk Barda bił wszelkie rekordy. Toteż nic dziwnego, że Bard beztrąsko pozwalał sobie na wiele ryzykownych zagrań w słusznym przekonaniu, że i tak ujdzie mu to na sucho. A że jego charakter stanowił konglomerat najróżniejszych cech, więc i zagrania bywały urozmaicone.

Urok Stapletona działał na każdego. Igor de Courcy nie stanowił wyjątku, tyle że w jego wypadku przypominało to działanie płachty na byka.

- Nie próbuj wykręcać kota ogonem! - ryknął. Stół znowu zadrżał pod potężnym ciosem.

- Istnieje wysokie statystyczne prawdopodobieństwo, że u Wojownika Triady rozwinie się psychopatia - powiedziała Aune i uśmiechnęła się przekornie do brata. W policzkach pokazały się jej dołeczki. - Jak sam dobrze wiesz, ci ludzie są celowo poddawani

wychowaniu, które ma wypaczyć ich osobowość. Dlatego możemy spokojnie założyć, że ta dwójka to psychopaci. W braku przeciwnych dowodów to najrozsądniejsze założenie.

Punkt dla Aune, ocenił Sule. Tylko, hm, ten jej prowokujący uśmieszek... Aune musi z pewnością wiedzieć, że dla Barda to jak żgnięcie ostrogą. I rzeczywiście.

Cokolwiek Bard Stapleton naprawdę myślał o sprawie, zajął stanowisko zgodne ze swoją stałą taktyką: po stronie Juna, a przeciw Igorowi. Gdyby Jun zaproponował, żeby wysadzić stację w powietrze - a pomysły Juna nieraz bywały, oględnie mówiąc, niekonwencjonalne - Bard potrafiłby od ręki udowodnić, że dalsze istnienie stacji jest niepożądane pod każdym możliwym względem. Bard umiał udowodnić wszystko. Wyciągał argumenty jak magik króliki z kapelusza. Jego giętki, błyskotliwy umysł, wykarmiony sofistyką i paradoksami Chestertona, wręcz lubował się w karkołomnych tezach.

Tekst o psychopatii stanowił zaledwie wstępną rozgrzewkę. Sule ubawiony obserwował, jak Bardowi udaje się wciągnąć Aune i Igora do rozważań o godności osoby ludzkiej na przykładzie Yaoyinga i Niao Ichi. Igor się irtował. Jego nabzdyczona mina wskazywała, że przegrywa i wie o tym. Obiektywnie biorąc, miał rację, lecz Bard tak tę jego rację wykreślił, że zaczęła wyglądać na absurd - ba, omalże na sadyzm.

A Jun M'bo milczał.

Sule spojrzał spod oka na Juna. W końcu to jego propozycja rozpętała całą burzę. Ale Jun, jak to Jun, nie tylko nie brał udziału w rozmowie, ale wydawał się zupełnie nieobecny duchem. Jasne. Czego by nie mówili Aune, Bard i Igor, i tak nie zmieni to jego stanowiska. Do tego potrzebny byłby cud, w najdosłowniejszym teologicznym znaczeniu. Żadna ludzka siła nie zdołała jeszcze pokonać uporu Juna.

Na Medzie Jun nie zwracał niczyjej uwagi. Był artystą, lecz nie odczuwał potrzeby eksponowania swej sztuki. Nie posiadał nawet śladowych talentów towarzyskich. Wyglądał też całkiem zwyczajnie. Szczupły, średniego wzrostu, miał krótkie włosy mysiej barwy, szarzielone oczy i nie rzucającą się w oczy twarz, ani brzydką, ani piękną. Nosił skromne, zwyczajne ubrania. Nie uprawiał sportów, nie zdobywał kobiet, rzadko się odzywał, a o sztukach walki wiedział tyle, że takowe istnieją. Jeśli miał jakieś ambicje, nikomu ich nie zdradzał. I zupełnie lekceważył większość spraw, które obchodzą normalnych ludzi.

Co dotyczyło również bieżącej dyskusji.

Wytrzymałość Igora dobiegła kresu. Przerywając Bardowi w pół zdania, zwrócił się raptownie do Juna:

- I co, wciąż się upierasz przy tym kretyńskim pomysle?

- Tak - odezwał się wreszcie M'bo. - Nie rozumiem twoich obiekcji.

Cały Jun, stwierdził Sule, z rezygnacją oczekując na wściekły ryk Igora. Oto kolejna próbka Junowego sposobu myślenia, którą Igor na pewno uzna za prowokację. A to kiepsko wróżyło dla stołu.

No i proszę. Udręczony mebel znów zadygotał.

- Nie rozumiesz?! - wykrzyknął Igor. - Przez bity kwadrans udowadniam, że to bzdura, a ty nie rozumiesz?!

Jun nie pofatygował się nawet, by wzruszyć ramionami. Sule ledwo zauważalnie pokiwał głową. Po co Igor tak się wydziera? I tak nie zdominuje cichego, dalekiego Juna. Łatwiej już chwytać w dłonie wiatr. Sensowniej walić pięściami w fale przyboju. Nie tędy droga. Na Juna należało znajdować przemyślnie sposoby, apelujące do jego intelektu lub przekonań, jako że emocje otoczenia nie udzielały mu się zupełnie. Igor marnował czas.

- Jak można tego nie rozumieć? - wściekał się de Courcy. - Przecież nie jesteś aż tak ograniczony! Nawet człowiekowi o miernej inteligencji wystarczyłaby minuta, żeby przyswoić sobie moje argumenty!

- A półgłówkowi wystarczyłoby nawet pół minuty - przytaknął Bard z miną niewiniątka.

Igor poczerwieniał.

- Ty umiesz tylko się zgrywać. Doskonale, wypuścimy tych morderców! Mam nadzieję, że tobie pierwszemu skręcą kark!

- Dzięki za dobre słowo, Igor. Jak zwykle wnosisz promyk światła do tego ponurego życia. Tylko że chyba niezbyt uważnie słuchałeś Juna. Zaraz ci powoli wytłumaczę. Ja wiem, że masz tyle polotu co ptak dodo, ale głowa do góry, posłuchaj jeszcze raz.

- Bard posłał Igorowi krzepiący uśmiech. - Jun zaproponował, żeby pozwolić tym dwojgu Wojownikom swobodnie poruszać się po naszej stacji i przebywać razem z nami. Jednocześnie wprowadzimy do koordynującego komputera polecenie, żeby poraził ich natychmiast w przypadku agresji skierowanej przeciw nam lub próby uszkodzenia urządzeń stacji. No i zablokujemy im dostęp do dyspozytorni, hangaru i magazynu. Teraz załapałeś?

- I po co nam to? Nie mamy innych kłopotów? Nie przylecieliśmy tu na wakacje, *adarra!* Sule, ty nic nie mówisz. Co myślisz o tym poronionym pomysle?

Sule poruszył się leniwie i uniół półprzymknięte powieki.

- Myślę, że należy wysłuchać drugiej strony.

- Wojowników? - zdziwiła się Aune. - Po co?

- Obejrzyjcie ich sobie w naturze. Dotychczas tylko ja miałem tę przyjemność.

- Jak to? Dopuszczasz możliwość, żeby przyjąć ten obłąkany projekt?!

Igor był wstrząśnięty. Po raz pierwszy poważnie zwątpił w inteligencję szefa.

- Powinni obudzić się za pół godziny. Przyprowadzimy ich tutaj.

- Tak?! A kto ich przyprowadzi?

- Bard - powiedział krótko Jun.

Bard zrobił wielkie oczy.

- Ja!

- Ty.

- A czemu właśnie na mnie spłynął ten zaszczyt? Ty też uważasz, że mój kark najlepiej nadaje się do skręcenia?

- Nie rozważałem tego w kategoriach anatomicznych.

- A w jakich? Znudził ci się widok mojej twarzy przy każdym obiedzie, czy co? Obiecuj chociaż, że wyprawicie mi piękny pogrzeb!

- Nie mów tak! - poprosiła Aune.

Bard tylko się zaśmiał.

- Licho też musi sypiać!

- Nie wolno mówić takich rzeczy. Zapomniałeś o prawie Kammerera? Koincydencja działa zgodnie ze znaczeniem!

- No właśnie. Pogrzeb na Sanyasinie na pewno mi nie grozi. Próbowalaś kiedyś zakopać coś w zamrożonym lodowcu?

Jun słuchał ich z półuśmiechem. W porządku - pomyślał Sule. W przewidywalnej przyszłości Bardowi włos z głowy nie spadnie.

\*

Yaoying i Niao Ichi niebawem odzyskali przytomność.

Nie zareagowali nerwowo, choć nie mogli wiedzieć, gdzie są i skąd się tu wzięli. Byli zdumieni, stwierdziwszy, że nie zabrano im nic prócz broni. Umyli się i po namyśle zjedli oczekujący na nich posiłek, uprzednio sprawdzając go wykrywaczem trucizn. Potem ruszyli na rekonesans.

Drzwi maleńkiej kajuty rozsunęły się przed nimi. Ujrzeni wąski korytarzyk, oświetlony tylko przez punktowe źródła światła. Ściany korytarza były ciemnoniebieskie, zbudowane z materiału nie używanego w Sol Wangkuo, gładkiego i ciepłego w dotyku.

Normalni ludzie poczuliby lęk czy choćby zdenerwowanie, widząc, że uprowadziła ich obca cywilizacja kosmiczna. Wojowników ten fakt wyraźnie uspokoił. W zdecydowanie lepszym nastroju dotarli do mikroskopijnego, idealnie schludnego pokoiku Aune, a potem do równie niedużej sypialni Barda, gdzie panował zwykły bałagan. Obejrzeni uważnie oba

pomieszczenia. Na pewno nie były solaryjskie; świadczyły o tym zarówno architektura, jak wystrój.

Zaskoczył ich widok, książek - towaru spotykanego w Sol Wangkuo tylko w katalogach z antykami. Niczego nie dotykali. Mimo wyraźnej ciekawości zachowywali się tak nieufnie, jakby każda z oglądanych rzeczy tylko czyhała, by rzucić się na nich z wyszczerzonymi kłami.

Byli ostrożni również wobec Barda. Zanim jeszcze dotarł do progu kajuty, Yaoying usłyszał go i znalazł się pomiędzy nim a swoją siostrą. Nie zaatakował; zmierzył tylko przybysza zimnym, baczynym wzrokiem.

Barda to nie speszyło. Niewiele sytuacji potrafiłoby go speszyć. Popatrzył na Wojowników z życzliwym zainteresowaniem.

- Dzień dobry. Jestem Bard. Witam na stacji. Wojownicy jakby się rozluźnili.

- Na jakiej stacji? Gdzie jesteśmy? Skąd się tu Wzięliśmy? - spytała rzeczowo Niao Ichi.

- To nieduża stacja badawcza na księżycu Sanyasin, krążącym wokół Patni, trzeciej planety Epsilon Panny.

- Epsilon czego?

- Panny. Przepraszam, zapomniałem, że nie możecie tego wiedzieć. To europejska nazwa gwiazdozbioru widzianego z Ziemi. Według nomenklatury arkadyjskiej nasza gwiazda to Delta Astarte, inaczej Cuniraya.

- Cuniraya - powtórzyła Niao Ichi, zaalarmowana. - Czyli że... że to Sol Wangkuo!

- Nie inaczej.

- Kim jesteście? Co tu robicie?

- Spokojnie. Nie należymy do żadnego tongu.

Niao Ichi łypnęła na niego podejrzliwie spod ciemnej, spadającej na czoło grzywki. Układ słoneczny gwiazdy Cuniraya stanowił strefę zamkniętą, gdzie nie tylko podludzie, ale nawet ludzie nie mieli wstępu.

- Co się stało z naszymi niewolnikami? - spytała.

- Delfi jest już daleko stąd, w innej bazie.

- A... Sule?

Bard uśmiechnął się do niej.

- Tak się składa, że to mój szef.

Uśmiech Barda, jak należało oczekiwać, wywarł na Niao Ichi magiczny wpływ. Prawie sama uśmiechnęła się w odpowiedzi. Wojowniczką czy nie, była kobietą, a kobiety



najczęściej żywiły do Barda słabość.

- Sule jest twoim szefem?

- Właśnie. Nie żebym się skarżył - dodał filozoficznie, świadom, że każde jego słowo dociera do Medycyżka. - Pewnie bywają gorsi. No, pora iść.

- Dokąd?

- Czeka na was reszta towarzystwa - wyjaśnił Bard i beztrąsko odwrócił się do bandytów plecami.

Niao Ichi i Yaoying spojrzeli po sobie i poszli za nim. Błękitny, słabo oświetlony korytarz doprowadził ich prosto do jadalni.

- Proszę - Bard stanął w otwartych drzwiach i szerokim gestem zachęcił gości do wejścia.

Yaoying wkroczył pierwszy. Szybko i bezgłośnie, niczym duch, znalazł się na środku pomieszczenia i stanął wyprostowany, obrzucając wyniosłym wzrokiem siedzących przed nim czworo ludzi. Nie wykonał nawet grzecznościowego ukłonu, co w myśl obyczajów triad oznaczało jawne wyzwanie.

Bard minął go, kierując się na swoje miejsce za stołem.

- Trzymajcie się - poradził pogodnie. - Zaraz weźmiemy was w krzyżowy ogień pytań.

Oria stanęła obok brata. Popatrzyła na Suleya, który skinął jej głową. Nie odwzajemniła gestu. Powiodła wzrokiem po reszcie obcych twarzy. Aż drgnęła. Nie zdołała zapanować nad zdziwieniem. Obejrzała ich jeszcze raz, dokładniej, lecz jej zdumienie wcale nie znikło.

- Witaj, Niao Ichi - powiedział Sule. - Co cię tak zaskoczyło?

- Jak żyję, nigdy jeszcze nie widziałam tylu białych naraz. Czy ty ich specjalnie kolekcjonujesz?

- Powiedzmy, że kolekcjonujemy się nawzajem. Zechcecie usiąść?

Usiedli, lecz tak ostrożnie, jakby oczekiwali, że wiklinowe fotele natychmiast załamają się pod ich ciężarem.

Teraz dzielił ich od załogi stacji tylko pusty, okrągły stół.

## Rozdział XII

- Na początek chcemy z wami porozmawiać.

Rodzeństwo nie odpowiedziało.

- Startujemy. Powiedz mi coś o sobie, Yaoying - polecił Sule, obserwując Wojownika spod półprzymkniętych powiek.

- Ustalmy reguły gry, Raszd. Po co nas tu sprowadziłeś?

- Tego ci nie wyjawię. Ale nie dla okupu. I nie żeby zrobić wam krzywdę.

- Co nam przyjdzie z rozmowy z wami?

- Jeśli odpowiecie na wszystkie pytania, być może pozwolimy wam przebywać tu na prawach gości, nie jeńców.

Co za naiwne kłamstwo, zdziwił się Dag. Tylko dureń by dopuścił, żeby dwoje obcych, w dodatku Wojowników, pętało się po jego własnej stacji. Raszd, czy jak tam naprawdę się nazywał, nie był durniem.

A może jednak?

- Nie próbuj, Yaoying - poradził Sule flegmatycznie. - Cała stacja jest pod nadzorem komputera. Jeden gwałtowny ruch, jedno moje słowo i zostaniecie porażeni.

- Nie odpowiem na żadne pytanie o wewnętrzne sprawy tongu.

- Nie będziemy pytać was o tong.

Yaoying i Niao Ichi porozumieli się krótkim spojrzeniem.

- Skoro tak, możemy z tobą pogawędzić - zgodziła się Oria.

- Dobrze. Głównie będzie gawędził twój brat. Yaoying, opisz sam siebie, ale nie jako oficera triady. Jako osobę.

Chłodne jasnoszare oczy Daga straciły wszelki wyraz.

- Jestem samcem rasy białej gatunku pseudohomo. Mam dwadzieścia dziewięć lat arkadyjskich. Mierzę sto osiemdziesiąt osiem centymetrów. Aktualnej wagi nie znam.

- A ty, Niao Ichi?

Wzruszyła ramionami.

- Dwadzieścia dziewięć lat, metr osiemdziesiąt, para chromosomów X.

- Aha, jesteście bliźniakami? Doskonale. Yaoying, opowiedz zwięźle historię waszego życia.

- Po co?

- Czekam.

Powoli, pytanie po pytaniu, Sule wyciągnął od opornego szefa triady coś, co od biedy mogło uchodzić za życiorys. Wojownicy urodzili się na Larrukii, trzeciej planecie Ety Imhotepa. Ich rodzice, Ludmiła i Jan Zaniewscy, mieszkali w maleńkiej osadzie, ukrytej w tamtejszych żywoskałach. Osada liczyła zaledwie trzy rodziny, białą, czarną i żółtą, zaprzyjaźnione i zżyte. Wojownicy, którzy wtedy nazywali się po prostu Oria i Dag, mieli młodsze rodzeństwo - dwoje dzieciaków, zwanych Dubrawka i Zawisza.

- Zawisza? - zainteresował się w tym punkcie Bard Stapleton. - Ciekawe. To oczywiście po Zawiszy Czarnym. Tym, który pokonał w turnieju Jana Aragońskiego i zginął, o ile pamiętam, z rąk Turków.

Odpowiedziały mu puste spojrzenia. Ani Yaoying, ani Niao Ichi nie mieli pojęcia, o kim mowa.

- Skoro wasza rodzina była przywiązana do tradycji etnicznych, czemu wam dwojgu nadano niesłowiańskie imiona? - spytała Aune.

Dag wzruszył ramionami.

- Nigdy się nie zastanawiałem, czy moje imię jest słowiańskie, czy nie.

- Nie jest. Nosisz imię norweskie. Po norwesku „Dag” oznacza „dzień”. Oria to imię hiszpańskie lub włoskie, skrót od imienia Oriana. Pewien starodawny pisarz nazwał tak bohaterkę swojego romansu rycerskiego o Amadisie z Walii. Imię może pochodzić od nazwy włoskiego księstwa Oria, które było później własnością Karola Boromeusza.

- Nadano nam imiona po jakichś znajomych naszych rodziców - wyjaśniła Oria obojętnie.

Bard popatrzył na nią zaintrygowany.

- Wiesz coś o tych znajomych?

- Nigdy ich nie znałam. Już nie żyli, kiedy się urodziliśmy.

Bard zagwizdał cicho. Oczy mu błysnęły.

- No to ja wam powiem. Zbieżność jest zbyt duża, żeby mogła być przypadkowa. Wasi rodzice mieli ciekawe znajomości. Dag Rennberg i Oria Iribarren. Coś wam to mówi?

Yaoying nie zareagował. Oria pokręciła głową, patrząc na Barda nieufnie. Za to wśród załogi stacji jego słowa wywołały pewne poruszenie.

- To ci z grupy Vaixell? - spytał Sule.

- Ci sami. Zginęli w 304 roku, próbując z powodów do dziś nieznanych zniszczyć twierdzę Shennong, warownię Agencji na Prometeuszu 3. Wy urodziliście się rok później.

Dag i Oria wpatrzyli się w niego w milczeniu.

- Vaixell to po katalońsku „okręt”. Założyciel grupy był Katalończykiem. To była garstka zbrojnych kontestatorów, którzy prowadzili dywersję przeciw władzom Sol Wangkuo. O ile można stwierdzić, działali z własnej inicjatywy i nigdy nie zostali zinfiltrowani przez żadną pozasolaryjską agenturę, zresztą grupa istniała za krótko - wyjaśnił Bard. - Agencja rozbiła ich w 306 roku. Niektórym udało się uciec i do dziś dnia ich nie złapano. Wygląda na to, że byli wśród nich wasi rodzice.

- Nonsens. Mogli usłyszeć te imiona gdzie bądź - odparł zimno Dag.

- Vaixell nie miała reklamy w mediach. Praktycznie biorąc, nikt poza Agencją i członkami grupy nie wiedział o śmierci Daga Rennberga i Orii Iribarren.

- A ty skąd znasz te rewelacje?

- Mamy swoje źródła - zaśmiał się Bard.

Oria i Dag nie odpowiedzieli. Jeśli ten samiec mówił prawdę, oznaczało to potencjalne kłopoty. Dzieci i wnuki terrorystów podlegały obowiązkowemu ściganiu i reedukacji.

- W Vaixell było sporo heretyków - rzekł cicho ostatni z członków załogi, ten niepozorny, który dotychczas w ogóle się nie odzywał i nawet sprawiał wrażenie, że nie słucha. - Jaką religię wyznawała wasza rodzina?

Trafione. W ciągu sekundy Dag rozważył i odrzucił możliwość kłamstwa.

- Nasi rodzice wyznawali herezję joszuicką - odparł sucho, obserwując reakcję zespołu Raszda.

Sule, Bard i dziewczyna popatrzyli po sobie zaskoczeni, żółtowołosy wzruszył ramionami, niepozorny lekko się uśmiechnął. Nie padło ani słowo komentarza.

W 314 roku, gdy Oria i Dag mieli po dziewięć lat, do osady dotarła epidemia nuitepo, rozlewająca się falą po planecie. Wszyscy w osadzie zachorowali niemal jednocześnie - i niemal jednocześnie umarli. Ocalały tylko bliźniaki Zaniewskich. Niewielka mutacja w jednym z chromosomów dała im odporność na chorobę.

Od tej pory musieli radzić sobie sami. Z początku mieszkali w żywoskałach, ale gdzieś po miesiącu przyleciały roboty do cięcia skrzydłodrzewców i już nie dało się tam żyć. Wtedy poszli pieszo do miasta, Kirungi. Koczowali na podludzkich śmietnikach, trochę kradli, i tak to trwało przez pół roku. Pewnego dnia przypadkiem zrabowali planetolot należący do lokalnego szefa Triady Trójgłowego Smoka. Złapano ich, ale szefowi triady bardzo się spodobało, że tak sprytnie obeszlą jego obstawę. Zostali wcieleni w szeregi kandydatów, a potem adeptów.

- Dobrze wam tam było? - spytał niepozorny. - Jakie mieliście dzieciństwo?

- No... tong dawał nam jeść. Inwestował w nas. Dach nad głową, ubrania, ciepło,

powietrze... - Oria wzruszyła ramionami. - Zaliczono nas do tych mniej tępych, przyszłych oficerów... więc uczyliśmy się w szkole tongu, a poziom był wysoki.

- Czy stykaliście się z rasizmem?

- Pewnie. Najpierw żadna grupa nas nie chciała, bo byliśmy biali. A potem już sami nie chcieliśmy wejść do żadnej grupy.

- Bili was?

- I to jak. Gdyby nie to, że adeptom pod karą śmierci nie wolno zabijać się nawzajem, dawno by nas wykończyli.

- Kto? - nie zrozumiała Aune.

- Inni adepci, starsi.

- Dlaczego? Przez kolor skóry?

- Nawet nie. Jeśli już, to był pretekst. Bili nas głównie dlatego, że nie okazywaliśmy... jak by to powiedzieć... wystarczającej uległości. Nie chcieliśmy uprawiać seksu ani służyć na dwóch łapkach. Kłanialiśmy się nie dość uniżenie... No i byliśmy sami. Żaden kolektyw nas nie bronił. Łatwy łup dla znudzonych mięśniaków.

- Myślałem, że w triadach posłuszeństwo jest regułą - zauważył Sule.

- Tylko wobec przełożonych. Żaden adept nie musi słuchać drugiego adepta, układy opierają się na czystej sile. Więc nas tłukli, póki nie poszli po rozum do głowy. Ale sporo czasu im to zajęło. Widać daleką mieli drogę.

- Co masz na myśli? - Sule był zaintrygowany.

- Odnosili pyrrusowe zwycięstwa. Oczywiście tak tego nie nazywali, żaden z tych przygłupów nie słyszał przecież o Pyrrusie, ale sens zdołali wreszcie chwycić. Masę pracy trzeba było włożyć, żeby to dotarło do ich tępych mózgów.

- Nie rozumiem.

- Żeby na serio dobrać się do nas, musieli pójść co najmniej w kilku, chociaż byli starsi i silniejsi. Zanim nas zbili, zawsze zdążyliśmy paru nieźle poharatać. My też polowaliśmy na nich i jeśli dopadaliśmy któregoś w pojedynkę, obrywał tak, że paru mało nie zdechło. Nauczyliśmy się napuszczać na naszych wrogów najstarszą grupę albo oficerów. Obrzydaliśmy im życie jeszcze skuteczniej niż oni nam. Ale dopiero kiedy jeden oficer zatłukł wodza najgorszej bandy, reszta zaczęła nas wreszcie omijać. Bardzo szerokim łukiem.

- Ty też biłaś się z chłopakami?

- I z chłopakami, i z dziewczynami. W tamtych czasach byłam cała w bliznach.

- Nigdy się nie poddaliście?

- Nigdy - odparła rzeczowo. - To by nie miało sensu. Zgnoiliby nas.

Sule pokręcił głową.

- Piękne stosunki. A dorosłych nie interesowały wasze wojny?

- Pewnie, że tak. Mieli rozrywkę. Jeszcze nas na siebie szczuli. Ale z wieloma adeptami i paru bandami mieliśmy świetne układy. A potem byliśmy coraz więksi i coraz silniejsi, i coraz rzadziej ktoś nas zaczepiał. Wszystko się wyprostowało.

W wieku osiemnastu lat przeszli inicjację i stali się Wojownikami. Oria skończyła genetykę i biochemię. Skierowano ją do pracy w laboratoriach triady na Nitokris, gdzie produkowano immuny i leki. Dag, wskutek intryg pewnego niechętnego mu oficera, trafił do ośrodka szkoleniowego dla komandosów.

- W jakiej formacji służyłeś? - spytał Bard.

- W Duchach Snu - skłamał Dag, patrząc mu w oczy.

- Ilu ludzi zdążyłeś zabić? - spytał napastliwie żółtowołosy.

- Z zasady nie zabijaliśmy ludzi.

- Podludzi - poprawił Igor ze zniecierpliwieniem. - Ilu podludzi wykończyłeś?

- Nie wiem.

- Straciłeś rachubę?

- Nasze akcje przebiegały bardzo szybko. Nie było czasu na liczenie zwłok.

Igor obrzucił Yaoyinga wzrokiem pełnym głębokiej odrazy.

- Jasne. A co czujesz, kiedy kogoś zabijasz?

- Co czuję? - Dag nie zrozumiał.

- Właśnie.

Dag popatrzył na żółtowołosego zdezorientowany.

- Kiedyś po uderzeniu bolała mnie ręka, ale to się zdarzyło, gdy nie miałem jeszcze wprawy w zadawaniu ciosów.

- Słyszycie?! - powiedział Igor do reszty załogi. Potem znów zwrócił się do Wojownika: - Rozumiem, że teraz już masz wprawę?

- Tak.

- Jakie uczucia cię ogarniają, gdy kogoś zabijasz?

- Uczucia? - Dag znowu nie zrozumiał.

- Radość, litość, gniew, satysfakcja...?

- Nie ogarniają mnie żadne uczucia.

- Żadne?

- Żadne.

- Zupełnie nic nie czujesz?

- Czasem jestem zadowolony z dobrze spełnionego obowiązku - przyznał Dag po chwili zastanowienia.

- Popatrz sobie na niego - warknął Igor do Barda. - No, popatrz! Modelowy okaz psychopaty!

Bard nie odpowiedział.

Odchodząc do oddziałów bojowych, Dag zostawił siostrze reakt, sprzężony z infopolem bazowym, w postaci pierścionka z zielonym oczkiem. Dopóki oczko było zielone, znaczyło to, że Dag żyje. Na szczęście służył jako komandos tylko przez dwa lata. Doznał kontuzji, która nieznacznie, ale trwale upośledziła jego zdolności bojowe. Wtedy przydzielono go na Ziemię. Szybko załatwił siostrze przeniesienie do tej samej jednostki. Został drugim Aranamim, zastępcą Yaoyinga do spraw ekologii.

- Ekologii? - zdumiał się Igor. - Zajmujecie się w triadach ekologią?

- W ich języku - wyjaśnił Bard - oznacza to oczyszczanie środowiska finansowego triady z wpływów konkurencji. To znaczy wypieranie konkurencji z rynków, utracanie jej transakcji i zabijanie każdego, kto mógłby zaszkodzić triadzie.

- Cztery lata temu poprzedni Yaoying Ziemi został zabity w wyniku frakcyjnych wojen w centrali. Wtedy Dag zajął jego stanowisko.

- Czemu akurat ty? - spytał Sule.

- Osiągałem najlepsze wyniki spośród zastępców.

Nic w twarzy i głosie Daga nie zdradzało, że kłamie. Orii również nawet powieka nie drgnęła. No cóż, prawda, jak to prawda, nie nadawała się dla niczyich uszu.

Poprzedni Yaoying, który otrzymał to stanowisko dzięki koneksjom rodzinnym, wołał korzystać ze światowych uciech, pozwalając zastępcom wykonywać całą swoją pracę. Dag miał przy nim święte życie. Choć był zaledwie drugim Aranamim, praktycznie rządził całą domeną; Agencja milcząco zaakceptowała go jako szarą eminencję Migong. Układy na górze zmieniły się jednak, a ówczesny Yaoying nie rozumiał w porę, że wieją już inne wiatry. Po jego egzekucji od razu przysłano z Ken Angrok nowego szefa, klona jednego z Hierarchów.

Oria i Dag szybko odkryli, że Nowy to nie zwykły klon, lecz modyfikant. Powstał wprawdzie za zgodą Urzędu do Spraw Podludzi, Urząd nie miał jednak pojęcia, że specjaliści triady ulepszyli wyjściowy genom. Niczym dobre wróżki nad kołyską, obdarowali klona fenomenalnymi zdolnościami i niesamowitą inteligencją, kasując przy okazji szczątkową uczciwość prototypu. Wróżka, która dałaby mu zdrowy rozsądek, nie została jednak zaproszona. To się musiało zemścić. I rzeczywiście: klon z biegiem lat stawał się coraz bardziej zarozumiały. A jaki próżny! Kazał implantować sobie do mózgu aż trzy

symbiotyczne mikrokomputery. Dag zaniemówił, gdy się o tym dowiedział. On sam nie miał żadnego stałego neurosymbionta. Zanadto się cenił, by uprawiać typowy snobizm wzbogaconego podludzkiego pospółstwa; aminowie gardzili bowiem taką tandetą, żyjąc w stałej telepatycznej łączności jedynie ze swoimi partnerskimi kogiterami. Ale też każdy asura był nie lada indywidualnością, podczas gdy komputer stanowił zaledwie prymitywne narzędzie, preewolucyjną skamielinę infotroniki. Niewiarygodne, ale Nowy - ten fenomen! - nie dbał o opinie i obyczaje kast wyższych. Nieco zbyt pochopnie uznał, że może sam dla siebie stanowić prawa.

Jako podludzki modyfikant, Nowy w ogóle nie miał prawa żyć. Zgodnie z przepisami, Urząd do Spraw Podludzi karał śmiercią nie tylko modyfikantów, ale i tych, którzy przeprowadzili modyfikację. Dag nie poszedł jednak po linii najmniejszego oporu i nie doniósł władzom. Byłoby to zbyt ryzykowne, a możliwe, że i nieskuteczne, bo ręce triady sięgały daleko. Zamiast tego wykorzystał okazję, gdy Nowy udał się z pierwszą wizytą do siedziby Agencji. Za pośrednictwem agencyjnego neurikomu Dag wywołał wtedy u niego zdalnie sterowany błyskawiczny zawał serca, tak rozległy, że śmierć nastąpiła natychmiast. Agencja nie kiwnęła palcem, by ratować kontrahenta; Nowy nie został zresztą powitany z entuzjazmem. Od początku nie taił, że zamierza przyjąć kurs agresywniejszy i bardziej legalistyczny od praktyk swego poprzednika.

Przyczyna nagłej śmierci Nowego do tej pory pozostawała nieznana. Centrala podejrzewała Agencję, choć Vikman przez grzeczność kazała odtransportować zwłoki do Migong zamiast wrzucić do najbliższego utylizatora. I tak oto skończyła się kariera jednego z najlepszych genoproduktów tongu.

Nominację dostał Dag. Wcale nie dzięki swoim oczywistym zdolnościom. Zdolnych młodych podludzi produkowano na Ken Angrok masowo. Jednak po egzekucji pierwszego Yaoyinga Ziemi na Ken Angrok rozeszła się wieść, że funkcja ta została po trzykroć przeklęta. Gdy Nowy zmarł nagle, żaden oficcerski potomek nie kwapił się, by objąć ją jako trzeci. Tylko dlatego zaszczyt przypadł Dagowi.

- Kim właściwie jest Yaoying? Co to za ranga? - zapytał Sule.

- Yaoying to Jastrząb, Mistrz Trzech Lóz.

- Daruj sobie symbolikę. Jaki obszar ci podlega?

- Układ Słoneczny Ziemi.

Sule zagwizdał.

- No, no. Więc jesteś grubą rybą. Skoro tak świetnie wam się wiodło, czemu porzuciliście triadę?



Na moment zapadło milczenie. Wytatuowana twarz Daga nie zmieniła wyrazu, nawet jego ciało nie zdradziło żadnej reakcji emocjonalnej. Oria nie była tak opanowana. Jej oczy rozszerzyły się nagle i natychmiast zwężyły. Cała zastygła w napięciu.

- Nie rozumiem - rzekł Dag chłodno.

- Nie rozumiesz? Pytałem, czemu uciekliście z Migong.

- Nie uciekliśmy. Wybraliśmy się poza bazę w naszych własnych sprawach.

Sule westchnął i odchylił się w fotelu.

- Otrzymałeś wiadomość, po której Niao Ichi była tak zdenerwowana, że ręce jej się trzęsły, gdy zbierała i chowała łożyski krwawnika. Następnego dnia rano wylecieliście w kosmos tylko we dwoje, bez obstawy, zabierając dwadzieścia pięć tysięcy czerwonońców w gotówce. Nie mogliście jawnie zgromadzić takiej kwoty. Jak dobrze wiecie, Wojownikom wolno trzymać pieniądze wyłącznie na kontach tongu. Z tego wynika, że planowaliście ucieczkę już od dawna. Po odnalezieniu wraku mojego statku wziąłeś go na hol i wprowadziłeś koordynaty do teleportacji na hol i wprowadziłeś koordynaty teleportacji do na RKL 54 009. - Czyli na Planetę Hamilkar w Małym Obłoku. Wszystko to wygląda zupełnie jednoznacznie. Porzuciliście tong na zawsze.

- Bzdura - stwierdził Dag, niewzruszony. - Mam interesy na Hamilkarze.

Sule przyjrzał się Dagowi spod ciężkich powiek.

- Doskonale, ty krętaczu. Skoro tak, Zapewne się ucieszysz, jeśli za dwie godziny traficie na orbitę Ken Angrok?

- Ken Angrok? - wycedził Dag. - A co ty możesz wiedzieć o Ken Angrok?

- To planeta, gdzie rezydują władze triady. Zanim twoi bandyci podali Delfi i mnie środek nasenny, Zunyere zdażyła mi powiedzieć, że dostałeś awans i wybierasz się do centrali.

- Tak, dostałem awans. Właśnie dlatego te insynuacje nie mają sensu.

- Doprawdy? - powiedział Sule z zadumą. - A zatem zgadzasz się wrócić do przełożonych. To im, nie mnie, wolisz opowiedzieć, jakie masz interesy w Obłoku i jak potajemnie zgromadziłeś wielki majątek.

Srebrne oczy Daga przez moment załśniły nieskrywaną, gwałtowną wrogością.

- Nie ukradłem triadzie ani grosza. Miałem własny biznes. A ciebie tong przerobi na mięso mielone. Nikt nie wyłudzi pieniędzy od Trójgłowego Smoka.

Sule pokręcił głową.

- Źle mnie zrozumiałeś. Nie chcę was sprzedać. Przywiozłem was tutaj, bo byłem przekonany, że porzuciliście tong. Ale nie zamierzam zawracać sobie głowy nieustannym

pilnowaniem dwojga ludzi, którzy o niczym innym nie marzą, tylko żeby stąd uciec. Jeśli się myliłem i chcecie lecieć na Ken Angrok, traficie tam, gdy tylko usuniemy wam z pamięci pobyt na Sanyasinie. To znaczy za kilka godzin. A więc?

- Zrobisz, co zechcesz - odparł Dag zimno.

Zmierzyli się wzrokiem.

Oria poczuła chłód. Dag nie ustąpi. Stawiał na to, że Medyczyk blefuje. Skoro ich porwał, nie pozbędzie się ich pod byle pretekstem. Do czegoś mu byli potrzebni.

Ale... jeśli Sule mówi prawdę?

Zaczerpnęła tchu.

- No więc dobrze. Jesteśmy dezertkami! To cię urządza?

Sule miał nieprzeniknioną twarz.

- Dlaczego zdecydowaliście się na dezercję?

- Dag dostał awans do Wysokiej Hierarchii. To wymaga specjalnej inicjacji. Przypadkiem wiemy, że podczas tej inicjacji kandydat musi zabić najbliższą sobie dotychczas osobę. To znaczy mnie.

Suleyowi szczęka opadła. Oria pierwszy raz ujrzała go zbitego z tropu.

- Bard, istnieją takie zwyczaje?

Zapytany skinął głową.

- Jak najbardziej.

- Ale to jakiś koszmarny absurd! - zaprotestowała jasnowłosa dziewczyna. - Czemu by to miało służyć?

- W ten sposób eliminuje się źródła słabości - wyjaśniła rzeczowo Oria. - Poza tym z zasady coś trzeba poświęcić, żeby coś zyskać. To przecież Aksjomat. A triada powinna być dla Hierarchy ojcem, matką i rodzinnym stadem.

- Choć w praktyce jest ojczymem, macochą i stadem wilków - zaśmiał się Bard.

Dag milczał.

Był głęboko zaniepokojony. Po raz pierwszy w życiu nie rozumiał własnej bliźniaczki. Co gorsza, zupełnie nie umiał przewidzieć jej reakcji, ilekroć w grę wchodził ten przeklęty Medyczyk. Niemożliwe, żeby zakochała się w nim jakąś cielecą pierwszą miłością. Nie w jej wieku przecież. I nie Oria, która uważała seks za nieestetyczne podrygi, a mężczyzn za mało ciekawy rodzaj zwierząt. Więc co jej się stało? Raszd nie mógł rzucić na nią uroku, miała zbyt dobry alarm telepatyczny. Jak zatem wytłumaczyć, że dostrzegła w tym zwalistym małpoludzie „regularne rysy”, „rzymski profil” i Świetlisty jeden wie, co jeszcze?

Popatrzył na Raszda. Profil jak profil, rysy jak rysy; czym tu się do cholery

zachwycać? Jak Oria mogła tak głupio stracić głowę?

Sule był zaintrygowany.

- Czemu Obłok? Wszyscy zwykle uciekają do Sundhainarf.

- W Sundhainarf jest za dużo przedstawicielstw handlowych różnych tongów i aż się roi od szpiegów Agencji.

- Dlaczego nie Meda?

- Meda kieruje imigrantów tylko na jedną ze swoich skrajnych planet, Medrahin. Potrzebują taniej siły roboczej do pracy w kopalniach i geokonstruktach. Żadna atrakcja.

- A Koreil? Korelczycy także przyjmują uchodźców solaryjskich.

- Wiem. Ale krążą różne pogłoski... Podobno Korelczycy prowadzą na uchodźcach eksperymenty.

- Naprawdę? - w oczach Suleya błysnęło nieoczekiwanie żywe zainteresowanie. - Co to za eksperymenty?

- Nie wiadomo. Segregują uchodźców wedle jakichś nieznanych kryteriów i wysyłają część z nich na planetę o współrzędnych ODF 11 895. Nikt nie odkrył, co się tam dzieje.

Bard i dziewczyna spojrzeli na Orię z nagłą uwagą. Żółtowołosy i niepozorny nie zareagowali wcale.

- Nie słyszałem o tym - rzekł Sule. - Skąd wiesz?

- Wszyscy wiedzą.

- Nie sądzę... - Sule utkwiał baczny wzrok w wielkich, szarych oczach Orii.

- W każdym razie wszyscy w Agencji - powiedział Dag chłodno. - A skoro w Agencji, to i w tongach. Być może wieści nie dotarły jeszcze na Chotał-Ekwa.

- Być może - odparł Sule powoli. - Widzę, że solidnie przygotowaliście się do ucieczki. Od dawna wiedzieliście o awansie?

- Liczyliśmy się z tym od czterech lat.

I szkoda, że nie uciekliśmy wcześniej, dorzuciła Oria w myśli. Ona sama zmarnowała w tongu najlepsze lata, wiodąc życie jałowe i pozbawione radości, w ciągłym lęku. A Dag z biegiem czasu coraz bardziej upodabniał się do swoich własnych myślących maszyn, z tą tylko różnicą, że był od nich nieporównanie bardziej agresywny. Kiedyś miał inne usposobienie, pogodniejsze, pełne nonszalancji i dystansu do świata. Triada na szczęście nie zdołała wypalić go emocjonalnie, bo jeszcze zanim trafił do ośrodka w Orqo Cilay, nauczył się rygorystycznego panowania nad uczuciami, do tego stopnia, że wygaszał je i włączał jak światło, na zawołanie. Ale zmienił się, i to na gorsze. Odkąd wrócił z komandosów, zaczął demonstrować zimną, morderczą siłę. Oria wiedziała, że budził lęk w innych Wojownikach.

Kto wie, może za kilka lat sama zaczęłyby się go bać.

- Jeśli o mnie chodzi, nie mam więcej pytań - powiedział Sule i spojrzał na swoją załogę. - A wy?

Igor przyjrzał się Dagowi zwięzonymi oczami. - Czy umiałbyś poderznąć gardło związanemu podczłowiekowi?

Dag i tym razem go nie zrozumiał.

- A co w tym trudnego?

- Jadłeś kiedyś podludzkie mięso?

- Serca i żołądki. Niektóre rytuały tego wymagają.

Igor skrzywił się, jasnowłosa zmarszczyła brwi.

Nawet Bard odwrócił wzrok.

- Czegoś tu nie rozumiem - rzekł Sule. - Podludzie to podobno zwierzęta, a w Sol Wangkuo nie wolno przecież jadać zwierząt. Jun, co ty na to?

- Istnieje różnica teologiczna - wyjaśnił niepozorny cichym głosem. - Według doktryny manichejskiej zwierzęta powstały z materii wymieszanej z okruciami Światłości. Dlatego ktoś, kto zjada zwierzę, rani Światłość. Ale podludzie to twór Króla Ciemności, jego wyłączne dzieło, bluźnierstwo przeciw Duchowi. Materia ich ciał jako taka nie zawiera ani odrobiny dobra, więc nie ma przeszkód, by ją zjadać. Nie jest to zalecane, ale nie jest też zakazane. To po prostu moralnie obojętne.

Igor, którego nie obchodziła teologia, zniecierpliwiony postukał palcami w stół, patrząc na Daga ponuro.

- I co? Smakowało ci?

- Mięso jak mięso - wzruszył ramionami Yaoying. - Optycznie i biochemicznie nie różni się od zwierzęcego. Wolorów smakowych nie oceniałem.

- Jasne. A gdyby triada kazała ci zabić i zjeść najlepszego kumpla? Zrobiłbyś to?

Prawidłowa odpowiedź brzmiała: „Oczywiście!”. Ale wyglądało na to, że ci Medycyzycy preferują odpowiedzi nieprawidłowe. Dag zdecydował się na unik.

- Nie mam kumpli.

- Głupie pytanie, Igor - parsknął Bard. - Przecież nie zabił i nie zjadł swojej siostry. Wolał na zawsze zdezerterować z tongu.

- I tym optymistycznym akcentem... - mruknął Medyczyk.

Wstał i odsunął wiklinowy fotel.

- Jutro rano dowiecie się, czy pozwolę wam poruszać się po stacji. Teraz wróćcie do swojej kabiny, a komputer zablokuje drzwi.

## Rozdział XIII

Wieczorem, gdy Igor w dyspozytorni zajął się oglądaniem parvití na ekranie widokowym, Sule, Aune i Bard poszli do kabiny Juna.

Kabina była równie mała jak wszystkie inne, lecz jeszcze ciasniejsza, bo niemal całą wolną przestrzeń zajmowało płótno, na którym z dnia na dzień powstawał zarys holobrazu. Jun pracował nad nim codziennie, ale na razie trudno się było zorientować, co wyłoni się z trójwymiarowego chaosu kształtów.

Gdy weszli, czajnik akurat się wyłączył.

- Kawa, herbata czy thoilg? - zapytał Jun.

Sule, Aune i Bard popatrzyli po sobie, zaskoczeni.

- Niesłychane. Nie wiedziałem, że ty znasz takie słowa! - zdumiał się Bard.

Każdy, kto wtargnął do Junowej samotni, by przeszkadzać w dziele twórczym, był z reguły traktowany ozięble, jeśli nie opryskliwie. A tym razem, proszę - artysta nastawił wodę! Posprzątał! Znikły tubki farb, szkicowniki, palety, pędzle, wyplamione kolorami papierzyska... Widać ogromnie mu zależało na przeforsowaniu swojego planu.

Wszyscy wybrali thoilg. Nalali sobie po czarce parującego, zielonkawego naparu z suszonych owoców medyjskiej rośliny. Jun siadł na taborecie obok Aune.

- Wiesz, po co przyszliśmy - zaczął Sule, sadowiąc się koło Barda na starannie posłanym tapczanie. Bard rozwalił się wygodnie, wsparty o poduszki. Krzesel u Juna nie było; nie mieściły się w ciasnej klitce.

- Chcecie pomówić o Wojownikach.

- Ciekawi nas, co ty w nich widzisz. Bandytów, morderców i kanibali jest w Sol Wangkuo na pęczki, ale dotychczas nie zapraszałeś ich na stację.

Jun bez pośpiechu nalał sobie thoilgu.

- Dag Zaniewski, Yaoying, to moim zdaniem najwybitniejszy umysł w Układzie Słonecznym Ziemi i przypuszczalnie jeden z najlepszych w Sol Wangkuo. Jest geniuszem w zakresie matematyki i infotroniki.

Przeczekał chwilę zdumionej ciszy. Potem dodał tonem refleksji:

- Zresztą słowo: „geniusz” nie jest tu adekwatne. Stało się zbyt pospolite. Za często bywa stosowane do ludzi, którzy nie odkryli nic naprawdę nowego.

No jasne, pomyślał Sule. Zaczynają się zwykłe gierki. On coś wie, ale nie powie.

Będzie dawał do zrozumienia, mgliście i aluzjami. A my będziemy krążyć wokół sedna sprawy, szukając na chybił trafił i zgadując: ciepło, zimno, coraz cieplej...?

- Aluzja do Igora? - spytał. - Czy może nasz niepospolity Yaoying dokonał odkrycia, które wstrząśnie Galaktyką?

- To była po prostu luźna uwaga - odparł Jun. Która może coś znaczyć, ale nie musi. Sule, Aune i Bard znowu na siebie spojrzeli. Tym razem z rezygnacją.

- Czy Yaoying należy do Netu Dżarih? - zapytał Bard.

- Nie. Zawsze trzymał się od nich z daleka.

- Netu Dżarih? - Sule odruchowo przełożył to sobie na medyjski. - „Drapieżne ptaki sieci”? Aha, rozumiem, hakerzy?

- Mhm. Wszyscy oczywiście pracują dla triad, z chęci zysku albo pod przymusem. Nigdy nie słyszałem o kogiterowym włamywaczu, który by działał przez dłuższy czas na własną rękę.

- Więc triady penetrują sieć kogiterów? Podobno grozi za to kara śmierci.

- Naprawdę nie wiesz, Sule? - zdziwił się Bard. - Pewnie, że penetrują. Do tego właśnie służą Netu Dżarih. Oni z pozoru są zupełnie samodzielni, utrzymują z tongiem kontakt wyłącznie poprzez oficerów prowadzących. Prędzej czy później każdy wpada. Na ogół prędzej niż później. Zabezpieczenia, telepatory, clarivery, tajne programy w gao-yeyán... Wtedy Wędrowiec i oficer prowadzący giną na pokazowej egzekucji, a tong umywa ręce i zatyka gębę właściwym urzędem.

- W jaki sposób?

- Zwyczajnie. Wrzucając czerwonce w rozdziawione dyrektorskie paszcze.

- Mówisz wyłącznie o systemie kogiterów. Czy Netu Dżarih próbują włamywać się również do neurikomów? O ile mi wiadomo, nauka solaryjska i nauka medyjska wciąż uważają to za niewykonalne.

- Zgadza się. Od lat nie słyszałem, żeby ktoś tego próbował. Chyba że w celach samobójczych. Neurikom potrafi wykryć i zlokalizować nawet samą myśl o włamaniu. Umie przewidzieć próbę ingerencji z dużą dokładnością czasową. Pamiętaj, że to byty quasi-demoniczne.

Sule zadumał się. Jego ciężkie powieki opadły, prawie zakrywając oczy.

- Rozumiem - powiedział wreszcie. - Są ludzie, którzy lepiej niż my rozstrzygną, czy Yaoying nadaje się do wykorzystania. Póki co, wypuszczenie go z rąk rzeczywiście byłoby błędem. To jednak nie tłumaczy twojego dzisiejszego pomysłu. Dlaczego tak się upierasz, żeby pozwolić im swobodnie poruszać się po stacji?

Jun siedział z opuszczoną głową, obserwując, jak para unosi się znad czarnej thoilgu. Aune zerknęła na niego ukradkiem. Zawsze ją urzekały jego długie, gęste rzęsy. W kabinie paliła się wyłącznie górna lampka i teraz, gdy Jun patrzył w dół, rzęsy rzucały mu na policzki głębokie cienie w kształcie półksiężyców. Oczy Juna wyglądały jak szczeliny wypełnione mrokiem.

- Ja wiem, co mówię, Sule.

- Kolejne z twoich przeczuć?

- Tak.

- Jun, błagam, ogranicz ilość przeczuć do jakiejś rozsądnej stawki miesięcznej. Na razie twoje poprzednie przecucie sprzed zaledwie dwóch tygodni nie zdążyło się jeszcze sprawdzić.

- O czym mówisz?

- Dałeś mi twój poświęcony amulet, który miał mnie przed czymś uratować - przypomniał Sule cierpliwie.

Jun podniósł oczy i spojrzał wprost na niego.

- I uratował cię - powiedział cicho.

- Przed czym?

- Przed wywiezieniem na Ken Angrok, do centrali triady. Mielibyśmy duży problem, żeby cię stamtąd wyciągnąć.

Sule zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

- Niao Ichi jest genetykiem, i to znakomitym. Oni oboje od początku wiedzieli, że pochodzisz z Medy. Zachowali to dla siebie tylko dlatego, że zobaczyli twój medalik. Udawali, że wierzą w legendę Suleymana Raszda z Chotał-Ekwa, bo inaczej musieliby przekazać cię do centrali. Zapadła chwila milczenia.

- To znaczy, że chronili mnie celowo przez sentyment dla wiary swoich rodziców?

- Nie przez sentyment - pokręcił głową Jun. - Oni nie są sentymentalni i nie mają wysokiej opinii o chrześcijaństwie ani o żadnej innej religii. Chronili cię przez lojalność. Ryzykowali niewiele, a w zamian zyskali satysfakcję, że robią gest szacunku wobec swoich zmarłych. Nadal są lojalni wobec nich, chociaż spędzili życie w triadzie, a zresztą może właśnie dlatego. Triady bardzo popierają kult przodków.

Bard ze stuknięciem odstawił czarę na stół.

- Wszystko pięknie, ale jeśli puścimy ich luzem po stacji, jaką mamy gwarancję, że nas nie zabiją? Jestem, hm, dość przywiązany do mojego serca, o żołądku nie wspominając.

- Ja wam daję gwarancję.

- A jeśli się mylisz? - spytała Aune. - Znam takie typy, znam ten zimny zbójcki wzrok. Są całkowicie bezwzględni.

Jun przyjrzał się jej chłodno.

- Które z nas jest mentatem grupy? Ja czy ty?

- Ty, ale...

- Czy kiedykolwiek się pomyliłem?

Brwi Aune pomknęły w górę.

- Ciekawe pytanie.

- Nie mówimy teraz o... innych sprawach. Czy choć raz pomyliłem się jako jasnowidz?

- Zawsze kiedyś jest pierwszy raz. Jasnowidze też popełniają błędy.

- Ja - rzekł Jun sucho - tym właśnie różnię się od zwykłego jasnowidza, że nie popełniam błędów. Niestety zdaje się, że powinienem przybrać imię Kasander. Nigdy się nie mylę, a jednak nikt mi nie wierzy.

- Ja ci wierzę - zapewnił pospiesznie Bard, rzucając siostrze spojrzenie pełne wyrzutu.

Aune nie mogła zmienić żadnej świadomej decyzji Juna, ale nad wahaniem jego humoru miała władzę równie potężną, jak księżyc nad pływaniami oceanu. A gdy Jun wpadał w nastrój uzalania się nad samym sobą, obrażał się na cały świat i stawał się wyjątkowo trudny w kontaktach.

- Nie mam ochoty mieszkać na jednej stacji z bandytami - oświadczyła Aune.

- Jesteś chrześcijanką. Pan Jezus przyjął pewnego zbója do Królestwa Niebieskiego, więc ty możesz przyjąć dwoje zbójów do towarzystwa.

Sule przymknęła oczy. Typowy argument w stylu Juna. I jak z nim polemizować?

- Zbójów było dwóch - powiedziała Aune spokojnie. - Łotr po prawicy i łotr po lewicy. Nie wiem, do którego gatunku należą Yaoying i Niao Ichi, ale to, co dziś widziałam, niezbyt mi się podoba.

- Bo widziałaś powierzchwnie. Wyuczzone zachowania, maniery, swoistą etykietę, a nie autentycznych ludzi. Ich prawdziwa wartość jest ukryta.

Oczy Barda błysnęły.

- To całkiem jak w tym poemacie ibn Duponta...

- Nie! - zawołali jednocześnie Aune i Sule.

- „Samotny biały pulsar”. To o gwiazdzie, co świeci jasno, ale nikt tego nie dostrzega, bo zewsząd otacza ją mgławica ciemnej materii. Pamiętacie początek?

Zadeklamował z uczuciem:



*W tumanach mrocznego pyłu  
W czarnych i pustych bezmiarach  
Coś ciemną chmurą się wzbilo  
W skrajnym sektorze Altaira  
I gęstym rojem zakryło  
Blask, co utaił się na wieki!*

Popatrzył na Juna, unosząc brwi.

- To miałeś na myśli?

- Dokładnie. Sam bym tego lepiej nie ujął - zapewnił uprzejmie Jun.

- A zakończenie jest świetne, posłuchajcie... - zapalił się Bard.

- Wystarczy - jęknęła Aune. - Zmiłuj się, przestań!

- Zakończenie - zamruczał Sule - to ja potrafię sam sobie dośpiewać. Te tumany i puste bezmiary to oczywiście metafora umysłu Duponta. A poemat kończy się tak: „W ciemnościach coś cicho zawyło. Cóż to, ach, cóż to było? Czytelnik, co wreszcie oszalał”.

Kassim ibn Dupont, twórca eksperymentalny, przodujący w awangardzie postępu, pisywał poematy złożone z sześciowerszy, w których rymowały się wszystkie linijki z wyjątkiem ostatniej. Słuchanie jego poezji przypominało rytmiczne kołysanie się w miłym, kojącym bezsensie, zakończone nagłym szarpnięciem za żywy mózg. Normalny człowiek tego nie wytrzymał; gdzieś w okolicach trzeciej zwrotki można już było tylko zatkać uszy albo zacząć walić głową o ścianę. Za to Bard delectował się tymi, jak to nazywał, perłami surrealizmu, w których słowo: „daleki” zawsze musiało rymować się z „parseki”.

- Oryginalne zakończenie jest lepsze. Znakomity kawałek, nawet jak na mistrza Duponta. Ale jak nie chcecie, to nie. Wasza strata. Wracajmy do Wojowników. Pozwól, Jun, że zapytam wprost: co ty knujesz? Dlaczego tak ci zależy, żeby nas narazić na atak dwojga morderców i zbrojeńców?

- Niao Ichi nie ma na sumieniu ani jednego ludzkiego życia - odparł cicho Jun. - Żadne z nich nie jest omniseksem ani nawet biseksem. Yaoyinga interesują wyłącznie kobiety i postępuje z nimi w normalny sposób.

- Ach, tak? - powiedziała Aune słodko. - W ferworze podziwu dla wielkiego geniusza chyba umknęło to twojej uwadze, ale tak się składa, że ja jestem kobietą.

Jun pokręcił głową.

- Oboje z Bardem naoglądaliście się kiepskiego wirtu. Yaoying w niczym ci nie zagraża. Nawet neandertalczyk nie rzuca się od razu na wszystko, co się rusza w okolicy.

- Wszystko, co się rusza w okolicy... - Aune posłała mu długie spojrzenie spod podwiniętych rzęs. - Co za subtelny komplement! Już dawno nikt nie określił mojej osoby w sposób równie wyszukany!

Sule, który tymczasem zastanawiał się w milczeniu, wstał i dolał sobie thoilgu.

- Dobrze. Jaki masz w tym cel?

Zmiana jego tonu była ledwo wyczuwalna. A jednak wszyscy spoważnieli, a Jun odparł:

- To mogę wyjaśnić. Chodzi o nasze życie.

Czarka, którą Sule podnosił do ust, zatrzymała się nagle.

- To znaczy?

- Ich życie jest... w pewien sposób... związane z naszym - powiedział Jun wolno, dobierając słowa z wyraźnym namysłem. - To wielopłaszczyznowy związek. Ogromnie istotny.

Bard potarł podbródek.

- Więc co? Mamy się z nimi zintegrować?

- Tak.

- Serio? I wyciągnąć do nich ramiona?

- Właśnie o to mi chodzi.

Sule patrzył na Juna uważnie. Potem podniósł czarkę do ust i upił długi łyk.

- Dobrze - rzekł, gdy odstawił ją na stół. - Zgadzam się na twoją propozycję.

Zamilkli wszyscy.

Po dłuższej chwili odezwała się Aune.

- Igor - powiedziała fatalistycznie - uzna, że został jedynym zdrowym na umyśle człowiekiem w odciętej od świata bazie, której załoga nagle zwariowała.

- Pod wpływem straszliwego Przybysza z Kosmosu, dybiącego na całą solaryjską cywilizację. Też widziałem ten film - podchwycił z miejsca Bard. Spojrzał na Juna, zmrużył oczy. - I wiecie co? Tak bardzo się Igor nie pomyli...

\*

Igor rzeczywiście nie wyraził zachwyty. Gdy Sule oznajmił mu nowinę rankiem następnego dnia, de Courcy poczerwieniał krwiście, jakby miał zaraz dostać apopleksji.

- Chcesz... chcesz im pozwolić chodzić po stacji?!

- Wprowadzimy zabezpieczenia. Będą pod stałą kontrolą komputera. Do niektórych pomieszczeń, jak wczoraj ustaliliśmy, nie mogą mieć dostępu. Zajmiesz się tym.

- Ja?!

- Jesteś infotronikiem grupy.

- Może jeszcze mam im podawać śniadanie do łóżka?!

- Nie. Chwilowo postaraj się tylko bardziej panować nad sobą. Nie wolno ich prowokować.

- Ciekawe, co powiesz, kiedy nas wszystkich wymordują!

Bard zaśmiał się.

- Wtedy, bujając się na chmurce i poprawiając przekrzywioną aureolę, Sule na pewno przyzna ci rację.

Sule trzepnął go w kark.

- Jeśli po śmierci dostanę aureolę, to za słuchanie twoich dowcipów.

- Wiesz, jakoś cię nie widzę z harfą i skrzydełkami, wielkoludzie. No i nie wiem, jaka chmurka wytrzyma twój ciężar. Sule, nie chcę cię martwić, ale masz kiepskie perspektywy!

- Pomyśl lepiej o własnych. To ty zaraz pójdziesz po Wojowników.

Stapleton wrócił z Zaniewskimi po dwóch minutach. Stół w jadalni był już zastawiony; dwa miejsca czekały na Orię i Daga.

Sule wyjaśnił im krótko zasady ich pobytu na stacji. Słuchali go nastroszeni, niedowierzający.

- Nasza grupa pracuje dla wywiadu medycznego. Co konkretnie robimy, nie musi was obchodzić. Opuścimy Sanyasin za mniej więcej dwa tygodnie. Zabierzemy was wtedy na Medę.

- Po co? - spytał Dag podejrzliwie.

- Moi mocodawcy są zainteresowani informacjami o Triadzie Trójgłowego Smoka, a ty dużo wiesz. Zrobimy ci mentoskopię. Potem będziecie wolni i polecicie, dokąd zechcecie, bo oddamy wam kosmolot. No, Jun, pora zaczynać.

Jun odmówił krótką, jednozdaniową modlitwę i przeżegnał się. Dopiero wtedy wszyscy zabrali się za jedzenie.

- Do jakiego odłamu Prawdziwej Religii należycie? - zagadnęła Oria.

- Nie mamy w ogóle nic wspólnego z tym, co w Sol Wangkuo nazywa się Prawdziwą Religią - odparł Sule, hojnie smarując chleb masłem. - Ja jestem Medycykiem i wyznaję główną wiarę medyczną, raurirame. Moja załoga to solaryjscy katolicy. To znaczy joszuici.

Oboje Wojownicy spojrzeli na Suleya zaskoczeni.

- I mówisz o tym tak otwarcie? - wyrwało się Orii.

- Jesteśmy u siebie. Wy też powinniście czuć się jak w domu. Wasi rodzice byli joszuiciami.

- Nasi rodzice tak, ale my nie.

- Jesteście synkretystami? - zagadnął Sule.

Zawsze go intrygowało, jak można akceptować tak niespójny system wierzeń.

- Nie. Uważamy się za agnostyków. No, może za teistów. Zastanawialiśmy się nad ateizmem, ale doszliśmy do wniosku, że świat jest o wiele zbyt złożony, by mógł powstać sam. To racja, że „nawet najmniejsze ziarnko piasku bierze skądś swój początek i przyczynę”.

- Jak nauczał niejaki Rogelio Ochoa Velarde, który następnie uznał się za awatar, przyjął imię Tien Ta Hsien i zawodowo zajął się głoszeniem takich właśnie wstrząsających banałów - uzupełnił Bard, bo Sule miał minę, jakby pierwszy raz w życiu słyszał ten słynny cytat z Niebiańskiej Księgi. - Umarł trzysta lat temu, ale jego złote myśli są jak Lenin, wiecznie żywe.

Oczy Orii rozszerzyły się. Co za niesłychane bluźnierstwa!

- Czy próbujecie nas siłą nawracać? - spytała. - Podobno wy, jосуici, macie zwyczaj przemocą zmuszać innowierców do przyjęcia waszej religii, a jeśli się opierają, palicie ich na stosie.

Bard parsknął śmiechem.

- W takim razie musielibyśmy zacząć od Suleya.

- Jesteś pewien? - spytał Sule, lekką ręką dokładając sobie sandacza. - Wydaje mi się, że na stosach palono wyłącznie heretyków, a z waszego punktu widzenia ja nie jestem heretykiem, tylko poganinem.

- No, nie wiem, czy to polepsza twoją sytuację, Aune, co nasi przodkowie robili z poganami?

- Wysyłali do nich misjonarzy. Jedźcie, proszę - Aune zwróciła się do Wojowników. - Macie na coś alergię?

Letalne alergię były wśród podludzi główną przyczyną śmiertelności, pospolitszą nawet niż skażenia i głód.

- Jesteśmy uczuleni tylko na niektóre konserwanty - odparła Oria, patrząc na jedzenie nieufnie. Od tylu lat przyzwyczała się sprawdzać wykrywaczem każdy kęs pokarmu, że bez dopełnienia tego rytuału czuła się niepewnie, choć przecież wiedziała, że ci obcy podludzie nie marnowałyby na nich trucizny, mogąc ich zabić lub oszołomić w dużo prostszy sposób... jak im się przynajmniej wydawało.

Bard uśmiechnął się do pochmurnej Niao Ichi.

- Sam przyrządzałem tę surówkę, której się tak krytycznie przyglądasz. Ręczę, że jest jadalna. A właśnie - zwrócił się do reszty załogi - wyobraźcie sobie, że ten robot kuchenny,

którego Rietu nam wcisnęła jako ostatni krzyk mody, zaczął dzisiaj ze mną dyskutować! Powiedział, że nie ma w przetwarzaczu nic, co by choć trochę przypominało fagrijską rzepę!

- Widocznie nie miał.

- Miał! - oznajmił Bard z tryumfem. - Miał białą rzodkiew!

- Jeśli dla ciebie biała rzodkiew jest podobna do fagrijskiej rzepy, to zostaje tylko mieć nadzieję, że przy następnym dyżurze nie doprawisz nam surówki olejem rycynowym. Jest tak podobny do jadalnego...

Bard posłał Aune wyniosłe spojrzenie.

- I kto to mówi! Osoba, która w swoim czasie podała na obiad surową fasolę, bo była przekonana, że fasola z natury swej pęcznieje, gdy polać ją sosem!

- To nie fair! Miałam wtedy dwanaście lat!

- A pamiętasz, jak robiłaś tort owocowy? To już było parę lat później, prawda? Nawet sporo później. Dodałaś wszystko oprócz mąki.

- Och, to też było dawno - zbyła go Aune z nonszalancją. - Potem zajadałeś się moimi ciastami. I przypominam, że ostatnio, gdy zrobiłam przyjęcie, głośno się przechwalałeś, że to ty mnie uczyłeś gotować.

- A co, nie ja?

- To mama mnie uczyła! - prychnęła Aune. - A ty przed każdym posiłkiem demonstracyjnie łykałeś pigułki na niestrawność! Twierdziłeś, że nigdy nie zdołam trafić przez żołądek do serca mężczyzny, bo moje potrawy, ledwo dotrą do żołądka, już się rwą, żeby odbywać drogę z powrotem!

- Małe toto, a jakie pamiętliwe - Bard pokręcił głową ze zdumieniem. - Powinnaś być mi wdzięczna. Moje taktowne uwagi dobrze ci zrobiły, bo teraz już gotujesz pierwszorzędnie. Twój mąż, kimkolwiek będzie ten nieborak, nie znajdzie przynajmniej powodu do narzekań na twoją kuchnię.

- Mój przyszły mąż - oświadczyła Aune z godnością - nie będzie żadnym nieborakiem, tylko wyjątkowo szczęśliwym człowiekiem.

Oria, śledząca te przekomarzania, zauważyła, że wbrew swym dumnym słowom Aune spuściła oczy. Sule i Bard uśmiechali się do niej, Dag i Igor jedli obojętnie, a Jun... Jun popatrzył na Aune dziwnym wzrokiem.

Oria nie umiała rozszyfrować jego wyrazu twarzy.

## Rozdział XIV

Gwiazda Cuniraya była żółtym olbrzymem, odległym od Ziemi o blisko sto lat świetlnych. Obiegały ją trzy planety. Dwie bliższe były zaledwie okruchami skalnymi, zimnymi, martwymi i pozbawionymi atmosfery. Najdalsza planeta, Patni, miała rozmiary dwukrotnie większe od Jowisza. Niewiele wiedziano o jej gazowym, kipiącym wnętrzu. Była niestabilna pod prawie każdym względem i pełna dziwnych anomalii, do tego stopnia niepojętych, że niektórzy uczeni podejrzewali w jej jądrze obecność nieznanymi istot rozumnych. Nie udało się dotąd skonstruować zwiadowcy, który zdołałby nadać informacje z głębin Patni; z nieznanymi przyczyn ustawała tam wszelka łączność. W górnych warstwach atmosfery bezustannie szalały huragany o niewyobrażalnej sile.

Wokół planety krążyło kilkanaście księżyców. Ludzie żyli tylko na trzech z nich. Na Sanyasinie mieścił się wielki ośrodek badawczy, filia Instytutu Ksenologii Cesarskiej Akademii Nauk. Na Chantico zbudowano, wedle oficjalnych danych, jedynie stację geofizyczną, gdzie naukowcy biedzili się nad odgadnięciem sekretów Patni. W rzeczywistości oprócz stacji istniał tam jeszcze tajny ośrodek wojskowy Agencji Ochrony Dobra, a także najnowocześniejsze laboratoria, w których podobno od lat testowano jakąś nieznaną, tajemniczą broń - takie przynajmniej plotki krążyły wśród przebywających na Chantico heitai.

Trzeci zamieszkały księżyc nazywał się Dakini. Mieszkali tam wyłącznie ksenolodzy z pobliskiego Instytutu, na Dakini znajdował się bowiem wielki kompleks architektoniczny, wzniesiony przed wiekami przez zagadkową cywilizację Ense Larran.

Cała strefa układu planetarnego gwiazdy Cuniraya już od dziesiątków lat była zamknięta dla niepowołanych. Nie mógł tu przebywać nikt poza naukowcami i pracownikami Agencji. I choć Dag bardzo był ciekaw, nie dowiedział się, kiedy i jakim sposobem Federacja Medyjska zdołała niepostrzeżenie zbudować stację wewnątrz sanyasińskiego lodowca.

Już pierwszego wieczoru Dag uruchomił Fulkona i za jego pośrednictwem opanował główny komputer - ten sam, który miał nadzorować jeńców. Mógłby więc zabić całą załogę i uciec, lecz ta możliwość pozostała w sferze teorii co najmniej z jednego powodu: wielki hangar zionął pustką, stał w nim wyłącznie mały grawilot. Jedyna droga ucieczki ze stacji wiodła przez teleporter, model jednokierunkowy, który prowadził prosto na medyjską planetę Medrahin, zapewne do jakiegoś tajnego ośrodka służb specjalnych. Ani w Instytucie Ksenologii, ani w bazie na Chantico teleporterów nie było w ogóle. Ustawa zabraniała

instalowania tych urządzeń w obrębie stref zamkniętych. W tej sytuacji Oria i Dag mogli tylko ukraść z Instytutu kosmolot.

I co dalej? Wszechświat nie otwierał się przychylnie przed uciekinierami z Sol Wangkuo. Każde znane miejsce w Galaktyce i Obłokach, które nadawało się do życia dla ludzi, było już pod czyjąś kontrolą.

Nawet na Pograniczu, dokąd nie sięgała władza urzędów, rządziły faktycznie triady i rozmaite obce Sieci. Trzeba było oddać się pod czyjś protektorat, żeby w ogóle przeżyć, a to się Dagowi nie uśmiechało. Tylko trzy cywilizacje przyjmowały solaryjskich uchodźców - Sundhainarf, bo panował tam ustrój anarchiczny; Meda, bo potrzebowała rąk do pracy na pustynnej planecie Medrahin, gdzie maszyny niszczały o wiele szybciej od istot żywych; Koreil zaś po to, by zasiedlać swoje groźne planety na obrzeżu Galaktyki lub wysyłać Solaryjczyków na ODF 11 895, skąd nikt jeszcze nie wrócił. Galaktyka była ogromna; osady ludzkie muskały już także skraje Mgławicy Andromedy. A przecież w całym tym niezmiernym kosmosie dezenter z tongu daremnie by szukał bezpiecznego miejsca.

Tak więc nie mieli dokąd się spieszyć i równie dobrze - a nawet lepiej - mogli na razie pomieszkać na Sanyasinie.

Załoga stacji wiodła egzystencję spokojną, wręcz monotonną. Igor i Sule codziennie na wiele godzin znikali w dyspozytorni, dokąd Wojownicy nie mieli wstępu, ale Dag bez trudu odkrył, co się tam dzieje. Odkrycie go zaskoczyło. Był przekonany, że zadanie medyjskich szpiegów wiąże się z bazą wojskową na Chantico. Lecz nie - celem okazał się Instytut Ksenologii.

Igor spędzał dzień po dniu, penetrując system kogiterów Instytutu. Był świetnym infotronikiem, precyzyjnym i pełnym inwencji. Najpierw sprawdził zabezpieczenia, blokady i pułapki strzegące obiektu, potem zastosował mało znaną, trudną metodę włamania. Sukces nie uderzył mu do głowy. Zanurzał się w nieznanej infosferę przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności, z dużą wiedzą i wyczuciem.

Dag poradził sobie w dwie godziny. Wszedł do sieci Instytutu, rozejrzał się po systemie, przekopiował wszystkie dane, które wydały mu się interesujące - i w dalszym ciągu nie miał pojęcia, po co Federacja Medyjska ryzykuje tak kosztowną, niebezpieczną misję szpiegowską.

W dodatku ci obcy podludzie tworzyli grupę najdziwniejszych szpiegów, jakich w życiu spotkał. Przez jakiś czas na chybił trafił monitorował ich prywatne rozmowy, lecz zostali zbyt dobrze wyszkoleni, by nawet między sobą wspominać o celu i szczegółach zadania. Nie dowiedział się nawet, kim są z zawodu. Igor to infotronik, dobrze, ale co robi

reszta grupy?

Próbował pociągnąć ich za język. Bez skutku. Jasnowłosa Aune, mimo uroczego uśmiechu i ujmujących manier, zachowywała wobec Wojowników rezerwę. Owszem, dawało się z nią całkiem przyjemnie rozmawiać o literaturze, sztuce, lingwistyce stosowanej czy pochodzeniu rozmaitych imion. Dag zapytał o nazwisko rodowe swego mistrza, Shengli Xianga, na co Aune poszperała w komputerze i stwierdziła, że „Ayllu Achawall” w języku Indian Araukanów oznacza „Dziewięć Kur”, zaś imię Kuan, mimo szlachetnego chińskiego brzmienia, stanowi araukańską wersję popularnego ongiś imienia Juan. Wprawiło to Daga w znakomity humor, lecz dostarczyło mu trudny orzech do zgryzienia. Dziewczyna ewidentnie była językoznawcą. Po co komu językoznawca na misji szpiegowskiej w Sol Wangkuo? Gdyby chociaż gotowała tym mężczyznom, gdyby z nimi sypiała - ale nie. Więc co ona tu właściwie robi? Co robi tu Jun, artysta? Już nie miał gdzie malować holobrazu, tylko w tajnej bazie, w sercu wrogiego imperium?

Gadatliwy, spontaniczny Bard Stapleton okazał się zaskakująco przebiegły i sprawniejszy w fechtunku słownym niż Oria i Dag razem wzięci. Na temat swojego zespołu powiedział im tylko to, co chciał, a chciał powiedzieć jedynie dwie rzeczy, z których żadna nie miała praktycznego znaczenia: po pierwsze, że Sule ma na Medzie narzeczoną o imieniu Yassinte, którą Bard kąśliwie określił jako „piękną jak śmierć z rozkoszy”; po drugie, że Igor jest ćwierćkrwi Medycykiem, synem pewnego solaryjskiego awanturnika. Awanturnik, człek wesoły i pełen fantazji, podawał się za potomka francuskiego rodu de Courcy i starej arystokracji rosyjskiej.

- Można to spokojnie między bajki włożyć - skomentował Bard - ale skoro Igor w to wierzy, niech mu będzie na zdrowie. Jesteśmy tym, w co wierzymy. Może jego prostackie maniery nabędą trochę polotu?

Igor demonstracyjnie ignorował Wojowników. On jeden odmawiał Orii drobnych, codziennych atencji, którymi otaczał Aune i które pozostali mężczyźni automatycznie przynosili również na Niao Ichi.

Oria nie znała pojęcia grubiaństwa - takie słowo nie istniało w xinés omoi - lecz wyczuwała, że zachowanie Igora razi na tle tutejszych obyczajów. Nie tylko Bard, ale i roztargniony odludek Jun, a także pełen dystansu Sule odnosili się do niej i do Aune z jednakową galanterią. Oria ciągle nie mogła wyjść ze zdumienia, że ci obcy mężczyźni, nie wiedzieć czemu, przepuszczają ją pierwszą przez drzwi, wstają z miejsca na jej widok, usługują jej przy stole, nie używają przy niej żadnych mocniejszych określeń i świadczą inne pomniejsze dowody kurtuazji. Nie żeby jej na tym zależało; uznała to po prostu za dziwaczne.



W Sol Wangkuo kobiety były traktowane tak samo jak mężczyźni. Medyjscy szpiedzy musieli być wychowani w zupełnie innej kulturze. Niekoniecznie lepszej zresztą; Oria pamiętała, jak jedna z egzaminatorek, szkolących Wojowniczkę do testów na rangę Pao, opowiadała o dawnych ponurych tysiącleciach seksistowskiego męskiego wyzysku i ostrzegała przed tymi mężczyznami, którzy twierdzą, że działają w interesie kobiet i chcą dać im więcej praw. „Nie wiercie w to mamienie złego ducha!” uprzedzała. „To oszustwo! Wróg da wam nieistotne prawa w jednej dziedzinie życia po to, żeby tym łatwiej pozbawić was praw o wiele ważniejszych! Tak już bywało w historii”.

Mimo to Oria nie lubiła Igora, choć de Courcy nie był złym podczłowiekiem. Odnosił się do Wojowników niechętnie, lecz w żaden sposób nie próbował im zaszkodzić. Śmiał się z medyjskich anegdot, flirtował z Aune, dyskutował z Suleyem o sporcie albo o hodowli ryb - kwestii na Medzie nader istotnej. Zapewne okazałby się znakomitym kompanem dla każdej załogi, w skład której nie wchodziłby Bard Stapleton. Bard bowiem wyzwał w nim niepohamowaną irytację.

Sam Bard również nie był tu bez winy. Nudził się na Sanyasinie. Słowne potyczki z Igorem bawiły go, więc w lot chwycił tę okazję do rozrywki. Zbyt ostrożny, by samemu prowokować starcia pod okiem Suleya, tak umiejętnie podsycił wrodzoną wojowniczość Igora, że de Courcy wkrótce uznał za punkt honoru zaczepianie go pod byle pretekstem. A ponieważ Bard lubił mieć w tych utarczkach ostatnie słowo, Igor doszedł do wniosku, że sprawy dojrzały do użycia innych metod.

Pewnego dnia przy obiedzie Bard jak zwykle pierwszy rzucił się na apetycznie wyglądające pierożki.

Łakomstwo okazało się zgubne. Pochłonął aż dwa pierogi, zanim nagle zerwał się od stołu i z pianą na ustach popędził do łazienki. Igor wybuchnął śmiechem.

Aune, tknięta podejrzeniem, wzięła talerz Barda i ostrożnie powąchała napoczęte danie.

Wszystko było jasne. Tego dnia to Igor miał dyżur w kuchni.

- Musiałeś użyć akurat mojego mydła? - spytała ze zwodniczą uprzejmością, mierząc go wzrokiem tak lodowato zimnym, że Igor przez moment aż zagapił się na nią. Zza ślicznego blond aniołka wyjrzała nagle zupełnie inna osoba.

- Gdzie twoje poczucie humoru? Przeprowadziłem eksperyment - wyjaśnił, niespeszony. Oczy wciąż błyszczały mu śmiechem. - Wybrałem to mydło, które najmocniej się pieniło.

Aune spojrzała na niego jeszcze mroźniej. Używała pierwszorzędných, kosztowných

kosmetyków, a sądząc z liczby pierogów, Igor pozbawił ją mydła na resztę pobytu na stacji. I to w jakim celu? Żeby ośmieszyć jej brata! Nie, poczucie humoru Aune stanowczo nie obejmowało takich dowcipów.

- Na przyszłość wolałabym, żebyś spytał mnie o zgodę, zanim wtargniesz do mojej prywatnej łazienki i zmarnujesz moją prywatną własność dla jakiegoś idiotycznego żartu. Żartu, dodam, typowego dla dziesięciolatka, ale niezbyt stosownego wśród dorosłych.

Oria i Dag obserwowali scenę bez słowa. Jun posłał Aune długie, nieprzeniknione spojrzenie, po czym znów pograżył się we własnych myślach.

- Podziwiam twój brak rozsądku, Igor - skomentował Sule spokojnie.

- A to czemu?

- Bard nie puści tego płazem.

- Myślisz, że się go boję?

- Myślę, że go nie doceniasz.

Igor nie zdążył odpowiedzieć, bo Stapleton wrócił do jadalni.

- Moja zemsta będzie krwawa! - zapowiedział, patrząc groźnie na Igora.

Efekt tego dramatycznego oświadczenia został nieco zmarnowany, bo z ust Barda wciąż wionął subtelny zapach drogiego kobiecego mydła. Igor, rozparty w wiklinowym fotelu, uśmiechnął się drapieźnie, pokazując białe zęby.

- Mdleję ze strachu.

- Masz prawo do jednorazowego odwetu - rzekł Sule. - I na tym koniec. Zabraniam dalszej wojny. Następne szczeniackie kawały możecie sobie robić na Medzie. Tu nie miejsce ani pora.

Przez kilka dni wszyscy czekali na odwet Barda. Igor natrząsał się z tego, lecz zachowywał wyraźną ostrożność. Wszędzie wietrzył podstęp, a niebawem zaczął się niecierpliwic.

- I jak z twoją sławetną zemstą? - zagadnął pewnego wieczoru przy kolacji. - Czekam i czekam, aż wysilisz się na jakiś ciężki dowcipas, i doczekać się nie mogę. Zabrakło ci pomysłu, Stapleton?

Bard, pochłaniający z apetytem gulasz krewetkowy, podniósł na niego oczy niebieskie jak niezapominajki. Oho! - pomyślał Sule. - Igor mylił się najzupełniej. Pomysłów nigdy Bardowi nie brakowało. Jeśli już, to miał ich w nadmiarze.

- Lepiej ci idzie mielenie językiem niż praca intelektualna - ciągnął de Courcy. - Założę się, że zwlekasz do jutra, bo jutro wypada twój dyżur w kuchni. Chcesz zmałpować moją koncepcję. Przyznaję, że to Pokusa, bo koncepcja jest piękna. Wyglądałaś jak... skończony

kretyn, kiedy piana leciała ci z pyska. A te bąbelki z nosa... - Igor z lubością zmrużył oczy - Niezapomniany widok.

- Jesteś w błędzie - odparł Bard z ironiczny uśmieszkiem. - Twoja, jak to nazywasz... „koncepcja” - cudzysłów w jego głosie był nie tylko słyszalny; był omalże widoczny - jest dla mnie zbyt prostacka. Umysłowość, która rodzi takie, za przeproszeniem, „koncepcje”, stoi na poziomie kucharki w pałacu Borgiów. Ja posiadam intelekt bardziej wyrafinowany.

- Intelekt? U ciebie? Nigdy bym się nie domyślił. Przecież ciebie interesują tylko wygłupy.

- Nie tylko! - zaprotestował Bard z oburzeniem.

- Seks też się liczy.

Igor skrzywił się z demonstracyjnym niesmakiem.

- Miałem nadzieję, że te mydlane pierogi dadzą ci do myślenia. Że czegoś się przy okazji nauczysz. Ale widzę, że dalej jesteś tylko błaznem. To wszystko dlatego, że życie nie dało ci wystarczająco dobrze w kość. A życie, Stapleton, jest skomplikowane i pełne niespodzianek. Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom. Tobie tym bardziej.

Bard, wstrząśnięty, szeroko otworzył niebieskie oczy.

- Nie śniło się filozofom! - powtórzył z nabożeństwem. Pochylił się, splótł dłonie i wpił chciwy wzrok w usta Igora, jakby w napięciu czekał, by chłonąć dalsze rewelacje z warg proroka.

Igor, zirytowany, odsunął pusty talerz i zrobił ruch, jakby chciał wstać.

Wstał. Odbyło się to jednak jakoś dziwnie. Zafascynowana załoga patrzyła przez długą chwilę, jak Igor pochyła się, łapie odruchowo za stół, a potem, zgięty jak w ataku lumbago, okręca się wokół własnej osi, gorączkowo macając wkoło rękami. Wiklinowy fotel obrócił się razem z nim. Wtedy wszyscy ujrzeli, że spód fotela nadal ściśle przylega do jego pośladków.

- Tak, tak - odezwał się Bard aksamitnym głosem. - Życie bywa zaiste pełne niespodzianek.

Igor zaklął paskudnie. Szarpiąc rękami i drepcząc w miejscu, próbował odkleić się od fotela. Osiągnął tylko tyle, że rozdarł sobie z boku spodnie.

- Już ja ci zapłacę! - warknął z furją do Barda.

- Musisz zdjąć spodnie, Igor - poradził Sule rzeczowo. - jeśli chcesz, zostawimy cię samego.

- Niedoczekanie! - wrzasnął Igor i jak wystrzelony z katapulty runął do drzwi.

Ale nie docenił Barda.

Drzwi rozsunęły się tylko do połowy. Igor, złożony w pół jak scyzoryk, utknął w otworze, fotel bowiem za nic nie chciał się precyzyjnie. Zaklinowany de Courcy począł szarpać się wściekle. Oba odrzwia dygotały, sterczące w powietrzu nogi fotela podrygiwały w surrealistycznym tańcu, a wiklina trzeszczała złowieszczo.

- Ostrożnie! - poradził Bard po przyjacielsku. - Nie kręć tym twoim wielkim kuprem, bo rozwalisz mebel!

Sule poszedł, złapał jedną ręką za pas Igora, drugą za wiklinowe oparcie i pociągnął. Rozległ się trzask pękającego materiału. Fotel został Medycykowski w rękę, a Igor wybiegł pędem, mignawszy szarawymi kalessonami niczym spłoszona sarna, pokazująca wrogom jasny zad.

Incydent nie wpłynął na poprawę wzajemnych stosunków Stapletona i de Courcy'ego. Pod ciężką ręką Suleya żaden nie odważył się na dalsze podchody. Igor sfrustrowany, zaczął więc ostrzyć sobie język na Junie.

Ale Jun nie okazał się obiektem tak wdzięcznym jak Igor się spodziewał. De Courcy daremnie próbował sprowokować go do ostrzejszej wymiany zdań Jun zdawał się całkowicie poza zasięgiem słów. Nieobecny duchem, nie reagował na zaczepki, tak że Oria wątpiła, czy w ogóle Igora zauważa.

- Junowi jest po prostu dokładnie wszystko jedno, czy Igor kłapie szczęką tuż obok, czy w sąsiedniej galaktyce - wyjaśnił Bard Wojownikom. - To artysta. Bardziej go interesuje własna twórczość niż rzeczywistość. Kiedy się zamyśli, mógłby koło niego przejść słoń niosący w trąbie baobab, a Jun wcale by go nie zarejestrował.

- I kto to mówi! - zaśmiała się Aune. - Ty, najbardziej roztrzepany z nas wszystkich!

- No, słoń bym w każdym razie zauważył.

- Tylko wtedy, gdyby zamiast baobabu niósł w trąbie atrakcyjną dziewczynę.

- E, Jun nie dostrzegłby go nawet wówczas. Od pięciu lat praktykuje ascezę.

Czyżby? - pomyślała Oria.

Była pewna, że Juna łączy coś z Aune. Raczej to wyczuła niż spostrzegła, Aune bowiem nigdy z nim nie flirtowała, a Jun ze swej strony nie uczynił ku niej najmniejszego gestu. Gdy Igor jawnie się do niej zalecał lub gdy jej zachowanie wobec Igora przybierało lekko wabiący, prowokujący odcień, Jun co najwyżej obserwował ją z chłodnym, obcym roztargnieniem, jakby myślał o czym innym, a czasem w ogóle nie patrzył lub wychodził, zajęty własnymi sprawami.

A jednak... przecież na nią spoglądał. I to o wiele za często, by uznać to za przypadek. Niekiedy jego spojrzenie spoczywało na niej z owym trudnym do odgadnięcia intensywnym

wyrazem, który Oria po raz pierwszy spostrzegła wówczas w jadalni. Cokolwiek chciały przekazać szarozielone oczy Juna, nie było to przeznaczone dla postronnych. Aune milczała, choć jej wzrok, jak przyciągany magnesem, również stale wędrował w jego stronę. Rzadko ze sobą rozmawiali; Oria ani razu nie widziała, żeby się dotknęli. A przecież, jakimś dziwnym trafem, stale widywało się ich razem.

Od samego początku Jun był bardzo przychylnie nastawiony do Wojowników. Oria ze zdumieniem obserwowała, jak łatwo znalazł wspólny język z Dagiem. Zwykle małomówny, Jun ożywiał się przy tematach filozoficznych czy religijnych i zdołał nawet sprowokować Daga do szczerych dyskusji! Nie mógł wiedzieć, jak niezwykle to wyczyn. Dag od lat przywykł zachowywać prywatne poglądy na użytek własny i siostry.

Najgoręcej spierali się o kwestie abstrakcyjne. Jun twardo stał na stanowisku, że materialna rzeczywistość istnieje obiektywnie, podczas gdy Dag skłaniał się w stronę solipsyzmu, obaj zgodzili się jednak, że solaryjska koncepcja Demiurga jest z gruntu błędna. Kolejny wieczór poświęcili na dyskusję o duszy. Jun nie wierzył w prawomyślną tezę, że dusza jest jedynie siedzibą Ducha, tożsamego z Brahmanem i Wszechświatem. Wyznawał Boga osobowego, więc uważał panteizm za bzdurę i gorąco przekonywał Daga do swoich poglądów. Dag jednak miał zastrzeżenia; był na przykład zdania, że ludzie nie mogą posiadać żadnej duszy w joszuickim rozumieniu tego słowa, gdyż są produkowani taśmowo, byłoby zaś bluźnierstwem oczekiwać, że Bóg rozdziela dusze zgodnie z grafiką Urzędu do Spraw Populacji.

- W takim razie ty również nie możesz mieć duszy - zauważył Jun. - Bo czemu Bóg miałby rozdzielać dusze zgodnie z kapryсами podludzkich seksualnych pożądań?

Daga zatkało. Bez oporów pozwolił się przekonać, że zooforant też ma duszę nieśmiertelną, o ile odróżnia Dobro od Zła jako pojęcia etyczne. Jednak gdy przeszli do kogiterów i neurikomów, różnica zdań okazała się nie do przewyciężenia. Zdaniem Juna, rozumne abionty miały duszę analogiczną do tej, która ożywia rośliny i zwierzęta - a więc jakościowo odmienną od ludzkiej, nie stworzoną na podobieństwo Boga i podlegającą śmierci.

Dag nie chciał się z nim zgodzić. Wszystkie argumenty Juna opierały się na tezach dwojga fundamentalistycznych teologów joszuickich - świętego Gideona i świętej Ndebele. Dag, racjonalista, zbył je wzruszeniem ramion.

- Przecież sam przyznajesz, że humanoidy mają dusze - zwrócił Junowi uwagę - więc czemu odmawiasz duszy ahumanoidom? To nielogiczne!

- Zapominasz, że inteligentne ahumanoidy istnieją wyłącznie w teorii. Nikt ich na razie

nie odkrył. Neurikomy i kogitery to zaledwie inteligentne maszyny. Nie są dziełem Boga, lecz człowieka, a człowiek nie może tchnąć duszy w swoje stworzenie, bo nie jest Bogiem. Dusza to odbicie Ducha. To kreacja, nie fizjologia.

- Spójrz na to perspektywicznie - zaproponował Dag. - Współczesna nauka wie już tyle o strukturze materii, że potrafi taśmowo produkować ciała. Nauka przyszłości dostarczy takiej wiedzy o nadwymiarach, że umożliwi taśmową produkcję dusz. I co na to powie twoja teologia?

- Teologia będzie się nad tym zastanawiać, kiedy to zobaczy. Czyli nigdy.

- Więc twoim zdaniem nauka nie stawia teologom żadnych trudnych pytań? Dobrze; ja zadam ci jedno. Od lat prowadzone są eksperymenty z transmutacją ludzi w inne istoty żywe. Prędzej czy później uda się to przeprowadzić. A kiedy już zmienimy podczłowieka w psa, jaką duszę będzie miał ten pies?

- Na pewno nie ludzką - odparł Jun bez wahania. - Dusza ludzka odejdzie wraz z zagładą ciała. Transmutacja też jest rodzajem unicestwienia.

- Tylko że jest to unicestwienie odwracalne - uśmiechnął się Dag. - A jeśli z powrotem zamienimy tego psa w tego samego podczłowieka?

- Nie w tego samego - sprostował Jun - ale w takiego samego. To będzie już inny podczłowiek. Identyczny, ale nie tożsamy, jak klon czy biokopia.

- Ale co wtedy? Jaką będzie miał duszę? Tę samą, inną, żadną?

- Jeśli ulegnie zerwaniu więz z mózgiem, oczywiście żadną. Albo inną, o ile Bóg zechce mu ją dać. Na pewno nie tę samą.

- Więc jeśli zdołałbym cię powielić w milionie transmutowanych biokopii, każda z tych biokopii byłaby twoim zdaniem innym podczłowiekiem, z własną duszą?

Jun skrzywił się ledwo zauważalnie.

- Tak. Każda biokopia, nanoformant, klon czy bliźniak jednojajowy jest odrębną istotą. Dla ciebie to zaledwie myślące produkty technologiczne, ale nie zabronisz chyba Panu Bogu mieć innego zdania?

Żrenice Daga zwężyły się w nagłej czujności. Jun zareagował odrobinę zbyt kąśliwie... zbyt osobiście.

- No dobrze. Jest coś w tym, co mówisz. Sam sposób przyjscia na świat nie determinuje człowieczeństwa. Tylko co ty uważasz za człowieczeństwo? Nie rozum, skoro podczłowiek będący od urodzenia debilem też jest dla ciebie człowiekiem. Więc co? Czterdzieści sześć ludzkich chromosomów? A przecież można wytworzyć pakiety tkankowe z całym ludzkim ciałem, ale bez mózgu, nawet bez głowy. Czy one twoim zdaniem mają

dusze?

- Jak mogłyby mieć? To tylko okaleczone zwłoki ludzkie, ciała istot, które zginęły lub zostały zamordowane w stadium embrionalnym. Człowieczeństwo to żywe ludzkie ciało plus przynajmniej teoretyczna zdolność do abstrakcyjnego myślenia. A debilizm, nawiasem mówiąc, jest od dawna uleczalny, jak każde inne kalectwo.

Dag pokiwał głową.

- A więc w praktyce decyduje wyłącznie posiadanie przyrodzonego ciała, bo neurikomy też umieją myśleć abstrakcyjnie... Widzę, że każdy z nas okopał się na własnych pozycjach ideologicznych. W każdym razie zaczynam rozumieć, czemu herezja jосуicka jest tak konsekwentnie tępiona. Wasze poglądy podcięłyby fundamenty Sol Wangkuo.

- Nie nazywaj mojej religii herezją! - obruszył się Jun nieoczekiwanie. - Katolicyzm to ortodoksja! To synkretyzm jest heretycki!

Dag był zaskoczony. Jun mówił z takim ogniem w oczach, jakiego jeszcze u niego nie widział.

- W porządku. Czym się tak przejmujesz? Arcykapłani na Arkadii musieli was nazwać heretykami, żeby wytepić konkurencję ekonomiczną. Chyba zdajesz sobie sprawę, jak ogromne sumy przepływają przez świątynie?

Jun potrząsnął głową.

- Ty widzisz tylko aspekt materialny, a nie dostrzegasz duchowego. Synkretyzm to coś gorszego niż zlepek herezji. To satanizm! To ten sam podziemny nurt, który przez tysiąclecia podmywał ludzką wiarę w Boga, aż wreszcie wypłynął na powierzchnię i nazwał się Prawdziwą Religią. I tworzą go duchowi spadkobiercy odstępców, wyznawców zła, czcicieli złotego cielca... Imię Jahwe uchodzi dziś za jedno z imion złego Demiurga. Myślisz, że to przypadek? Czy to przypadek, że Wisznusziwę czci się jako Świetlistego? Świetlistym, Lucyferem, w mistyce chrześcijańskiej nazywano Szatana!

- To stare określenie gnostyckie - zauważył spokojnie Dag.

- Gnostycy też bywali satanistami. Kiedyś jeszcze do tego wrócimy. Na razie nie zdajesz sobie sprawy, że pewne praktyki są diabelskie, bo Sol Wangkuo stanowi dla ciebie jedyny punkt odniesienia.

Dag nie odpowiedział. Nie miało sensu informować Juna, że żadnego „kiedyś” nie będzie.

Dziesiątego dnia pobytu na stacji Dag przyniósł coś siostrze.

- To jest łyżka, którą Jun jadł kisiel. Powinna być na niej ślina.

Oria podniosła rozkojarzony wzrok znad książki. Czytała akurat *Władcę Pierścieni*,

pożyczonego od Barda. Tekst wciągnął ją i urzekł. Wyrosła w ciasnych kosmicznych bunkrach, wśród podludzi roślących fizycznie, ale kalekich i spotworniałych duchem. Nigdy dotąd nie przeczuwała, jak ogromna drzemie w niej tęsknota za światem szerokim, pięknym i heroicznym. Połykała powieść, nie bacząc nawet, że napisano ją w dawno nie używanym dialekcie euroxinés, rojącym się od niezrozumiałych pojęć, takich jak „honor”, „miłosierdzie”, „prawość” czy „sumienie”. Współczesne słowo „bushido”, tłumaczone na euroxinés jako „honor”, oznaczało cnotę absolutnej lojalności wobec mistrza lub kolektywu. Tymczasem w świecie *Władcy Pierścieni* desygnałem owego rzeczownika był jakiś zespół irracjonalnych, kompulsywnych zachowań, nie mających nic wspólnego z posłuszeństwem czy bodaj zdrowym rozsądkiem. „Miłosierdzie” wiązało się chyba z litością. Litość, owszem, była dla Orii pojęciem zrozumiałym, choć zasadniczo nagannym, chyba że przypisywano ją bóstwu. Co oznaczało „sumienie”, Oria nie zdołała dociec, a wstydziła się pytać. Nie zrażała się jednak i pochłaniała tekst tym chętniej, że powieść przywoływała niejasne wspomnienie innej książki, którą ojciec czytał jej i Dagowi w dzieciństwie. Tam również były wielkie stepy, konie i bitwy, tyle że stepy nazywały się Dzikimi Polami, a bohaterowie nosili słowiańskie imiona.

Niechętnie wróciła z lasu Fangom na prozaiczny Sanyasin. Spojrzała na łyżeczkę, trzymaną przez Daga jak trofeum.

- Ślina?... Interesuje cię jego kod genetyczny?

- Tak. Chcę wiedzieć o Junie jak najwięcej. On mnie niepokoi.

Oria westchnęła.

- Proszę bardzo. Mam sprzęt. Jeśli sądzisz, że to coś da...

I bez entuzjazmu zabrała się do pracy. Kilkanaście minut później przeżyła wstrząs. Zamarła, wpatrzona w ekran z osłupieniem.

- No i? - ponaglił ją brat. - Co odkryłaś?

- Dag... - wyjąkała, podnosząc ku niemu oczy pełne autentycznej zgrozy. - On nie jest podczłowiekiem!

- A kim? To mutant?

- Nie... Nie mutant... gorzej! Jeden z klonów Mumii z Olmar!

Dag ściągnął brwi, wysilając pamięć. Znał tę nazwę, ale skąd?

- Mumia z Olmar? To ma coś wspólnego z odtwarzaniem faraonów?

- Nie! To eksperyment „Starzec z Gór”!

Szare oczy Daga otworzyły się szeroko. Aż usiadł z wrażenia.

- Eksperyment „Starzec z Gór”! Więc to tamta mumia?!



Oria bez słowa skinęła głową.

Dag gwizdnął cicho. Przez jego twarz po raz pierwszy od dawna przemknęły wyraźne emocje.

- O *dzoude shi!* - wyszeptał.

## Rozdział XV

Nikt nie wiedział, kim był za życia zagadkowy osobnik, pośmiertnie znany jako Mumia z Olmar. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości - z punktu widzenia biologii nie należał do gatunku ludzkiego. Był enselinem. Niewykluczone, że pochodził z samej Ense Larran, zakładając, że Ense Larran w ogóle kiedyś istniała.

W języku lansaya słowa „Ense Larran” oznaczały „Koronę Światów”. Legenda o Koronie Światów miała rodowód koreelski; na Koreil była popularna mniej więcej tak, jak na Ziemi legenda o Avalonie i Rycerzach Okrągłego Stołu. Również stał za nią mityczny, wczesnośredniowieczny czarodziej, który nawet nazywał się podobnie do Merlina, mianowicie Marhalid. Marhalid przybył do koreelskiego kraju Atalan z jakiegoś bardzo odległego miejsca. Jego uczeń, postać historyczna, rodowity Ataj, Ardaren z Ker, napisał księgę na temat swoich czasów i swego mistrza, w której twierdził, że ojczyzną Marhalida była Korona Światów, magiczna wyspa żeglująca w chmurach. Jej mieszkańcy wyglądem nie odbiegali od ludzi, lecz na pewno ludźmi nie byli, mieli bowiem wrodzoną zdolność panowania nad siłami nadprzyrodzonymi, niczym demony czy aniołowie. Zdaniem Ardarena, Bóg dał im tę potęgę, gdyż ich wyspa stanowiła miejsce niewyobrażalnie groźne. Korona Światów tworzyła oś, gdzie w ogromnym wirze rodziły się czary i nadludzkie moce; na domiar złego mieszkańcy czarodziejskiej wyspy ciągle toczyli wojny. Marhalid wrócił na Koronę Światów dopiero pod koniec życia, gdyż zasadniczo niezbyt tęsknił za ojczyzną.

Wszystko to uważano przez stulecia za ładną baśń, jakich wiele. Gdy zaś koreelscy uczeni zaczęli posługiwać się przemądrzałym żargonem typowym dla rozwiniętej nauki, opowieść o Koronie Światów nazwano kolejną mutacją popularnego, ogólnoludzkiego archetypu świata bogów.

Życie, jak to bywa, zakpiło sobie z naukowego zadufania.

Najpierw pojawiła się zagadka artefaktów.

Gdzieniedzie w kosmosie natrafiono na dziwne zespoły architektoniczne, tak niezwykle, że nie udało się ich zaklasyfikować, przypisać żadnej znanej cywilizacji ani nawet rozpoznać ich przeznaczenia. Odkrywano je w rozmaitych odległych od siebie punktach ludzkiej Galaktyki. Wykazywały istotne zbieżności, nie tyle stylistyczne, co konstrukcyjne. Mimo szczegółowych badań nie zdołano wyjaśnić, na jakiej zasadzie działają znajduwane tam z rzadka artefakty. Było też inne znaczące podobieństwo: wszystkie budowle okazały się

śmiertelnie groźne dla badaczy, jakby ich twórcy nie życzyli sobie wizyt w swoich opuszczonych siedzibach. Wiek najstarszej z nich datowano w przybliżeniu na trzy tysiące lat, najmłodszej - na zaledwie kilkaset. Budynki i wystrój wykazywały znaczne odmienności stylu i koncepcji artystycznej, lecz ich poziom techniczny - na ile można ocenić coś zupełnie niezrozumiałego - nie różnił się w żaden zauważalny sposób.

To oczywiście spowodowało falę spekulacji. Ponieważ nigdzie w znanym kosmosie nie udało się odkryć ojczystej planety twórców tych budowli, pojawiły się teorie, że jest to cywilizacja istniejąca w innym czasie, w innej przestrzeni, a może w ogóle poza czasem i przestrzenią. Stąd był już tylko krok do rozmaitych hipotez ezoterycznych. Następnie wybuchła afera enselinów.

Rozpoczęli ją naukowcy medycyjscy, którzy przypadkiem odkryli zaskakującą zbieżność w biografiiach ośmiorga niezwykle postaci z dziejów Medy, Koreil i Milgi. Zbieżność polegała na tym, że każda z tych historycznych postaci pojawiała się na świecie już niejako w gotowej formie, albo jako dziecko-znajda, albo jako dorosły przybysz znikąd. Jeśli wierzyć przekazom, wszyscy, co do jednego, wykazywali zdolności parapsychiczne w stopniu i zakresie niespotykanym u ludzi. Było wśród nich czterech mężczyzn i cztery kobiety. Pięcioro słynęło z dobroci i prawości, zaś pozostała trójka zapisała się w historii jako potwory otoczone przeraźliwie ponurą sławą. Nie reprezentowali żadnego określonego typu etnicznego, choć aż sześcioro z nich należało uznać za białych, a dwoje za brązowoskórych.

Podobieństwo tych ośmiu biografii do dziś stanowiłoby najwyżej ciekawostkę, gdyby nie pewien korelski genetyk, który zainteresował się sprawą. Po pięciorgu z tej ósemki pozostały ślady biologiczne wystarczające do częściowego odtworzenia genomu. Pokonawszy rozliczne trudności, Korelczyk uzyskał i porównał próbki.

Wynik okazał się sensacyjny.

Każdy spośród indywidualnych genomów miał takie same cechy, nie występujące u żadnej ze znanych ras ludzkich. Inaczej mówiąc, pięć osób, żyjących na trzech odległych od siebie planetach na długo zanim ktokolwiek myślał tam o podróżach kosmicznych, okazało się przedstawicielami jednej i tej samej obcej rasy. Dalsze badania wykazały, że różnice genetyczne pomiędzy nimi a resztą ludzkiej populacji są na tyle istotne, że z punktu widzenia biologii owe pięć osób należało właściwie do innego, człękkształtnego gatunku.

Ponownie przeanalizowano biografie. Wtedy wyszło na jaw, że Ardaren z Ker zostawił po sobie nie tylko księgę, ale i artefakt w postaci szarej kuli. Zapowiedział przy tym, że ten, pod którym dotknięciem kula rozjarzy się blaskiem, to prawowity potomek Marhalida, przybyły z Korony Światów. Kula przetrwała w klasztornym schowku ponad tysiąc lat, aż

wreszcie pewnego dnia, ku ogólnemu zaskoczeniu, przepowiednia Ardarena nagle się spełniła. Tym, którego dotyk wydobyl z metalu jasne światło, był pewien rycerz znajda, Antara Vanheria - jeden z pięciu obcych przybyszów.

Od tamtych czasów kula dawno zaginęła w pomroce dziejów. Opowieść o tym, jak Antara Vanheria wziął ją do rąk, była przez historyków traktowana nieufnie, jak relacja z iluzjonistycznej sztuczki.

Teraz wszystko uległo zmianie.

Przyjęto roboczą hipotezę, że ośmioro obcych pochodzi z jednego i tego samego miejsca, które z braku innych danych można tymczasem nazwać Koroną Światów. Gatunek człekopodobny, który stworzył tamtejszą cywilizację, nazwano enselinami. Dla potrzeb koncepcji lekką ręką przypisano enselinom wszystkie tajemnicze zespoły architektoniczne. Bogiem a prawdą, nie było po temu żadnych podstaw, ale na Koreil też wynaleziono zasadę znaną na Ziemi jako brzytwa Ockhama. Nie należało mnożyć zagadkowych, wybitnie zaawansowanych cywilizacji, skoro na potrzeby nauki aż nadto wystarczała jedna.

Powstało kilkanaście teorii tłumaczących, dlaczego mieszkańcy Ense Larran mieli ongiś zwyczaj podrzucać swe dzieci po obcych planetach. Najbardziej rozreklamowana i najmniej oryginalna teza głosiła, że uprawiali w ten sposób swoistą działalność misjonarską. Naturalnie pojawiły się i inne pomysły choćby taki, że żadna Ense Larran nigdy nie istniała, zaś gatunek enselinów to wyższy etap rozwoju, osiągnięty przez nielicznych ludzi, którzy utworzyli własną tajemną cywilizację. Teoryjka ta pomijała ewidentny szczegół, że odnotowani w dziejach enselini nie byli żadnymi znów półbogami. Wśród legendarnej ósemki znalazło się tylko troje wybitnie inteligentnych postaci o niezwykłych osobowościach. Resztę stanowili osobnicy średnio rozumni; jedna z kobiet była wręcz rażąco ograniczona. Ich organizmy nie wykazywały żadnych superwłaściwości. Byli przeciętnie urodziwi, podatni na choroby, ból i frustracje, nie żyli wcale dłużej niż ich współcześni, popełniali bezsensowne błędy życiowe i mieli swoje słabości i rozterki jak każdy zwyczajny śmiertelnik. Gdyby nie ten niesamowity, nieludzki dostęp do mocy nadprzyrodzonych, nie wyróżnialiby się niczym szczególnym, a nawet pod tym względem nie byli idealni. Ani wszechmocni, ani wszechwiedzący, wykazywali w dodatku istotne ułomności paramentalne, nazwane potem skazami. Żadne nie było wszechstronnym mentatem, choć przecież u ludzi wszechstronne talenty trafiały się stosunkowo często. Ich charaktery też wydawały się dziwnie skrajnie. Bywali albo wyjątkowo szlachetni, albo wyjątkowo nikczemni, zupełnie jakby produkowano ich wyłącznie w wersji białej lub czarnej. Powstała nawet odrębna hipoteza głosząca, że enselini zostali sztucznie wyhodowani przez jakąś nieznaną supercywilizację, możliwe, że w

ogóle ahumanoidalną, a potem celowo, dla eksperymentu, wpuszczeni między ludzi.

Tak wyglądał współczesny stan wiedzy o Ense Larran. I w tym właśnie punkcie zaczęła się ponura i niesamowita historia Mumii z Olmar.

Planeta Olmar leżała kilkadziesiąt tysięcy lat świetlnych od Sol Wangkuo, z dala od Mlecznej Drogi, w gromadzie kulistej M 53 w dawnej konstelacji Warkocza Bereniki. Większa od Ziemi, miała wodorową atmosferę i górzystą powierzchnię. Pół wieku temu podczas rekonesansu solaryjski kosmolot zwiadowczy odkrył tam kryptę wewnątrz góry. W krypcie spoczywały zmumifikowane, wyschnięte zwłoki mężczyzny.

Tak brzmiała wersja oficjalna. W rzeczywistości to nie kosmolot odkrył kryptę, lecz krypta odkryła się przed kosmolotem. Sonda krążąca nad powierzchnią planety wykryła punktowe źródło promieniowania grawitacyjnego o mocy tak znacznej, jak podczas nagłego kolapsu masywnej gwiazdy. Gdy skierowała się nad łańcuch górski, żeby zbadać to zjawisko, największa góra pękła z hukiem, wyrzucając kamienie jak wulkan. Pośród zwałowiska szarych głazów zabłysła idealnie kulista kapsuła, wykonana z żółtego półprzezroczystego materiału. W środku tkwiło ludzkie ciało, zastygłe jak mucha w bursztynie. Bo też, jak się okazało, rzeczywiście był to bursztyn.

Ustalono, że kapsuła znajdowała się przedtem w grobowcu, ukrytym w samym sercu góry. Zdaniem geologów grobowiec liczył sobie około pięciu tysięcy lat. Żadne korytarze z zewnątrz nie prowadziły do środka, z czego wynikało, że miejsce pochówku Mumii zostało wydrążone poprzez telekinezę w nadprzestrzeni.

Na zdrowy rozum, taki początek powinien skłaniać odkrywców do daleko posuniętej ostrożności, tym bardziej, że nigdy nie odkryto, w jaki sposób krypta zarejestrowała kosmolot ani za pomocą jakich urządzeń emitowano promieniowanie, już nie mówiąc o mechanizmie tektonicznym, który zniszczył górę wielkości Mont Blanc. W ten właśnie sposób mógłby zaczynać się filmowy horror; cóż, kiedy Agencji nie dało to nic do myślenia. Rozbito kapsułę i wyjęto ciało mężczyzny, wyschnięte i lekko zmumifikowane. Szybko ustalono, że mumia uwięziona w bursztynie nie była mumią człowieka. Jej doskonale zachowany materiał genetyczny nosił cechy typowe dla enselinów.

Odkrycie stanowiło rewelację na skalę Galaktyki. Nigdy dotąd nie udało się natrafić na pełny, nie uszkodzony genom enselina. Z zachowaniem najściślejszej tajemnicy i wszelkich środków ostrożności przewieziono Mumię z Olmar na Shambalę. Tam zajęli się nią najwybitniejsi solaryjscy naukowcy. Wtedy jeszcze byli tym zachwyceni.

Próbowano zrazu dowiedzieć się czegoś o Mumii, uzyskać jakieś dane z ciała, mózgu czy infopola. Daremnie. Nawet najlepsze chronowizory wykazywały tylko szum. Retrognoza

nic nie dała, jasnowidze rozkładali ręce, clarivery odczytywały Mumię jak obiekt bez historii i właściwości. Badania wykazały, że bursztyn pochodził z Ziemi, z okresu trzeciorzędu, zachowały się w nim nawet igielki ówczesnych drzew. Mężczyzna już nie żył, kiedy balsamowano go w bursztynie. Zmarł w zaawansowanym wieku, co najmniej jako stulatek, lecz mimo to jego materiał genetyczny zachował się w znakomitym stanie, prawie bez mutacji czy innych błędów rekombinacyjnych. Przyczyny śmierci nie udało się ustalić. Ciało nie nosiło śladu uszkodzeń mechanicznych, nie ujawniono też żadnej znanej nauce choroby.

Szefowie Agencji Ochrony Dobra zacierali ręce. Od razu zaświtał im pomysł hodowli klonów enselina. Liczyli, że od strony biotechnicznej będzie to równie proste jak klonowanie człowieka. Zapewne oczyma duszy już widzieli ów legion supermentatów, posłusznych na każde skinienie. Mając taką broń, można by zawojować Galaktykę. Eksperyment „Starzec z Gór” uzyskał absolutny priorytet, nieograniczone fundusze i obsługę najznakomitszych umysłów Sol Wangkuo. Doprawdy zakrawało na paradoks, że już od samego początku nic, ale to absolutnie nic, uparczywie nie chciało się udać.

Niepowodzenia miały na pewno wiele naturalnych przyczyn. O biologii i genetyce enselinów nikt przecież nie miał wówczas pojęcia. Pionierzy siłą rzeczy byli skazani na borykanie się z trudnościami. Uczni pracowali pod presją odgórnych nacisków i kontroli, w stałym napięciu, w nerwowej atmosferze pełnej zawiści, intryg i wzajemnych podchodów, bo każdy chciał wyszarpnąć dla siebie jak największą część chwały. A jednak... Już po dwóch latach na Shambali zaczęto szeptać, że to duch Mumii złośliwie przeklął całe przedsięwzięcie. Trudności mnożyły się jak za sprawą magii. Jedyne, co gładko udało się zrobić, to sporządzić kariogram, lecz czynność tak elementarna nie stanowiła żadnego zgoła osiągnięcia. Aż pięć lat zajęło opracowanie nadających się do replikacji matryc wszystkich nośników dziedziczności, psychomatrix, infopola i biopola. Biotyp Mumii, choć w świetnym stanie, był pod wieloma względami właściwy dla starca. Gdy replikowano go w wersji pierwotnej, narastały w nim letalne mutacje. Ponieważ nikt tak naprawdę nie wiedział, jak powinien wyglądać wzorcowy biotyp enselina, kogitery agencji poszukiwały właściwej wersji metodą prób i błędów; głównie błędów, bo zadanie okazało się nadspodziewanie trudne. Tysiące embrionów zginęło, nie docierając do stadium organogenezy, zanim cel został wreszcie osiągnięty.

Lecz jeśli naukowcy myśleli, że odtąd już pójdzie im z górki, mylili się całkowicie.

Nie wiadomo czemu, w chromosomach embrionów zaczęły teraz następować całe serie najbardziej nieprawdopodobnych mutacji. Uczni miotali się desperacko, szukając przyczyn wszędzie, od sabotażu po wpływ mocy nadprzyrodzonych. Całkiem serio zaczęli

brać pod uwagę plotkę o kłątwie Mumii. Wśród pracowników Agencji zawsze więcej było mentatów niż racjonalistów. Odprawiono agnihotrę; potem złożono duchowi ofiarę przebłągalną z podludzi; następnie zabito rytualnie kilkuset ludzi, jako że podludzie widocznie nie byli dla ducha wystarczająco dobrzy. Jednak i to nie poskutkowało. Wówczas poczęła krążyć pogłoska, że katastrofa kosmolotu, w którym leciało pięciu nadludzi, też stanowiła ofiarę na ołtarzu Mumii. Jeśli nawet, to Mumia zignorowała ją zupełnie. Nie wiadomo, do czego by doszło, gdyby ktoś w końcu przypadkiem nie odkrył, że embriony enselinów potrzebują do prawidłowego rozwoju stukrotnie więcej manganu niż embriony ludzkie. Ani w żąb nie wynikało to z żadnych opracowań dotyczących ich biochemii i metabolizmu. Dopiero znacznie później ustalono, dlaczego opracowania zawierały błędy, dzięki czemu powstało zresztą parę nowych ważnych odkryć w dziedzinie biologii. Zanim to nastąpiło, wyhodowano serię transgenicznych klonów o ludzkim metabolizmie. Wszystkie co do jednego urodziły się głęboko upośledzone umysłowo.

W końcu nastąpiła chwila tryumfu. Po latach klęsk i trudów narodził się wreszcie pierwszy zdrowy klon enselina; więcej nawet niż klon - idealna biokopia, replika Mumii pod każdym możliwym względem, łącznie z detalami w rodzaju linii papilarnych czy wzoru tęczy. Fizycznie klon był Mumią, tyle że odmłodzoną do wieku niemowlęcego.

Naukowcy urządzili wielkie święto. Przedwcześnie. Klątwa jeszcze nawet nie rozwinęła pełnej mocy rażenia.

Wyprodukowano tysiące klonów. Tylko nieliczne przetrwały. Wiele zmarło z przyczyn naturalnych - narastały w ich genach błędy rekombinacyjne, których leczenie byłoby nieopłacalne; źle reagowały na ludzkie immuny; ciężko przechodziły alergię, za to bez trudu łapały infekcje. Miały bardzo słabą wrodzoną odporność; ich prototyp musiał również być chorowity. Lecz przeważająca większość klonów została zlikwidowana przez samą Agencję, gdyż ich dalszą hodowlę uznano za bezcelową.

Albowiem klony jakoś uparcie nie chciały okazywać się owymi supermentatami, wyczekiwanymi z utęsknieniem na Arkadii. Po urodzeniu mierzono potencjał ich psychomatrix i wartości infopola. Następnie były obserwowane, poddawane szkoleniom i wpływowi najlepszych mentatów-induktorów. Jeśli po trzech latach stan nie uległ poprawie, podlegały likwidacji. Zostawiano przy życiu wyłącznie te, które wykazywały znaczne talenty paramentalne - a ich liczba okazała się zdumiewająco niewielka. Po latach treningu każdy z nich stał się mentatem na wyjątkowo wysokim poziomie, nie mieli jednak wiele wspólnego z owymi cudotwórcami, na których liczyły władze Agencji. Ich hodowla nastęrczała za to całą masę problemów.

Mumia z Olmar nie była za życia ani anielsko dobra, ani diabolicznie zła. Miała trudny, skomplikowany charakter, z tendencjami zarówno twórczymi, jak niszczycielskimi. Jako dzieci klony Mumii rozbijały zabawki, kaleczyły niewolników i z dużą energią próbowały wymordować się nawzajem. Jako nastolatki wykazywały alarmujące skłonności do przyciągania poltergeistów, popełniały samobójstwa - w ten sposób zginęła jedna piąta z nich - albo usiłowały mordować własnych opiekunów czy partnerów seksualnych. Temperament erotyczny wszyscy mieli ponadprzeciętny, co w okresie dojrzewania, a nawet i później, potrafiło objawiać się klasyczną, kompletną histerią, jakiej nie widziano od czasów Charcota. Nie było łatwo utrzymać w ryzach taką hodowlę. Jedna trudność galopem goniła drugą.

Naukowcy, zdesperowani wątłym zdrowiem, chwiejną psychiką i rozczarującymi zdolnościami klonów wyprodukowanych w inkubatorze, zdecydowali się podjąć próby hodowli in vitro. Znowu kilka lat zbiegło na bezskutecznych usiłowaniach. Kupowano specjalnie dobrane niewolnice, podawano im najróżniejsze medykamenty, oddziaływano biokinetycznie, lecz bardzo długo nie udało się doprowadzić do normalnego rozwoju ciąży. Płody albo obumierały, albo rodziły się zdeformowane.

W końcu odkryto przyczyny konfliktu, znaleziono metodę przeciwdziałania i wyprodukowano dwie małe próbne serie klonów, po pięć sztuk każda. Serie oznaczono symbolami M-1 i M-2.

Jednak i tym razem uczeni się zawiedli. Infopole i psychomatrix klonów serii M nie odbiegało przy narodzeniu od statystycznych wartości otrzymywanych przy hodowli w inkubatorze. Zarządzono zwyczajową trzyletnią obserwację.

Jednym z owych klonów urodzonych przez kobietę był ten, którego później nazwano Unicestwiczem. Z początku opatrzono go tylko numerem M-2-5. Nikt nie wiązał z nim żadnych nadziei. Jego zygota nie stanowiła nawet nanodoubletu zygoty matrycowej; w pośpiechu użyto komórki jajowej pobranej od jego biologicznej matki, która w dodatku wcale nie była jedną z wyselekcjonowanych idealnych samic pseudohomo. Niewolnica przeznaczona na macicę dla M-2-5 nagle zachorowała, i to w awaryjnej sytuacji, gdy nazajutrz mieli zjechać na kontrolę dostojnicy z Arkadii. Użyto więc innej dziewczyny - ładnej Latynoski, prywatnej własności profesora Yamágata, kupionej zaledwie tydzień wcześniej w celu zaspokajania wyłącznie osobistych potrzeb tego ofiarnego naukowca. W pośpiechu i byle jak sformowano in vitro klon M-2-5, po czym implantowano go niewolnicy.

Po urodzeniu nie stwierdzono u M-2-5 żadnych predyspozycji paramentalnych. Przez następne trzy lata M-2-5 chował się na Shambali w jednym z niedużych przedszkoli dla



klonów. Uczeni pragnęli odtworzyć prawdopodobne warunki życia Mumii, więc klony serii M przebywały pod stałą opieką swoich biologicznych matek. Ostatecznie Mumia żyła tak dawno, że być może spędziła dzieciństwo w stadzie rodzinnym, nie w cywilizowanym społeczeństwie.

M-2-5 uważano za przeznaczonego do likwidacji, toteż nie przejmował się nim nikt oprócz matki, ZBX 809. Był cichy i miły, zdrowszy i znacznie spokojniejszy od innych klonów, nie tak egocentryczny jak większość z nich, lecz równie niszczycielski i samowolny. Trzymał się na uboczu i niechętnie uczestniczył w obowiązkowych zajęciach grupowych. Niebawem, gdy ukończył fatalne trzy lata, jedna z przedszkolank w towarzystwie ZBX 809 zabrała go do pobliskiego ośrodka badawczego. Jak można się było spodziewać, odczyt wykazał wartości niewiele przekraczające zero. Dziecko przeznaczone do likwidacji następnego dnia.

W nocy ZBX 809 zabrała synka, opuściła potajemnie miejsce do spania i próbowała przekraść się do teleportera. Próba oczywiście zakończyła się klęską. Kogitery zablokowały zbiegów, po czym przybyło kilku heitai, żołnierzy Agencji, by zabić małego skazańca i zabrać dziewczynę do reedukacji.

Trzyletni M-2-5 zrozumiał, że ci ludzie chcą zrobić jemu i ZBX 809 jakąś okropną krzywdę. Heitai zostali rozniesieni na strzępy. Na zachowanym filmie, nakręconym przez kogiter, wyglądało to, jakby niewidzialny olbrzym poobrywał im ręce, nogi i głowy - klony miały zwyczaj niszczyć w ten sposób zabawki - po czym potężna siła wprasowała szczątki ludzkie w ściany i sufit. Tkanki znajdowano potem na całej głębokości murów. Co działo się dalej, dokładnie nie wiadomo. M-2-5 zablokował cały system kogiterów na planecie i ruszył na kosmodrom, powodując na swej drodze zniszczenia, chaos i śmierć porównywalne z próbą generalną końca świata. Podczas gdy spanikowane, nic nie rozumiejące neurikomy daremnie próbowały opanować sytuację, ZBX 809 razem z dzieckiem wsiadła na jeden ze statków i uciekła w kosmos. Statek odnaleziono godzinę później, pusty i porzucony, wyprany ze wszystkich infośladów tak dokładnie, jakby przeszło przez niego tsunami.

Klątwa Mumii objawiła nareszcie swą pełną, szyderczą zjadliwość. Agencja utopiła olbrzymie pieniądze w eksperymencie „Starzec z Gór”. Po trzydziestu latach usilnych starań zdołała wyhodować jednego jedyne supermentata - po to tylko, by ten wymknął się jej z rąk.

A Mumia jakby tylko na to czekała. Kilkanaście dni po ucieczce M-2-5 nieoczekiwanie rozpadła się w szary proch. W taki sam proch zmieniły się wszystkie jej nanokopie. Zniknęły zapisy dotyczące jej struktury, ba, z pamięci shambalijskich kogiterów

zostały wymazane nawet obrazy planety Olmar, chyba już tylko po to, by dobitnie postawić kropkę nad „i”. Zginęły wszystkie kultury komórkowe wyhodowane z ciała Mumii. Mimo historycznych prób szukania wyjaśnień i winnych, zjawisko pozostało tajemnicą. Sugerowano nie tylko sabotaż, ale wręcz celowe działanie mieszkańców Ense Larran, zaniepokojonych, że eksperyment doprowadził jednak do jakichś rezultatów. Straszliwa Macka Supercywilizacji dosięgła więc oto Shambali i zadała eksperymentowi zabójczy cios.

Agencja nie poddawała się łatwo. Genetycy jeszcze przez wiele lat klonowali klony. Mentaci poniewczasie pojęli, że solaryjskie metody ujawniania talentów są całkowicie nieprzydatne wobec enselinów, odtąd więc chuchali i dmuchali na każdy klon, niezależnie od jego wyników. Psychologowie poddawali trzyletnie klony symulacjom w virtu i w realu, licząc, że śmiertelne zagrożenie znów wyzwoli nieludzki dar. Biolodzy produkowali akcelaratki, biokopie ZBX 809, i indukowali w nich miłość macierzyńską wobec klonów, replikowanych na wzór M-2-5. Wielokrotnie z detalami odtwarzano warunki, w jakich żył Unicestwiaz. Wszystko na darmo. Przypominało to błąkanie się po labiryncie z zawiązanymi oczami w poszukiwaniu nieuchwytnego ducha, którego szyderczy chichot odbija się echem od ścian. Było już jasne, że sam biotyp to zaledwie podstawa, materiał wyjściowy, w niewielkim stopniu wpływający na talenty enselina. Z punktu widzenia ludzkiej genetyki Mumia powinna posiadać co najwyżej przeciętne talenty parapsychiczne. Jednak z punktu widzenia psychomatrix enselina owe przeciętne predyspozycje okazywały się jak najbardziej wystarczające, gdyż wzmacniał je jakiś dodatkowy, nieznaną czynnik. Ale co to był za czynnik? Jaka potężna, pozabiologiczna siła wyzwoliła nieludzką stronę M-2-5? Dlaczego żaden neurikom nie zarejestrował działania tak intensywnej mocy?

Do dziś dnia nikt nie odpowiedział na te pytania. Cała współczesna wiedza solaryjska nie wystarczała nawet, by sformułować sensowną hipotezę.

Żniwo projektu „Starzec z Gór” wyglądało nader smętnie. Przeżyły tylko pięćdziesiąt dwa klony. Inaczej mówiąc, kosztem bająskich sum Agencja zafundowała sobie pół setki mentatów, w porównaniu z Mumią słabych jak zatarte, wyblakłe odbitki. Jedynie M-2-5 okazał się prawdziwym enselinem - i właśnie jego Agencja straciła.

Nowy Reichsführer Agencji nie poddawał się łatwo. Jego poprzednik zapłacił już życiem za stratę M-2-5, bo cesarz nie tolerował błędów swych poddanych. Zanim jeszcze eksperyment „Starzec z Gór” został ostatecznie zamknięty, podjęto akcję o kryptonimie „Assahir”. Słowo to, po arabsku oznaczające czarodzieja, zostało wybrane dla oznaczenia M-2-5 - chyba dlatego, że historyczny Starzec z Gór wyznawał islam - na co dzień jednak uciekinier otrzymał inny roboczy przydomek, nie tak dźwięczny, lecz za to bardziej

obrazowy. Nazwano go Unicestwiaczem. Matka, ZBX 809, dała mu na imię Santiago.

Zmagania Agencji z odmieńcem trwały dziesięć lat. Dzieciak nie był wszechmogący, więc neurikomy prędzej czy później zawsze go lokalizowały, nigdy jednak nie udało się go złapać. Już od samego początku, od dnia ucieczki z Shambali, chroniła go infobariera, blokująca wszelkie zdalne oddziaływania.

Zapewne był to element infopola enselina, bo mały M-2-5 nie umiałby wytworzyć tak ściślej, trwałej zapory, osłaniającej nie tylko jego, ale i całe najbliższe otoczenie. W tej sytuacji o Unicestwiaczu wiedziano praktycznie tyle tylko, gdzie przebywa. A to okazało się niewystarczające.

Najsurowszy krytyk nie posądziłby Agencji o brak pomysłowości. Próbowano naprawdę wszystkiego. Wydawało się, że słabym ogniwem będzie ZBX 809, niewolnica była jednak obdarzona zarówno inteligencją, jak szczęściem. Przez siedem lat Agencja nie zdołała ani jej zabić, ani porwać, ani przekonać do powrotu kuszącymi obietnicami. Zręcznie unikała pułapek; żaden atrakcyjny samiec jej nie uwiódł, nie nabrała się nigdy na chore dziecko czy niegroźną staruszkę, zupełnie jakby ostrzegał ją szósty zmysł. Z natury bystra i nieufna, w sytuacji stałego zagrożenia rozwinęła cechy lekko paranoidalne, co osobom mającym kontakt z Agencją wychodziło raczej na zdrowie. Okazała się zdumiewająco silna. Radziła sobie nawet z własnym synem, co jasno dowodziło, jak niezwykle ma charakter. Tylko wyjątkowa kobieta umiałaby wychować klon Mumii, a w przypadku Unicestwiacza wychowanie zdawało się zadaniem zupełnie beznadziejnym. Tymczasem nie ulegało wątpliwości, że ZBX 809 ma na M-2-5 duży wpływ. To dzięki niej przerażone, bezustannie osaczone dziecko nie zmieniło się w potwora, masakrującego wrogów na oślep.

Jak na swoje możliwości Unicestwiacz zabijał rzadko. Wszyscy, którzy go ścigali, wiedzieli, że tropią odmieńca, nieludzką istotę; niektórzy uważali go wręcz za wcielenie złego ducha. Ale zamiast rozrywać ich na krwawe mięso, M-2-5 wysyłał prześladowców na dalekie, groźne planety. Teleportację traktował jak zabawę. Umiał teleportować wszystko, z sobą samym włącznie, na dowolne odległości. Ani on sam, ani ZBX 809 nigdy przy tym nie ucierpieli, mimo że, statystycznie biorąc, tak liczne skoki bez osłon dawno powinny spowodować w ich organizmach deformacje prowadzące do śmierci. Żaden z przedmiotów, które Unicestwiacz przerzucał ponad trzema wymiarami, nie uległ najmniejszemu odkształceniu. Wszystko, co podróżowało w jego obecności, było bezpieczne. Nie dotyczyło to jednak ludzi, którzy próbowali go schwytać. M-2-5, jak większość dzieci, nie znał litości.

Gdyby Unicestwiacz był człowiekiem, należałoby go uznać za najpotężniejsze medium telekinetyczne w dziejach Galaktyki. Ale w wypadku enselina ludzkie kategorie

traciły sens. M-2-5 nie był przekaźnikiem, lecz obcą, odmienną istotą o samoistnej mocy - uwięzionym w trójwymiarowym ciele przybyszem z nadwymiarów. Zajmował całkowicie niezależną pozycję w światach, które ludzki umysł ledwo muskał. Pod tym względem istotnie dorównywał aniołom czy demonom, jak enselini opisywani przez Ardarena z Ker.

Siedmioletni Unicestwiacz chyba pojął, kim jest. Wysubtelniał. Dotychczas wykorzystywał głównie prostą, choć pełną rozmachu telekinezę. Teraz nabrał pewności siebie - i zaczął się bawić. Pierwszą oznaką zmiany był los kolejnej grupy specjalnej, nasłanej na niego przez agencyjne neurikomy. Grupa składała się wyłącznie z cyborgów-telesymbiontów z kolektywną osobowością. Kolektyw, nie można powiedzieć, zabrał się do dzieła bardzo sprytnie i kto wie, może nawet osiągnąłby cel, gdyby nie to, że jego członkowie w ataku szalu powybijali się nawzajem.

To było coś nowego. Zamiast rozsmarowywać wrogów po ścianach czy wrzucać ich w dalekie oceany wrzącej siarki, Unicestwiacz zaczął eksperymentować z umysłami. Przestrzeń wokół niego dalej szalała anomaliami i zmieniała parametry, rzeczy wciąż ulegały transformacjom, nadal co krok trafiały się fantastyczne przypadki i zbiegi okoliczności, ale wszystko to przestało mu już wystarczać.

Pole do popisu miał coraz większe. Jak można się było spodziewać, akcja „Assahir” nie uszła uwagi obcych wywiadów. Gdy tylko w odpowiednich kręgach rozeszła się wieść, że Agencja Ochrony Dobra z wielkim nakładem sił i środków poluje na cudowne dziecko, natychmiast sporo innych organizacji zapragnęło zdobyć ten cenny obiekt tylko dla siebie. A przecież, na zdrowy rozum, cichy i skryty dzieciak, który w wieku lat trzech zabija ludzi metodą „ręka, noga, mózg na ścianie”, powinien budzić w służbach bezpieczeństwa raczej niepokój niż nadzieję.

Nie wiadomo, kim stałby się w wieku lat osiemnastu, skoro jako ośmiolatek dla zabawy wpędził w głęboką katatonię cały oddział sudańskich najemników. Nie wiadomo również, kto i w jaki sposób mógłby sprawować nad nim kontrolę, skoro nie sposób go było obezwładnić. Nigdy nie udało się podać mu środków farmakologicznych ani zarazić nanomerami, bo bezbłędnie przewidywał każdą taką próbę. Dorosły Unicestwiacz mógłby stanowić problem na skalę całej ludzkiej Galaktyki.

Lecz problem nigdy nie powstał. Tuż po swoich dziesiątych urodzinach Unicestwiacz zniknął.

Jego psychonamiar zapadł w nicość. Żaden neurikom nie był w stanie go zlokalizować. Zniknęła również ZBX 809. Po okresie paniki i gorączkowych poszukiwań myśliwi przyczaili się w oczekiwaniu. Ktokolwiek zawłaszczył skarb, prędzej czy później

zechce go użyć...

Od tamtej pory minęło osiemnaście ziemskich lat. Agencja przez cały czas prowadziła monitoring, nieznużenie przeczesując pole informacyjne. Aktywny Unicestwiazcz pozostawiał ślady, słabe echa zdarzeń, niczym kręgi rozchodzące się po wodzie. Jego potężna, obca moc nie mogła działać niezauważona.

Nasłuch był o tyle trudny, że we Wszechświecie stale obserwowano tysiące zjawisk, z którymi ludzka wiedza nie umiała się uporać. Infotronicy i specjaliści od nadwymiarów bezskutecznie usiłowali znaleźć naukowe wzory dla zdarzeń, zachodzących w różnych miejscach, lecz powiązanych w nieustalony sposób. Kto wie, może to właśnie Unicestwiazcz stanowił klucz do zagadki. Z niepojętych przyczyn, wbrew statystykom i obliczeniom infopola, jego miejsce działania często stanowiło lokalną oś, oddziałującą na cały system. Jeśli zatem w jakimś punkcie znanego Wszechświata kumulowały się zakłócenia w Metawymiarze, jeśli częściej niż zwykle występowały tam niezwykle i niewytłumaczalne wydarzenia, to - po eliminacji innych przyczyn - można by to przypisać działalności Assahira. Lecz choć zlokalizowano wiele takich osi, Assahir pozostawał nieuchwytny.

Może już nie żył. Może na zawsze przeniósł się do nadwymiarów. Może teleportował się dokądś w bezmierne czeluście kosmosu, daleko poza kwazary, do innej Metagalaktyki. Może prześlizgnął się do hipotetycznego równoległego wszechświata, o ile taki istniał. Niewykluczone, że upomniała się o niego sama żeglująca w chmurach Ense Larran. W Galaktyce w każdym razie go nie było. Wszystkie solaryjskie neurikomy upierały się przy tym z niezachwianą pewnością.

- Unicestwiazcz miałby dziś dwadzieścia sześć arkadyjskich lat... czyli dwadzieścia osiem i pół roku Ziemi - powiedział cicho Dag, wpatrzony w dane. - Na ile oceniasz temporalny wiek Juna?

- Dwadzieścia sześć arkadyjskich, plus minus rok. Poszukajmy. Mamy do czynienia z klonem, który urodził się w latach 308 do 310.

Chwilę później Wojownicy w milczeniu patrzyli na ekran. W poszukiwanym przedziale wieku oprócz Unicestwiazcza mieściły się tylko dwa inne klony: N-165, który zaginął w akcji przed ośmiu laty, oraz M-1-1, który stale pracował dla Agencji, jako jedyny poza Assahirem ocalały z serii M.

- Gdybym miała dostęp do pełnych danych, mogłabym łatwo ustalić, od której niewolnicy pochodzi jego mitochondrialne DNA. Wtedy wiedzielibyśmy, czy jest synem ZBX 809. Ale w bazie Fulkona brakuje danych o matkach klonów.

- Widocznie nie było ich w zasobach Peng Lai. Trzeba by sięgnąć na Shambalę, ale to

oznacza ogromny pobór mocy. Spójrz, Jun musiał przejść operację plastyczną. Prawdziwa twarz dorosłej Mumii wyglądała inaczej. Ktoś go zakamuflował, ale po co? Eksperyment nadal jest ściśle tajny. Prawdopodobieństwo, że dwa klony spotkają się przypadkowo, graniczy z zerem.

- Przecież klony bywają porywane. Są używane jako matryce do hodowli dalszych klonów. Zobacz, tu piszą, że N-165 trafił w ręce Ningsz... Może to on? Bo przecież nie Unicestwiaz. Pomyśl, to nie ma sensu. Oni próbują zdobyć jakąś informację czy rzecz z Instytutu Ksenologii. Unicestwiaz mógłby sprowadzić wszystko, co zechce, w dowolny punkt Galaktyki. Nie musiałyby tkwić na Sanyasinie.

- Niezupełnie. Za drogo by go to kosztowało. Ale to nie on. Wystarczy, żeby pojawił się w promieniu dziesięciu tysięcy lat świetlnych od Arkadii, a cały System zostanie poderwany tak błyskawicznie, jakby ktoś kopnął w tyłek samego świętego cesarza. Pamiętaj o nasłuchu. Na orbicie Patni pracują dwa neurikomy, w tym jeden zaraz koło nas, tu na Sanyasinie. Unicestwiaz zostałby namierzony w ciągu paru sekund. I to z dokładnością do metra kwadratowego.

- Jest już dorosły. A jeśli w ciągu tych osiemnastu lat jego moc tak się rozwinęła, że teraz może sobie gwizdać na cały nasłuch kosmosu?

- Nie. To enselin. Ich moc nigdy się nie rozwija.

- Nie możesz tego wiedzieć na pewno - zaprotestowała Oria.

- Owszem, wiem. Na tym polega jedna z najważniejszych różnic między psychomatrix enselina a psychomatrix człowieka czy podczłowieka. Moc enselinów jest stabilna, tak jak moc neurikomów i kogiterów. Nie podlega wahaniom, stale wykazuje ten sam poziom. Enselini mogą ją udoskonalać, tak jak ćwiczy się wzrok albo słuch, ale zasadniczo jej nie zmieniają. Jeśli Unicestwiaz żyje, ma moc identyczną jak w wieku trzech lat. Tyle, że mógł się nauczyć inaczej ją stosować, na przykład do retrognozy czy uzdrawiania... Chociaż, o ile pamiętam, uzdrawiać to on się nigdy nie nauczy. Jego dar ma taką właśnie skazę.

- No dobrze. Skoro to nie Unicestwiaz, musi być którymś z pozostałych dwóch.

- M-1-1? Nie wiem... Agencja na pewno penetruje środowisko emigrantów solaryjskich. Ale żeby wyznaczać do tego akurat klon Mumii? Dlaczego grupa Raszda miałyby być aż tak ważna?

- Więc co? N-165? Szpieg ningszański szpiegujący szpiegów medyjskich w Sol Wangkuo? Nie za dużo tego dobrego?

- Może N-165 wpadł w ręce Medy, nie Ningsz? - powiedział Dag bez przekonania. - To by nam pasowało, tylko że nie zgadza się z danymi Agencji, a oni przecież najlepiej

powinni wiedzieć, gdzie zniknął ich własny klon.

- Agencja może się mylić. Wiesz, Dag, to świetne rozwiązanie! N-165 wpadł w ręce Medycyków, którzy zmienili mu osobowość. To dlatego stał się autentycznym fanatykiem religijnym. Głowę daję, że Jun naprawdę wierzy w swój joszuityzm!

- Nie szastaj tak głową, drugiej łatwo nie kupisz. Możliwe, że on po prostu świetnie udaje. Klony były szkolone w udawaniu, wiesz chyba?

- Bo ty, Dag, jesteś strasznie przyziemny. Zero, po prostu zero zrozumienia dla mistyki. Przyznaj się, lekceważysz nawet klątwę Mumii!

Dag uśmiechnął się.

- A tak, Straszliwa Klątwa Pradawnej Mumii. Że też wybitni naukowcy dali się nabrać na taki wyświechtany numer!

- Przecież od lat twierdzisz, że Agencja to zbiorowisko starannie wyselekcjonowanych, najlepszej jakości durniów. Pamiętasz, jak ich kiedyś nazwałeś? „Horror śnieżny”. Bałwan na bałwanie i bałwanem pogania. Nie twoje słowa?

- No, trochę może przesadziłem... Ich głupota czasem działa mi na nerwy.

- A ja najbardziej lubię właśnie ich głupotę. Ten, kto rozpuścił pogłoskę o klątwie, musiał wiedzieć, że oni tam na Shambali mają fioła na punkcie okultyzmu, nekromancji i nieśmiertelności.

- Jasne. Założę się, że to była jakaś rozgrywka wewnątrz Agencji.

- Ale wracając do Juna, ty go po prostu nie rozumiesz. Jun to artysta. A ze wszystkich religii to właśnie katolicyzm najbardziej popierał sztukę, więc Jun choćby dlatego mógł zostać katolikiem. Nawiasem mówiąc, Unicestwiacz nazywał się Santiago. A to joszuickie imię, braciszku...

Dag spojrzał na nią z ironią.

- A Shengli Xiang nosi imię po Janie Ewangelście. I co z tego, siostrzyczko? Bądź realistką. Jun to pewnie M-1-1, a szpiegów Agencji może być w grupie Raszda jeszcze więcej. Zresztą co tam Agencja, Urząd do Spraw Podludzi też rekrutuje podludzką agenturę, Gindzaye również. Każdy z podludzi Raszda może donosić do jakiejś solaryjskiej instytucji.

Oria skrzywiła się, ale nie zaprzeczyła.

- Swoją drogą... - zaczęła. - Sanyasin krąży tak blisko Dakini. Co za dziwny przypadek. Klon Mumii znalazł się w pobliżu prastarej siedziby enselinów...

- To co? Żadne z nich nie interesuje się Dakini, nawet Jun. Oni planują jakąś dywersję w Instytucie Ksenologii.

- Ciekawe jaką.

- Jeszcze nie wiem. Nas w to w każdym razie nie wciągną - odparł Dag spokojnie.  
Nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko się pomylił.



## Rozdział XVI

- Skończyłem! - oznajmił Igor z satysfakcją.

Szeroko rozłożył ramiona i przeciągnął się, aż stawy trzasnęły.

- Skończyłem, Aune, słyszysz? Mam wszystko!

- Bardzo się cieszę - odparła Aune z machinalną uprzejmością. Podniosła się; trzy złote cienkie bransoletki, które nosiła na przegubie, zabrzęczały cicho, gdy sięgała po infodysk.

- To do jutra.

- Dlaczego aż do jutra? - Igor wstał.

Wyszli z dyspozytorni na błękitny, ciemnowy korytarz.

- Muszę trochę popracować.

- Nie przesadzaj. Razem możemy spędzić czas o wiele przyjemniej.

- Wiesz, naprawdę jestem zajęta. Wyprzedził ją jednym długim krokiem i stanął, z rękami z obu stron wpartymi w ściany korytarza, blokując jej przejście. Znajdowali się przed drzwiami jego kajuty.

- Za parę dni opuścimy Sanyasin. Nie uważasz, że dość czasu już zmarnowaliśmy, ty i ja? - wyszeptał, nachylając się.

Poczuła falę ciepła, bijącą od jego ciała. Gorący oddech tchnął jej prosto w twarz, niosąc woń ziołowego płynu do ust. W błękitnym świetle jasne włosy Igora przybrały zielonkawy odcień, a twarz zdawała się sina, metaliczna.

- Chcę się z tobą kochać. Dzisiaj. Teraz.

Aune westchnęła. W słowniku Igora chyba nie istniało pojęcie „niezobowiązujący flirt". Ale z niego jeszcze smarkacz. Pewnego dnia jakaś dziewczyna bezpardonowo sprowadzi go na ziemię. Ona sama miała zbyt miękkie serce.

- Wiesz przecież, że to niemożliwe...

- Dlaczego niemożliwe? Bardzo mi się podobasz. Jesteśmy dorosłymi ludźmi.

- Przede wszystkim jesteśmy katolikami.

- Nie pleć bzdur. Jakoś cię to nie powstrzymało, żeby pójść do łóżka z Junem, co?

Aune uniosła brwi.

- Ach! Wolno wiedzieć, skąd zaczerpnąłeś tę informację?

- To nie ma nic do rzeczy. Dość, że wiem. Więc przestań mydlić mi oczy religią.

Podobasz mi się, Aune. Co nam szkodzi zabawić się trochę?

Prymitywna obcesowość, stwierdziła z niesmakiem. Strasznie mu brakuje wdzięku. Tracił u niej punkty z sekundy na sekundę.

Pokręciła głową i odsunęła się poza zasięg jego rąk. Igor wodził rozplomienionym wzrokiem po jej biodrach, opiętych zgrabnymi spodniami. Szczęście, że miała na sobie luźny, gruby sweter. Odkąd przyleciała na Sanyasin, ubierała się wyłącznie w stylu sportowym. Nie ma sensu nosić prowokujących sukienek w ciasnej, odizolowanej stacji, po której obija się pięciu beczynnych mężczyzn.

- Nie, Igor... Jun był kiedyś moim narzeczonym, mieliśmy się pobrać... Ty i ja znamy się jeszcze zbyt krótko, zbyt pobieżnie... Nie jestem gotowa, by rozpocząć tę fazę naszego związku.

- Związku? - powtórzył Igor bezmyślnie.

Podniosła ku niemu prześliczne, ufne oczy.

- Ależ tak. Ty również bardzo mi się podobasz. Jesteś taki przystojny, taki męski! I przecież na pewno będziemy się jeszcze spotykać na Medzie. Zrozum... to wymaga czasu. W przyszłości, kto wie... Kiedy oboje będziemy już absolutnie pewni, że do siebie pasujemy... - posłała mu wymowne spojrzenie. - Ale to poważna decyzja, i z twojej, i z mojej strony. Przecież mówimy o naszej wspólnej przyszłości.

Igor patrzył na nią, zarazem zły i spłoszony.

- Słuchaj, nie bierz tego tak serio. Przecież nie musimy od razu...

- Nie przyspieszaj normalnego biegu rzeczy - poprosiła łagodnie, przybierając swój najbardziej anielski wyraz twarzy. - Związek dwojga ludzi powinien się opierać przede wszystkim na trwałych uczuciach. Jedynie wtedy będzie głęboki i szczęśliwy.

Igor cofnął się o krok.

- Jak chcesz. Twoja strata!

Odwrócił się i zniknął za drzwiami swej kajuty.

- Całkiem nieźle - odezwał się z półmroku cichy, ironiczny głos.

Aune drgnęła.

Zza zakrętu korytarza wyszedł Jun.

- Podśluchiwałeś!

- Miałem szlachetne intencje. Czuwałem, żeby w razie potrzeby rzucić się na ratunek. Ale jak zwykle sama sobie poradziłaś.

- Z Igorem? Pewnie. To tylko z tobą sobie nie radzę. Wszyscy inni mężczyźni nie stanowią problemu.

- Co zrobisz, jeśli weźmie cię za słowo?

- On? - zaśmiała się. - Gdybym jeszcze raz wymówiła słowo: „związek”, uciekłby z krzykiem!

- Na przyszłość bądź ostrożniejsza. Rozum nie rządzi się popędami. Są mężczyźni, których w ten sposób nie powstrzymasz.

Stali, patrząc na siebie w niebieskawym półmroku. Zupełnie odruchowo, nie myśląc, Aune wyciągnęła rękę, jakby chciała go dotknąć.

Jun gwałtownie zrobił krok w tył. Wyraz jego twarzy zmienił się natychmiast. Nie spoglądał już na nią, jak przed chwilą, z mieszaniną łagodności, tęsknoty i pożądania. Oczy nagle chłodne, rysy twarde - inny człowiek. Znieruchomiał. Czekał.

Ręka Aune opadła.

Nastała dłuższa chwila ciszy. Żadne się nie poruszyło ani nie odezwało. Nareszcie Jun westchnął głęboko, jakby zabrakło mu tchu. Bez jednego słowa ominął Aune i nie obejrzwawszy się zniknął w dyspozytorni.

Poczawszy od następnego dnia rozkład zajęć dwóch członków załogi uległ radykalnej zmianie. Igor miał czas całkowicie wolny, więc wylegiwał się do późna, oglądał lokalną parvití - co wciągnęło go ogromnie, gdyż na Medzie, gdzie się wychował, nie używano dotąd nawet prostej holowizji - albo krążył po stacji, docinając Junowi. Za to Bard, do tej pory pograżony w błogim nieróbstwie, nagle stał się zdumiewająco zajęty. Całymi godzinami tkwił w dyspozytorni i intensywnie nad czymś pracował.

Trzeciego popołudnia wezwał do siebie całą załogę. Wojownicy zostali zupełnie sami.

- Popatrz tylko. W ich ufnych umysłach nie zaległo się jeszcze podejrzenie, że komputer stacji może zawieść - zadrwił Dag.

- Coś się szykuje - odparła Oria trzeźwo.

Poszli do swojej kajuty. Dag obudził drzemiącego Fulkona.

- Pokaż dyspozytornię.

Cała załoga, jak się okazało, siedziała wokół głównego ekranu, ukazującego plan Instytutu Ksenologii. Na bocznych ekranach wyświetlały się dodatkowe informacje, a w powietrzu wisiał wielki hologram wyspy, na której leżał Instytut. Bard Stapleton zaczynał właśnie objaśniać plan akcji.

Oria i Dag słuchali w zupełnym milczeniu.

- Wiesz, co to znaczy - odezwał się w końcu Dag. - Jutro musimy uciec.

Oria skinęła głową. Niestety, musieli. W żaden sposób nie mogli dopuścić, by ktoś im zrobił niekontrolowaną mentoskopię. A takie właśnie plany mieli szefowie Suleya.

- Porwiemy statek z Instytutu?

- Nie wiem - mruknął Dag ponuro. - Masz lepszy pomysł?

Spojrzeni na siebie. Już to omawiali.

Dag mógł wejść do lokalnego systemu kogiterów - w Instytucie albo na Chantico, wszystko jedno - i rozkazać, by kogiter nadzorujący kosmodrom przysłał statek do zamaskowanej medyjskiej bazy. Ale Cuniraya to strefa zamknięta, wszystkie ruchy statków są monitorowane, a na kosmodromie przez całą dobę dyżurują żywi ludzie. Dyżurny, z niedowierzaniem przecierając oczy, ujrzy, jak kosmolot bez pilota wylatuje na zewnątrz. Zapyta, co się dzieje. Neurikom stwierdzi, że nie wie i bardzo mu się to nie podoba, po czym skontroluje kogitery. Wtedy wykryje włamanie Daga. Natychmiast porozumie się z neurikodem Instytutu, który zrobi u siebie taką samą kontrolę i wykryje włamanie Igora. Medyjscy szpiedzy wpadną w ręce Agencji, a kosmolot też daleko nie zaleci.

Żeby tego uniknąć, należało opanować neurikom.

Tylko że to było rozwiązanie doraźne. Szpiedzy owszem, wrócą ze swej akcji, Dag i Oria znikną w kosmosie, ale rano, kiedy okaże się, co ukradziono, wybuchnie potworna afera. Agencja przeprowadzi w Instytucie śledztwo i logicznie wydedukuje, że ktoś musiał, po prostu musiał, włamać się do neurikomu - czyli dokonać niemożliwego. A kiedy raz na to wpadną, staną na głowie, żeby ustalić, kto to zrobił i w jaki sposób... Dagowi zimno się robiło na myśl o konsekwencjach. Cholera - będą go tropić wszystkimi siłami, rzucą każdy oddział, zaprzęgą każdy mózg! Niech się schowa akcja „Assahir"! Ktoś, kto umie opanować neurikom, jest dla nadludzi stokroć groźniejszy od Unicestwacza.

Na dobrą sprawę powinien zabić wszystkich tych szpiegów. I to już teraz, w nocy, zanim wyruszą na akcję i narobią zamieszania. Przynajmniej będzie pewien, że nigdy go nie wsypią. Niestety pomysł, choć praktyczny, miał dwie wady. Po pierwsze, Oria z miejsca zaprotestowała. „Nic złego nam nie zrobili", powiedziała ze złością. „Traktują nas doskonale. Lubię ich. A jeśli będziesz zabijał podludzi, do których nic osobiście nie masz, tylko dlatego, że kiedyś mogą ci niechcący zaszkodzić, to staniesz się taki jak Shengli Xiang!" Argument był niezły, bo na samą myśl, że miałyby upodobnić się do swego nauczyciela i mistrza, Dagowi robiło się niedobrze.

Po drugie, sam też nie chciał ich zabijać. Byli dziwni. Nietypowi. Kompletnie, fascynująco odmienni od wszystkich osób, które dotąd znał. Z punktu widzenia jego interesów, darowanie im życia było błędem. Ale ich śmierć byłaby zbrodnią, jak zniszczenie cennych, unikatowych okazów sztuki.

- Nie ma dobrego wyjścia. Jedyne, co by nas uratowało, to żeby oni sami porwali

statek i przylecieli nim tutaj. Wtedy można by wszystko zrzucić na nich.

- Wiesz co? Kiedy już będą w Instytucie, możesz wejść do neurikomu i tak na nich wpłynąć, żeby zapragnęli wrócić statkiem, nie grawilotem. My zgarniemy kosmolot, oni uciekną przez teleporter. I wszyscy będą bezpieczni.

- Niezła myśl, Oria, tylko że to wcale nie musi wypalić. Rozumiesz, to podludzie. Z ludźmi jest łatwiej, bo mają w mózgu taką masę implantów, że neurikom może ich łatwo zahipnotyzować. Z tymi tutaj będą kłopoty, zwłaszcza z Junem. On nie tylko nie pozwoli narzucić sobie pomysłu, ale natychmiast zorientuje się w infiltracji.

- Spróbujmy, Dag. Co nam szkodzi? W najgorszym razie zostaje wariant trzeci.

Dag skrzywił się. Wariant trzeci zakładał obezwładnienie obcych szpiegów i ucieczkę na Medrahin przez tutejszy teleporter. Korytarz gdzieś ich przecież wyrzuci, a dalej przebiją się ogniem lub wezmą zakładników. Drobnym problemem polegało na tym, że pojęcia nie mieli, co znajduje się po drugiej stronie korytarza. A mogło tam być wszystko. Na przykład tajna baza, uzbrojona po zęby, nadzorowana przez obcy kogiter, który porazi niedoszłych terrorystów, zanim się nawet obejrzą.

- Wolałbym już osobiście pofatygować się do Instytutu - mruknął.

Jak się niebawem okazało, wymówił to w złą godzinę.

\*

Śniadanie następnego ranka upłynęło w prawie zupełnym milczeniu. Nawet gaduła Bard z roztargnieniem pochłaniał posiłek, zaabsorbowany własnymi myślami.

- Niao Ichi, dzisiaj razem z Aune zajmiesz się pakowaniem i sterylizowaniem stacji z infośladów - polecił Sule, gdy jedzenie zniknęło już ze stołu.

- Wracacie do domu?

- Tak. Ale najpierw wybieramy się na małą wycieczkę. Wy dwie zostaniecie na stacji. Yaoying poleci z nami.

Dag drgnął, Oria zbladła. O niczym takim nie było wczoraj mowy!

- Co z nim chcecie zrobić? - syknęła Wojowniczką. Jej wielkie, szare oczy zwięzły się w szparki. Nagle stała się uderzająco podobna do brata.

- Poleci z nami?! - wykrzyknął jednocześnie Igor. Chwilę patrzył na Suleya osłupiały, a potem z pasją rąbnął pięścią w stół. - To już, do diabła, przesada!

- Przyda nam się zawodowy komandos - wyjaśnił Sule spokojnie.

- W jaki sposób zamierzasz mnie zmusić? - spytał Dag z chłodnym, bezosobowym zainteresowaniem.

- Nie idź! - Oria złapała go za rękę.

- Chyba nie wyraziłem się jasno. Nie chcę cię zmuszać. Jeśli pójdziesz dobrowolnie, zapłacę ci za udział w wyprawie.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Dostaniesz hipnoinduktor i podrepczesz grzecznie jak mechaniczny piesek.

- Czemu tak ci zależy?

- Porywamy się na niebezpieczną rzecz. Może nam się przydać wyszkolony zabójca, taki jak ty.

- Ile chcesz mi zapłacić?

- Tysiąc czerwonych.

- Za mało.

Igor wstał od stołu, odsuwając fotel z taką siłą, że wiklina aż trzasnęła pod jego ręką.

- Sule, ty oszalałeś. Ta kreatura zdradzi nas wszystkich!

- Nie przypuszczam. Yaoying nie jest głupi - odparł Sule z flegmą. - Triada Trójgłowego Smoka od kilkunastu dni próbuje ustalić, co przytrafiło się dwojgu oficerom, którzy wystartowali z Ziemi, ale nigdy nie dotarli na Ken Angrok. Nasza stacja jest tak dobrze ekranowana, że jasnovidze tongu na pewno ich tu nie namierzeli. Lecz jeśli ktoś z nas wpadnie w ręce Agencji, wystarczy jedna mentoskopia i nagle okaże się, że nasz Yaoying bynajmniej nie zabląkał się w zwichrowanym tunelu, nie padł ofiarą nieciągłości w nadwymiarach, wrogiego ataku ani podstępnej dywersji, tylko po prostu zdezerterował. Zwykłą koleją rzeczy wiadomość o tym trafi do triady. Chciałbyś być wówczas w skórze naszego Yaoyinga, Igor?

Leniwy, powolny sposób mówienia Suleya jakoś uspokoił Igora. De Courcy łypnął na Daga ponuro, lecz więcej nie protestował.

Dag i Oria milczeli. Mentaci z Ken Angrok nie stanowili dla nich takiego zagrożenia, jak wyobrażał sobie Raszd. Na czele zespołu jasnovidzących stała Lafken Ayllu Achawáll. Lafken, choć obdarzona wybitnym darem, miała własne powody, by zataić dezercję Yaoyinga. Była tak łagodna i miła, jak tylko to możliwe u kobiety urodzonej i wychowanej w tongu, więc mało kto zdawał sobie sprawę, że nienawidzi swego brata-męża, Shengli Xianga, nienawiścią równie cichą i bezgraniczną, jak nienawiść Daga. Obecne układy na Ken Angrok przedstawiały się tak, że dezercja Yaoyinga bardzo by wzmocniła pozycję Shengli Xianga wśród Hierarchów. Lafken robi zatem wszystko, co w jej mocy, by nie wyszło to na jaw.

- Więc na ile wyceniasz swoje usługi, Zaniewski? - zagadnął Sule spokojnie.

Twarc Daga była zupełnie pozbawiona wyrazu.

- Zależy, co planujecie zrobić.

- Chcemy dostać się potajemnie do Instytutu Ksenologii i wykraść pewną osobę, którą Agencja tam przetrzymuje.

- I w tym celu niezbędny jest fachman od mokrej roboty?

- Przydasz się.

- Mam nadzieję, że i ty zdajesz sobie sprawę z sytuacji. Ja też sporo o was wiem. Jeśli zamierzasz sprzedać mnie Agencji, na twoim miejscu dwa razy bym się zastanowił.

- Doskonale to rozumiem. Nie sprzedam cię.

- Zabijanie ludzi to ryzykowny proceder, Raszd.

- Podaj swoją cenę.

- Planowałem zabrać z twojego statku sześć tysięcy czerwońców. Nie lubię, gdy ktoś udaremnia moje plany.

- Co ci przyjdzie z czerwońców, jeśli zginiesz? - spytała ostro Oria.

- Żądasz sześciu tysięcy? - upewnił się Sule przeciągle. - Nie za dużo jak za parę godzin fatygi?

- Mylisz się, Raszd. Żądam więcej. Chcę sześciu tysięcy... i Igora.

- I co? - Sule był pewien, że się przesłyszał.

- Igora. Tu obecnego. O nazwisku tak wymyślnym, że zdążyłem je zapomnieć. - Nie spuszczać oczu z Suleya, Dag nieznacznym ruchem głowy wskazał skamieniałego ze zdumienia de Courcy. - Chcę go na własność, do wykorzystania w dowolny sposób.

- Nie dotkniesz go nawet palcem - głęboki, basowy głos Suleya zabrzmiał jak pomruk nadciągającej burzy.

- Palcem nie muszę. Nóż wystarczy mi najzupełniej.

Zapadła chwila głuchej ciszy, jakby wszyscy wstrzymali oddech. Oczy Wojownika zdawały się być jasne i przejrzyste jak lód, twarz przybrała wyraz ponurego okrucieństwa.

- Nie pozwalaj sobie - ostrzegł Sule. Rozparł się w fotelu, kładąc rękę na płaskim owalu miotacza. Miotacz, przyssany do skórzanego pasa, pod wpływem dotyku włączył się natychmiast.

- W porządku. Trzy tysiące plus Igor. Jestem otwarty na negocjacje.

- Zaniewski, zaczynasz mnie nudzić - wycedził Medyczyk. - Masz dziesięć sekund na decyzję: dostajesz trzy tysiące i lecisz dobrowolnie, albo wzywam healera z hipnoinduktorem.

Dag milczał. Aune, która dobrze знаła Suleya, mimo woli złapała się na odliczaniu; raz, dwa, trzy...

- Zgoda - odezwał się Yaoying w dziewiątej sekundzie.

Sule wstał, mierząc go pośpym, nieprzyjaznym wzrokiem.

- Od Igora masz się trzymać z daleka.

- Kto płaci, ten wymaga - zgodził się Dag. - Wasz Yaoying zna zasady gry.

Bard przyjrzał się Zaniewskiemu, tknięty nagłym podejrzeniem. Jego niebieskie oczy błysnęły.

- Dag, ty złośliwy draniu! Nabrałeś nas!

Dag podniósł się zza stołu.

- Skoro lecę, chcę dostać broń.

- Psychopata! - zgrzytnął Igor z pasją. Zaciśnął pięści. Oblicze miał purpurowe ze złości. - Dajcie mu broń, i to zaraz, żeby mógł nas jak najszybciej wymordować! No, dajcie! Przeklęta banda samobójców!

Bard pokręcił głową.

- Sule, ty to lepiej przemyśl. Taka okazja już się nie trafi. Kto jeszcze zechce kupić Igora, i to praktycznie na wagę złota? Na świecie nie ma aż tylu wariatów!

- Jazda, sprzedaj mnie! Weź te trzydzieści srebrników!

- Słyszysz? Ja tam bym nawet Dagowi dopłacił, żeby go tylko sobie wziął!

- Cała kwota - oznajmił Dag - jest płatna z góry.

- Zaraz dam pieniądze twojej siostrze.

- Ja ich nie chcę! - Oria wzięła się pod boki. Jej pociemniałe oczy zdawały się ogromne w szczupłej, wytatuowanej twarzy. Już ich nie mrużyła. Patrzyła wprost na brata. - Proszę cię, Dag, nie idź. Może oni specjalnie ściągnęli nas na Sanyasin, żeby cię rzucić Agencji na pożarcie!

Sule nie odpowiedział. Spochmurniał jeszcze mocniej. Za to Bard podszedł do Wojowniczkę i serdecznie objął ją ramieniem.

- Nie bój się. Sule nigdy w życiu nikogo nie zdradził. To nie w jego stylu. Nie chcemy zrobić Dagowi nic złego.

Oria cofnęła się, rzucając mu nieufne spojrzenie.

- Nie idź z nimi, Dag - powtórzyła z uporem.

- Przecież słyszałaś - odparł Dag. - Twój były niewolnik ma własną definicję dobrowolności.

- Nie musisz iść!

- Nie muszę - zgodził się. - Czyli co, wariant trzeci?

Dziewczyna zamilkła.

Zaciskając usta, przyjęła od Suleya pakiet z kwadratowymi sundańskimi monetami i zaczęła je starannie przeliczać.



- Dag, pozwól na chwilę - odezwał się Jun półgłosem. - Chcę zamienić z tobą parę słów.

Wyszli na korytarz. W niebieskawym półmroku twarz Juna wyglądała jak metaliczna maska. Ciemne włosy zdawały się głęboko, matowo czarne.

- To był mój pomysł.

- O czym mówisz?

- Dziś rano poprosiłem Suleya, żeby zabrał cię z nami. Jestem mentatem grupy. Ja wiem, że coś pójdzie źle. Czekają nas kłopoty.

- I co, mam wam pomóc?

- Nie o to chodzi. Twoja obecność zmieni konfigurację zdarzeń.

- W jaki sposób?

- Jeszcze nie wiem.

- Nie specjalizujesz się w prekognicji?

Jun popatrzył na niego z zadumą.

- Ty nie masz żadnych zdolności parapsychoicznych, Dag. Nie żałuj tego. Ta ścieżka często zwodzi... pojęcia nie masz, jak często. Ludzie idą za swym darem jak za błędnym ognikiem i lądują na trzęsawiskach. Jasnowidze znają tylko wycinek przyszłości. Odbierają fragmenty, przebliski, wizje... nieraz mylne. Czasem potrafię określić dokładny bieg wydarzeń, a czasem widzę drogi, które dopiero się kształtują. Pracowałeś z prekognostami, Dag. Sam wiesz, że to subtelna sztuka.

Dag skrzywił się nieznacznie.

- Rzadko korzystałem z podludzkich mentatów. Baza Migong jest silnie ekranowana, mentaci nie mają tam warunków do pracy. Rozumiem, że tobie żaden ekran nie przeszkadza. Zlokalizowałeś przecież Raszda, więc musisz mieć moc o maksymalnych parametrach.

- Jestem niezły - przyznał Jun zupełnie obojętnie - ale nie wszechwiedzący. Nie mam pojęcia, co zdarzy się w Instytucie. Po prostu wyczuwam zagrożenie.

- Raszd musi bardzo liczyć się z twoimi przecuciami. Płaci mi po królewsku. Długo się znacie?

- Osiem lat.

Osiem lat! Dag z trudem ukrył zaskoczenie.

Jeśli Jun nie kłamał, to by raczej wykluczało jego tożsamość jako M-1-1. Agencja nie zamroziłaby na tak długo żadnego z cennych klonów Mumii, chyba że stawka w grze byłaby naprawdę wielka.

Pozostawał N-165. Klon, który zaginął przed dziesięciu laty.

- Czy Igor wie, że jesteś mentatem grupy?

- Nie. On do nas nie należy. Na Sanyasinie odbywa tylko próbę.

Dag chętnie pytałby dalej, lecz Jun jakby pożałował, że udzielił informacji. Zmienacka odwrócił się plecami i wszedł do jadalni.

Kilka minut później wszyscy byli już w służbie. Oria milczała. Przywykła nie okazywać bratu publicznie żadnych serdeczności, więc i tym razem nawet go nie uścisnęła. Aune za to ucałowała Barda w policzek i nakreśliła w powietrzu znak krzyża.

Dag nie był przesądny. Mimo że krzyż uchodził w Sol Wangkuo za złowróżbny symbol, nie przejął się zupełnie. Zdziwiony, szybko spojrzał na pozostałych, lecz z jakichś niepojętych powodów ci heretycy przyjęli jak rzecz zupełnie oczywistą, że dziewczyna pokazuje im na drogę znak śmierci ich Boga. Bard uśmiechnął się i pociągnął ją za blond loczek.

- Nie martw się. Jak dobrze pójdzie, kolację zjemy już na Medzie.

I wyruszyli.

## Rozdział XVII

Pierwszą część drogi, od momentu, gdy w służbie stacji wsiedli do grawilotu, Dag odbył z zasłoniętymi oczami. Sule kazał mu sięść z tyłu, a że grawilot był ciasny, Yaoying tkwił ściśnięty między Medycykiem a Bardem niczym między parą strażników.

Przez około pół godziny lecieli w niemal zupełnym milczeniu. Wreszcie Bard trącił Wojownika i zdjął mu kaptur z kasku.

- Teraz już możesz podziwiać krajobraz.

Z początku Dag ujrzał na ekranach tylko kłęby szarozielonej, jasnej mgły.

Sanyasin miał gęstą atmosferę, o składzie zupełnie odmiennym od ziemskiej. Gdyby człowiek wciągnął do płuc haust tutejszego powietrza, nie przeżyłby dłużej niż kilkanaście sekund. Średnia temperatura powierzchni wynosiła około minus dwustu stopni Celsjusza. Nie odkryto tu żadnego życia organicznego, nawet w postaci jednokomórkowców, istniały natomiast prymitywne formy nieorganiczne.

Za dnia górne warstwy atmosfery fosforyzowały, dając wrażenie lśniącego, pomarańczowego nieba, po którym przesuwała się złotawa Patni. W południe Patni zajmowała już praktycznie cały nieboskłon; Potem, w miarę, jak zmieniała się pozycja księżyca, zza olbrzymiej rozmazonej tarczy planety wyłaniały się coraz większe połacie nieba. Wieczorem, gdy Patni zachodziła, niebo przybierało barwę intensywnie karmazynową. W nocy panowały niezgłębione ciemności, gdyż przez górne warstwy atmosfery nie przenikało światło żadnej gwiazdy. Cała sanyasińska doba trwała około czterdziestu jeden godzin - czasem więcej, czasem mniej, bo obrót satelity podlegał niewyjaśnionym wahaniom, podobnie jak ciśnienie i ciśnienie. Pogodne dni stanowiły rzadkość. Zazwyczaj niebo ledwo przeblyskiwało przez grube warstwy zielonkawych chmur. Opary gromadziły się nad powierzchnią księżyca, formując mgły, wiry i niewielkie trąby powietrzne. Chociaż więc Patni dawała dużo światła i dni były jasne, widoczność spadała czasem do paru metrów.

Przemieszczali się z obszarów, na których wstawał dzień, ku innym, gdzie panowała głucha noc. Kiedy Dag wreszcie mógł spojrzeć na ekrany, Patni chyliła się już nieco ku zachodowi, przezierając zza kłębiastych chmur.

Sanyasinski krajobraz był księżycowy co się zowie. Wszystkie jego formy powstały z lodu, oczywiście nie w rozumieniu ziemskim. Tutejszy lód składał się głównie z zestalonych związków amoniaku i miał kolor kremowożółty. Teren był jednostajnie płaski, gdzieniegdzie

tylko poprzerywany uskokami albo zapadnięty w nieckowate wgłębienia kraterów. Wszędzie na równinach sterczały lodowe iglice, niczym lasy cienkich, ostrych stalagmitów. Wśród lodu płynęły rzeki zimnego ciekłego metanu, które wpadały do kraterów, tworząc ciemnozielone jeziora.

Jun i Igor tkwili w milczeniu na przednich siedzeniach; Dag dostrzegał tylko tył ich kasków. Sule drzemał. Jego szeroka pierś unosiła się w rytm powolnego, regularnego oddechu. Bard przeglądał jakieś wyrisy architektoniczne. Wszyscy byli w lekkich próżniowych skafandrach, lecz hełmy mieli otwarte - na razie mogli jeszcze oddychać powietrzem produkowanym i przetwarzanym przez grawilot.

- Kiedy będziemy na miejscu? - zagadnął Barda Zaniewski.

- Za godzinę. Chcesz obejrzeć mapy? Masz komplet danych w protektorze. Kazałem je przekopiować do wszystkich skafandrów.

Dag sprawdził to od razu. Komputer skafandra, zwany protektorem, istotnie wiedział na temat Instytutu wszystko, co tylko Igor zdołał wyciągnąć z tamtejszych kogiterów.

- Satelity nas nie widzą?

- Grawilot ma osłony.

- Kim jest ta osoba, którą chcecie zabrać z Instytutu?

- To dziewczyna. Naukowcy znaleźli ją na Dakini.

- Dakini?

- To ten księżyc, gdzie znajduje się kompleks architektoniczny Ense Larran. Licho wie, po co enselini wzniesli placówkę w tak bezsensownym miejscu. W każdym razie to jedyna ich budowla, która leży w obrębie Sol Wangkuo. Właśnie dlatego cały układ gwiazdy Cuniraya jest strefą zakazaną. Dakini nie ma żadnej atmosfery, ale wewnątrz budowli jest powietrze, w dodatku aseptyczne. Kilkaset lat temu, kiedy u nas dopiero zaczynał się schyłek demokracji europejskiej, na Dakini już pracowali archeolodzy z Endellaani. Coś ci ta nazwa mówi?

- Tyle co wszystkim.

Endellaani należała do najbardziej zaawansowanych ludzkich cywilizacji Galaktyki. Jej mieszkańcy trzymali się na dystans od innych światów, ograniczając swą aktywność do własnych obszarów gwiazdnych. Co tam robili, nikt nie wiedział. Nie tylko żaden Solaryjczyk, ale żaden w ogóle obcy przybysz nigdy nie postawił tam stopy. Zajęci sami sobą, nie interesowali się innymi kulturami i chyba traktowali je z pogardą.

- Dakini to jedno z najściślej strzeżonych miejsc w Sol Wangkuo - ciągnął Bard półgłosem. - Tylko niektórzy aminowie i niektórzy nadludzie mają prawo dostępu. Kompleks

budowli nosi kryptonim Sankara III. Są tam jaskinie, jeziora gazowe i coś, co nazwano zespołem świątynnym, chociaż na dobrą sprawę nie wiadomo, co to jest. Naukowcy z Sanyasina stale tam latają, tutejsza filia Instytutu Ksenologii powstała właśnie dla badań nad Sankarą III... No i miesiąc temu znaleźli tam dziewczynę.

- Kim ona jest?

- Wygląda jak kobieta z jednej z ras endellaańskich, ale genetycznie to mieszaniec człowieka i enselina. Oczywiście ktoś musiał ją sztucznie wyhodować, bo oba gatunki normalnie się nie krzyżują.

- Skąd się wzięła na Dakini?

- Nie wiadomo. Nie przyleciała statkiem, żadnej teleportacji też nie odnotowano. Kamery zarejestrowały, jak wychodzi prosto z gazowego jeziora. Te jeziora ciągną się pod ziemią setkami kilometrów. A dziewczyna nic nie pamięta. Zero, totalna pustka. Ktoś jednak nauczył ją lansaya, bo mówi całkiem płynnie. Nie zna żadnego innego języka.

- To współczesny lansaya?

- Jak najbardziej. Jedyne, co wie o sobie, to jak ma na imię. Dla nas jej imię i tak jest niewymawialne: Lughszemqharcoś tam, po „r” idą zupełnie obce głoski przez trzy następne sylaby. Ksenolodzy mówią na nią Lugszem.

- Po co wam ona?

Bard wzruszył ramionami.

- Nam? Po nic. Dostaliśmy rozkaz, żeby ją odbić Agencji, i tyle. Nie mam pojęcia, jaki pożytek przewidują z niej moi przełożeni. Szczerze mówiąc, sam się zastanawiam.

Lądolód obniżył się i urwał. Wylecieli niespodziewanie nad otwarty ocean.

W tej strefie czasowej zapadła już atramentowo czarna noc. Grawilot opadł nisko w dół, niemal muskając metanowe fale.

Fale były ogromne, kilkumetrowe. Ocean kipiał jak wściekły kocioł czarownic.

- Tu tak zawsze? - mruknął Dag, obserwując przez filtr noktowizyjny kipieli szalejącą pod grawilotem.

- Teraz to jeszcze nic. Najgorsze piekło robi się w południe i o północy. To wpływ pola grawitacyjnego Patni.

Schodzili coraz niżej. Fale łomotały o pancierz, rozpryskując się w mroku. Jun, który pilotował, włączył osłony i łomot ustał jak ucięty nożem. Zanurzyli się pod powierzchnię oceanu. Otoczeni pęcherzem z pół sunęli przez potężne wiry, aż wreszcie dotarli do głębin, gdzie ruch cieczy uspokoił się pod naporem ciśnienia olbrzymich mas, płynących wyżej. Otaczała ich całkowita ciemność.

- Instytut leży na wyspie - powiedział Bard do Daga. - Dostaniemy się tam od strony dna oceanicznego.

- Muszą mieć jakieś czujniki czy sieci ochronne.

- Mają. Ale nie wykryją nas. Igor pomajstrował trochę przy ich systemie ostrzegania.

Kim oni są? - zastanawiał się Dag, obserwując grupę Raszda. Najpierw sami włamali się do sieci, potem sami zgromadzili dane, sami opracowali plan działania, a teraz sami go realizują... Łączą role Netu Dżarih, sztabowców i komandosów. W dodatku ni stąd, ni zowąd przyjęli dwoje zbiegów z triady, co już bije na głowę wszelkie rekordy absurdu. Żaden wywiad tak nie pracuje. Więc z czyjego rozkazu działają ci podludzie?

Bard był strategiem grupy. Chyba nie po raz pierwszy planował operację. Wpadł na znakomity pomysł, genialny w swej prostocie. Po co forsować skomplikowane zabezpieczenia, włamywać się od strony ziemi, atakować z powietrza czy wysyłać nanoformy strzeżonymi kanałami odpływowymi lub wentylacyjnymi? Bard wykorzystał przeciw ludziom ich własny projekt techniczny. Instytut zbudowano na wyspie, utworzonej, jak wszystkie sanyasińskie lądy, przez zmarznięty na kamień lód - twardy jak granit, zestalony tak mocno, że utrzymałby największy ciężar. Każdy lód ma jednak to do siebie, że topi się pod wpływem ciepła.

Bard zamierzał wypalić w lądolodzie wąski kanał, przez który grawilot dotrze daleko w głąb wyspy, dokładnie pod zabudowania Instytutu. Igor dostarczył dane o rozlokowaniu i czułości wszystkich detektorów. Chociaż systemy ostrzegania zostały unieszkodliwione, Bard na wszelki wypadek wyznaczył trasę i zaprogramował temperaturę w ten sposób, by kogitery nie wykryły żadnych zmian w otoczeniu.

Minęło pół godziny, nim przez ogromne masy ciekłego metanu dotarli do ściany lądolodu. Wówczas rozpoczęły pracę termogeneratory grawilotu. Metan przed dziobem zmienił się nagle w obłok gazu; stopiony blok lodowca spłynął w okamgnieniu, pozostawiając regularną, głęboką niszę. Grawilot wskoczył w nią natychmiast, a solidne pole siłowe oddzieliło go od oceanu. To był dopiero początek; teraz musieli pozostawić za sobą tak grubą barierę ponownie zmrożonego lodu, by metanowy ocean nie zdołał wtargnąć do tunelu.

Czas płynął powoli. Dag przymknął oczy.

Podniósł głowę dopiero wtedy, gdy Stapleton klepnął go w ramię.

- Hej, pora wstawać!

Wszyscy wokół w milczącym skupieniu zatrzaszywali hełmy, włączali wytwarzacze powietrza i starannie sprawdzali hermetyczność skafandrow. Skafandry miały ciemne, matowe powłoki, których zarysy zdawały się lekko zamazywać. Mężczyźni wyglądali w nich

jak szare cienie.

Sule odczekał, aż Dag jako ostatni zamknie hełm. Potem, po dłuższej manipulacji przy pancernym włączniku, otworzył grawilot i wyjrzał w mrok.

Pojazd stał w nieprzebitych ciemnościach na krańcu tunelu, pośród milionów ton lodu. Przez filtr noktowizyjny Sule ujrzał, że przed dziobem wznosi się popękana ślepa ściana, ledwo widoczna spod dziesiątków grubych sopli. Tyle zostało z potężnego muru, który kiedyś niczym bastion otaczał tę część Instytutu.

- Doskonale, Bard! Twoje obliczenia zgodziły się co do centymetra.

Dwadzieścia kilka lat wcześniej przez Sanyasin przeszło trzęsienie ziemi o niespotykanej sile. Instytut został częściowo zniszczony. Niefortunnym trafem zdarzyło się to akurat w drugiej połowie roku arkadyjskiego; w budżecie Cesarskiej Akademii Nauk zabrakło pieniędzy na całościową odbudowę. Zrekonstruowano zatem najważniejsze ośrodki, zaś remont pozostałej części pomieszczeń odłożono na później, wznosząc jedynie mocne grodzie, które miały zablokować potencjalny dostęp atmosfery. Prowizorka, jak to bywa, okazała się najtrwalsza. Remont odkładano z roku na rok, aż wreszcie uznano za bezcelowy. W zrujnowanych pomieszczeniach mieściły się poprzednio pralnie i magazyny. Ponieważ po trzęsieniu ziemi rozplanowano je gdzie indziej, ta część Instytutu przestała być w zasadzie potrzebna. Nikt z niej nie korzystał, a teraz, po tylu latach, nikt już nawet o niej nie pamiętał.

Sule miotaczem wypalił w ścianie wielki otwór.

Otwór zionął czernią. Mur był gruby na kilka metrów i tak spękany, że groził osunięciem. Jeden za drugim szybko zanurzyli się w ciemność.

Za murem leżała dawna śluza ochronna, pusta i zimna; potem trafili na wewnętrzną ścianę. Wybijając w niej dziurę, dostali się do ogromnego magazynu.

Dziura, jak się okazało, leżała pod sufitem hali magazynowej, około ośmiu metrów nad poziomem podłogi, musieli więc po kolei skakać na lewitatorach. Sule i Jun stali już na ziemi, Bard miękko lądował koło nich, a Dag szybował w powietrzu, gdy usłyszeli krzyk Igora.

Igor spadł jak kamień.

Dag po drodze złapał go za rękaw skafandra, przytrzymując na moment, lecz skafander wyslizgnął mu się z rękawicy, a Igor poleciał dalej. Sule skoczył z wyciągniętymi ramionami, schwytał go i od razu postawił na nogi tak pewnie, jakby ciężar mężczyzny walącego się z wysokości ośmiu metrów był nie większy niż piórko.

- Co się stało?

Igor zaklął. Obmacał się odruchowo, jawnie nie dowierzając, że jest cały i zdrowy.

- Musisz mieć uszkodzony lewitator - stwierdził Sule. - Nie sprawdziłeś skafandra?

- Przecież to ty miałeś je wszystkie sprawdzić!

- Wczoraj lewitator był w porządku... - Sule urwał. - Jasne - mruknął po chwili. - Skontrolowałem cztery skafandry, a jest nas pięciu.

- To przez tego przeklętego bandytę!

- Gdyby ten przeklęty bandyta cię nie przytrzymał, nie zdążyłbym cię złapać - zauważył Sule spokojnie. - Dam ci lewitator ze skafandra Lugszem. Najwyżej trzeba ją będzie nieść.

Odpiął go, rozwinął i włączył, czekając, aż uformuje się w kształt człowieka.

- Przez twoje niedbalstwo mogłem skrócić kark! - warknął Igor. Zaczynał odreagowywać niedawne przerażenie.

Bard usadził go natychmiast:

- Ale jakoś nie skrzyłeś. I nawet języka sobie nie przygryzłeś! Przestań skomleć. Sule nie jest twoją niańką. Miałeś obowiązek sam sprawdzić skafander po włączeniu. To podstawowa rzecz!

Hala, do której przed chwilą zeskoczyli, ciągnęła się na długość czterdziestu metrów. Widziana przez filtry noktowizyjne, zionęła mroźną, ciemną pustką. Temperatura, wedle odczytu protektorów, wynosiła minus sześćdziesiąt dwa stopnie Celsjusza. Szcątkowa atmosfera składała się z pozostałości powietrza, nieskażonego, zbyt jednak rzadkiego, by dało się nim oddychać. Trujące wyziewy Sanyasina nigdy tu nie wtargnęły - kilometry zmarzniętego na głaz lodowca tworzyły wokół zrujnowanej hali obręcz równie hermetyczną jak najlepsze grodzie.

W czasach, gdy hala była używana jako magazyn, działało tu kilka platform transportowych, z których każda przesuwała się w pionowym szybie jak winda. Platformy kursowały między magazynem, leżącym najniżej, a poziomami technicznymi, naukowymi, mieszkalnymi i rekreacyjnymi. Dwa ocalałe szyby, prowizorycznie wzmocnione, stanowiły dziś pozostałość po tamtych czasach. Jeden z nich miał wciąż drożne połączenie z rekreacyjną częścią Instytutu.

Kwadratowy wylot wydawał się być nie tknięty kataklizmem, gdy jednak Sule wetknął głowę do środka, ujrzał gruz i powyginane pręty, blokujące niemal zupełnie światło szybu.

- Zobacz - skinął na Barda.

Bard zobaczył, ale nie przejął się wcale.

- Szyb jest zasypany tylko na dole, na wysokość trzech, czterech metrów. Na dziewiątym metrze leżą grodzie, a wyżej już droga będzie luksusowa.



- Skąd wiesz? Tu nawet nie ma Oczu kogitera - zauważył Igor z powątpiewaniem.  
- Zrobiłem symulacje. Wiem, jakie skutki mógł spowodować w takiej konstrukcji wstrząs o sile dwudziestu stopni w skali Du Kwanga.

- Obyś się nie przeliczył.

- Wchodzimy - powiedział Sule. - Pamiętajcie, żeby poruszać się cicho. Poziomy techniczne kończą się o piętnaście metrów stąd w górę, dalej leży trzynastometrowa warstwa amortyzująca, a wyżej zaczynają się już poziomy naukowe. To terytorium wroga.

- Wiemy, wiemy - machnął ręką Igor. - Nie musisz powtarzać.

Szyb był w bardzo kiepskim stanie mimo utrzymujących go stalowych obręczy. Trzy płaskie grodzie, jedna nad drugą, oddzielały część zniszczoną od nadal używanej. Każda z grodzi została wykonana z dwudziestocentymetrowej warstwy sendzeinitu.

Sendzeinit uchodził za najtrwalszy znany materiał, ale i na niego były sposoby. Sule i Bard przymocowali do grodzi przenośny morfer, który szybko i bezszelestnie dokonał transmutacji fragmentu sendzeinitu w pokrewną strukturę, tyrolit. Tyrolit w normalnych warunkach cechował się fantastyczną twardością, lecz zupełnie nie nadawał się na Sanyasin, gdyż pękał pod wpływem mrozu. Wystarczyło, by Sule raz jeden uderzył swą wielką pięścią, a część grodzi, która przebiegała przez szyb, rozprysła się na setki drobnych odłamków.

Bard miał rację - powyżej grodzi szyb był pusty i całkowicie drożny. Włączyli lewitatory i pofrunęli w górę.

Szczytowy wylot znajdował się w podziemiach części rekreacyjnej. Luk był od dwudziestu lat zabezpieczony przylutowaną metalową płytą. Sule wyciął ją laserem i po kolei prześlizgnęli się przez otwór.

Od razu się okazało, że nie mogą wstać. Pułap sufitu biegł tak nisko, że Sule, odruchowo próbując się wyprostować, rąbnął o niego hełmem i ramionami.

Znaleźli się w rozległym podziemiu technicznym, które ciągnęło się pod całym parkiem. Za dnia przebywały tu wyłącznie bioautomaty, lecz o tej porze przechodziły regenerację. W Instytucie Ksenologii panowała głęboka noc.

Posuwali się z trudem wśród grubych gorących rur, plątaniny przewodów, dudniących miarowo agregatów i całego systemu urządzeń grawitonicznych. Bard prowadził. Kilkakrotnie zatrzymywał się i zastanawiał, porównując trasę wprowadzaną na bieżąco do pamięci protektora z tą, którą zaplanował na stacji. Pozostali sunęli za nim, skuleni w pół, niekiedy z konieczności opadając na czworaki i szorując po szorstkiej nawierzchni kolanami i rękawicami. Szczupły, niewysoki Jun i sprężysty jak akrobata Dag radzili sobie znakomicie, lecz Sule, przy swojej posturze, musiał posuwać się cierpliwie i raczej powoli. W egipskich

ciemnościach podziemi orientowali się tylko dzięki noktowizji.

Bard obejrzał się na swoich towarzyszy i parsknął cichym śmiechem.

- Wyglądamy jak gromadka garbatych krasnali, idących na ratunek Królownie Śnieżce.

Hej ho, hej ho! - zanucił.

- Lepiej się zamknij, Stapleton - burknął Igor. - To ty wybrałeś tę trasę. Mówiłem, że łatwiej będzie dostać się od strony parkingów!

- Igor, odpuść sobie chociaż raz - westchnął Bard.

Ale przestał nucić.

- Jesteśmy - zameldował spokojnie parę minut później.

W niziutkim suficie widniał zarys kamiennej prostokątnej płyty. Sule dźwignął ją na własnych barkach. Uniosła się z głuchym zgrzytem.

Ujrzał nagle nad głową aksamitną noc i łagodnie mrugające gwiazdy. Tak wyglądałoby niebo nad Sanyasinem, gdyby blask gwiazd mógł przebić się przez atmosferę.

Płyta, którą podniósł, stanowiła element ozdobnej posadzki w małej altance, porośniętej pnącymi chińskimi różami. Róże pachniały słodko. Powietrze zdawało się wilgotne jak po deszczu, choć rośliny nie były mokre. Wokół rozpościerał się park, tonący w głębokim półmroku.

Park istniał naprawdę, nie był iluzją. Miał powierzchnię dziesięciu kilometrów kwadratowych i każde jego drzewo żyło, każde źdźbło było autentyczne. Przez bujną trawę wiodły ścieżki, wysypane bielutkim żwirem, nocą oświetlone fantazyjnymi kolorowymi latarenkami. Nie zaprojektowano tu żadnych wystrzyżonych klombów. Trawa rosła swobodnie, jak na dziczalej łące pełnej polnych kwiatów. Gdzieś tam tryskały malutkie, starannie obudowane fontanny, zawsze pełne świeżej i zdrowej wody. Był tu nawet staw, po którym pływały łabędzie. W dalszych częściach parku żyły oswojone sarny. Rankiem już od świtu słyszało się świergot prawdziwych arkadyjskich ptaków. Teraz, dwie godziny po północy, panowała cisza, tylko drzewa szumiały, a puszczyk pohukiwał gdzieś w mroku.

- Idziemy - mruknął Sule. - Szybko!

Kogitery Instytutu zostały przez Igora przeprogramowane tak, żeby tej nocy nie zauważać intruzów, ale nie gwarantowało to bezpieczeństwa. Roboty i ludzie mogli ich dostrzec, a neurikom - gdyby przyszło mu na myśl skontrolować teren - ujrzałyby ich jak na dłoni. Każda dodatkowa chwila zwiększała ryzyko.

Istniało tylko jedno wyjście z parku do segmentów mieszkalnych - przez oświetlony ażurowy pawilon. Droga nie była ani kodowana, ani strzeżona.

O tej porze nocy pawilon powinien stać zupełnie pusty. Na to liczył Bard.

Rachuba jednak go zawiodła.

## Rozdział XVIII

Pawilon wyglądał jak srebrna sieć, rozpostarta na tle nieba i podtrzymywana kolumnkami. W jasno oświetlonym wnętrzu stały białe plecione fotele i białe stoliki z napojami. Lampy rzucały błądy księżycowy poblask na zieleń trawy i krzewów.

Z jednej strony wzniesiono coś w rodzaju ogrodzenia, bujnie porośniętego bluszczem. Mężczyźni ostrożnie dotarli tam i cicho przypadli do ziemi.

Na trawniku przed pawilonem leżało dwoje nastolatków. Śliczna dziewczyna, smągła i szczupła, opierała się na łokciu, patrząc na chłopca, zawadiackiego skośnookiego rudzielca. Chłopak, wygodnie rozłożony, popijał amritę. Oboje nosili na czołach czarne biochipy, oznaki najwyższej ludzkiej kasty. Byli aminami. Hierarchicznie ustępowali tylko nadludziom.

- To dzieci tutejszych pracowników naukowych - Bard odruchowo zniżył głos, choć przecież tamci i tak nie mogli go usłyszeć. Hermetyczny skafander pozwalał choćby na jodłowanie.

- Dzieci? - powtórzył Igor, nie pojmując. - Jak to, dzieci?

- No, mają gdzieś ze czternaście lat.

- Przecież w Sol Wangkuo ludzie są bezpłodni. Powstają w inkubatorach.

- Tak, ale to aminowie.

- No i co z tego?

- Aminowie sami wychowują swoją młodzież. Nie wiedziałeś o tym? Te dzieciaki są uprzywilejowane. Formalnie znajdują się pod nadzorem państwa, ale faktycznie mają osobistych ludzkich opiekunów. Rok szkolny spędzają w internacie, a większość wakacji z opiekunami. Teraz, Igor, zaczęły się właśnie wakacje.

- Cicho - mruknął Sule. - Posłuchajmy.

Para nastolatków na trawniku prowadziła leniwą, beztroską rozmowę. Widać było jak na dłoni, że oboje czują się w Instytucie Ksenologii swobodnie i u siebie. Ani piękno parku, ani niewątpliwie olbrzymi koszt jego utrzymania nie robiły na nich najmniejszego wrażenia - były rzeczą oczywistą, słusznie im należną.

- Spotkałam Seczen w tantralogu - mówiła dziewczyna, bawiąc się od niechcenia kosmykiem czarnych włosów.

- Seczen? W tantralogu? - zdziwił się rudzielec. - Przecież ona zamierza zostać Doskonałą.

- Już jej się odmieniło. Przystąpiła do kogitystów.

- I słusznie. Kogityści mają rację. Człowiek to zwykle zwierzę, zbyt materialne, żeby marzyć o Perfekcji. A Dobrzy Ludzie są głupi. Doron Dżuns powiedział: „Jakiej potwornej trzeba pychy, żeby tytułować się Doskonałym!” Kogitery i neurikomy dotarły o wiele bliżej Perfekcji, choćby dlatego, że nie mają ciała.

Ale czarnulka zupełnie nie była zainteresowana dyskusją na tematy religijne.

- Seczen mówiła, że startujesz w olimpiadzie młodzieżowej.

Być może Seczen był chłopcem albo obojnakiem. Język xinés nie znał rodzajów. Jednego i tego samego zaimka używano na oznaczenie archaicznych słów „on”, „ona” i „ono”. Kogitery Urzędu do Spraw Populacji nadawały dzieciom imiona i nazwiska wybierane losowo z bardzo długiej urzędowej listy, nie różnicując według płci. Równouprawnienie, jak wszystko w Sol Wangkuo, zostało przeprowadzone z żelazną konsekwencją.

- Na eliminacjach planetarnych dostałem najwięcej punktów ze wszystkich zawodników na Marsie - rzucił od niechcenia rudzielec. - Podobno mam szansę.

- Kiedy zaczyna się olimpiada?

- Za trzy miesiące.

- Musisz pewnie dużo trenować.

- Ćwiczę jogę, aikido, fechtunek i akrobację sportową. Codziennie biegam dwie godziny po parku. Znam tu już każdą wiewiórkę. No i oczywiście wkuwam teorię.

- Liane mówi, że zdobyłeś mistrzostwo juniorów na Kudym Osz.

- Jestem całkiem niezły w pilotażu. Jeden sędzia mi powiedział, że większość dorosłych pilotów lata gorzej ode mnie.

- Skoro tak, może byś mnie zabrał na Dakini?

- Jasne. Kiedy chcesz lecieć?

- Jeszcze nie wiem. Muszę spytać Liane. Ryukan powiedział, że wolno nam będzie latać po księżycach Patni dopiero wtedy, kiedy ekipa obronna rozmieści w układzie nowe satelity. Bez sensu, prawda? - dziewczyna wzruszyła ramionami. - Przecież tu jest tak spokojnie...

- Tak, ale podobno ma być wdrożony jakiś zupełnie nowy program. Może ktoś próbuje sabotować Instytut. Przecież w całej Galaktyce zazdroszczą nam naszych osiągnięć.

- To ma coś wspólnego z albinoską z Sankary III?

- Możliwe.

Dziewczyna kiwnęła głową, tracąc całe zainteresowanie.

- Widziałam ją. Nic specjalnego. Brzydka jak noc.

- Nie powinnaś jej była oglądać. To zabronione.

Czarnulka uśmiechnęła się przekornie.

- Naprawdę? Popatrz tylko, nie miałam pojęcia!

- A pytałaś?

- Po co? Żeby mi zakazali?

Nieoczekiwanie w środku pawilonu pojawił się słup jasnego światła. Spomiędzy blasku wyszedł rosły mężczyzna rasy belo, o jasnobrunatnej skórze i skośnych oczach. Podobnie jak dwoje nastolatków był ubrany w dres, uszyty z materiału najwyższej jakości i doskonale skrojony.

- Gudrun! Ollantay! - zawołał zdziwiony. - Co wy tu robicie o tej porze?

- Dawno się nie widzieliśmy - wyjaśnił rudzielec, nie ruszając się z miejsca. - Ollantay przyleciała dopiero dziś wieczorem.

- Miyoko i Wołodi już śpią. Na was też pora - odparł mężczyzna, siadając w fotelu i nalewając sobie amrity do jednorazowego kubka.

- Czy Gudrun będzie mógł zabrać mnie na wycieczkę do Sankary III? - spytała Ollantay z prośbą w głosie.

- Za kilka dni. Dziś rano, jak wiecie, przyleciała z Shambali ekipa obronna. Kiedy już się u nas urządzi i obstawią orbity Patni nowymi, ulepszonymi satelitami, będziecie sobie do woli latać na wycieczki.

- Miyoko opowiadała mi dziś niesamowite rzeczy o Sankarze III, o świątyniach, ruchomych freskach, jeziorach dymu... Naprawdę Sankara jest tak wspaniała?

- Jest piękna - odparł krótko mężczyzna. - Przekonasz się.

- Właściwie nie rozumiem, panie profesorze, czemu Instytut zbudowano tutaj, a nie tam, blisko zabytków. Na Sanyasinie nie ma przecież nic prócz lodu.

- Do wszystkich obcych obiektów należy podchodzić ostrożnie. A już zwłaszcza jeśli przypisujemy te obiekty cywilizacji Ense Larran.

W białej ścianie na tyłach pawilonu bezdźwięcznie otworzyło się półkoliste przejście. Smukły, na oko osiemnastoletni chłopak o wyglądzie Azjaty wszedł i uklonił się trojgu aminom. Jak wskazywała oznaka na czole, należał do siudrów, do personelu technicznego. Miał dyskretne makijaż i bardzo seksowny chód.

Profesor widocznie oczekiwał jego przybycia. Wstał, nie dopijając napoju, i poufale objął chłopca w pasie.

- Miło cię widzieć, Qilin. Chodź, zobaczymy, czy sarny już wyszły na gody.

Czule objęci, ruszyli w głąb parku jedną z czyściutkich, bajkowych ścieżynek.

Ukryci za żywopłotem mężczyźni zamarli w napięciu. Ścieżka, którą kroczyła przytulona para, wiodła łukiem w ich stronę. Na szczęście po krótkiej chwili kochankowie skręcili między drzewa, zanurzając się w łagodny mrok.

Ollantay ze zdumieniem pokręciła głową.

- Przecież profesor Tulk Mu jest okropnie stary. Ma chyba ze czterdzieści lat, może nawet więcej! Co ten Qilin w nim widzi?

- Ollantay... - zaczął chłopak z wahaniem. Łagodnie musnął dłonią jej dłoń. Dziewczyna cofnęła rękę, ale zerknęła na niego i uśmiechnęła się.

- Dam ci jeden taniec na balu, chcesz?

- Na jakim balu?

- Jutro wydajemy wieczorek taneczny z okazji przybycia oficerów z ekipy obronnej. Jest ich czworo, wiesz, i cała masa prostych heitai. Miyoko i ja poprosimy nasze opiekunki, żeby załatwiły zgodę na bal maskowy. Jeszcze nie wiem, za kogo się przebiorę. Może za średniowieczną damę japońską?

- Ja... no... mogę być samurajem.

- Świetnie.

- Ollantay...

Dziewczyna zaśmiała się i podniosła, strzepując ze spodni źdźbła trawy.

- Chodź, już naprawdę strasznie późno.

- Posiedźmy jeszcze. Taka ładna noc.

- Muszę jutro... To znaczy właściwie dzisiaj... wcześniej wstać.

- Jak chcesz... - Gudrun stanął koło niej.

Dziewczyna znów zerknęła na niego spod grzywki. Rudzielec niezręcznie dotknął jej dłoni. Moment później, trzymając się za ręce, wkroczyli w słupek światła i znikli z pawilonu.

Bard wstał natychmiast.

- Ruszcie się, idziemy, zanim znów się tu pojawią jacyś miłośnicy saren. Nawiasem mówiąc, Igor - dodał zimno - to miło, że dowiedzieliśmy się o ekipie obronnej z Shambali. Szkoda tylko, że nie od ciebie.

- A czego byś chciał? - warknął Igor gniewnie. - Od rana do wieczora byłem tak zajęty szukaniem odpowiedzi na twoją listę pytań, że na nic innego nie miałem czasu.

- Tłumacz się, jak chcesz. Spaprałeś robotę.

- Nie pora na pretensje - mruknął Sule. Podszedł do półkolistych drzwi na tyłach pawilonu i wyjrzał ostrożnie.

- Droga wolna. Żadna następna parka na razie się nie zbliża.

- Miłe dzieciaki - rzekł Igor z pewnym zdziwieniem. - Nie wiedziałem, że aminowie żyją tak... tak - normalnie. Wydają się szczęśliwi, nawet sympatyczni. A ja myślałem, że ich kasta to sami skończeni psychopaci.

Nikt mu nie odpowiedział. Pięć ciemnych sylwetek jedna po drugiej zniknęło za drzwiami.

Zupełnie jakby wkroczyli w inny świat. Park nagle wydał się odległy o lata świetlne.

Znaleźli się w segmencie mieszkalnym. Ani łagodne, kremowe światło, ani kolorowe drzwi do kolejnych pomieszczeń nie zdołały zamaskować zimnego, maszynowego charakteru wnętrza. Wszystkie korytarze stykały się zawsze pod kątem prostym. Drzwi były rozmieszczone w identycznych odległościach. Panowała sterylność czystości; prawie czuło się woń płynów do szorowania. Jedyłą oznakę życia stanowił fioletowobłękitny fotoksyntetyzujący porosty ściany. Sufit znajdował się tak nisko, że Sule musiał o niego hełmem, a płynące z niego światło było jednolite, bardzo jasne, nie dające cieni.

Bard nie zostawił im czasu na rozglądanie się dokoła. Prowadził szybko i pewnie. Przemykali korytarzami bezszelestnie jak duchy; podeszwy butów w ich skafandrach nie czyniły hałasu na żadnym podłożu. Cały poziom wionął pustką. Nie spotkali bodaj jednego automatu. Było coś niepokojącego w tej ciszy, w pustych na przestrzał korytarzach, w nieludzkiej martwocie architektury. Instytut zdawał się równie nieprzyjazny jak lodowe, najeżone iglicami równiny Sanyasina.

Półenselinka Lugszem nie powitała ich jak wybawców. Ale też trzeba przyznać, że ani trochę nie przypominała uciśnionej branki.

Gdy Sule przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności otworzył pancerne pomieszczenie, gdzie ją trzymano, oczom mężczyzny ukazał się przestronny, luksusowo wyposażony apartament, tonący w łagodnym półmroku. Apartament składał się z dwóch dużych pokoi. W jednym z nich na owalnym łożu, w jedwabnej pościeli, spała dziewczyna o egzotycznej urodzie, ułożona wygodnie niczym królowa. Jej włosy zdawały się białe na tle różowej poduszki. Dziewczyna miała ciemnobrązową karnację i zupełnie obce rysy twarzy, do tego stopnia niepodobne do żadnej z ras ziemskich, że w pierwszej chwili umysł z trudem je przyswajał. Wyglądała jak gad o trójkątnym, płaskim pysku. Nie była ładna, czy to wedle estetyki europejskiej, czy współczesnej. Posiadała za to wspaniałe bujne ciało, ubrane w seksowną nocną bieliznę.

Gdy Sule szarpnął ją za ramię, poruszyła się i ziewnęła jak kotka.

- To ty, Yukio? - zamruczała sennie, podnosząc wzrok.

Wyłupiaste, okrągłe oczy, niemal pozbawione białek, wyglądały jak reflektory,



umieszczone nad nosem tak szerokim i spłaszczonym, że wydawał się zajmować większość twarzy. Olbrzymie tęczęwki miały barwę karminową.

Widząc nad sobą pięć postaci w ciemnych skafandrach, Lugszem drgnęła i zmrużyła powieki. Nie krzyknęła. Nie wydała nawet westchnienia. Popatrzyła na przybyszów z zimnym, kalkulującym zaciekawieniem.

Sule przełączył fonię, żeby mogła go usłyszeć.

- Ubieraj się i chodź - polecił.

- Kim jesteście? - zapytała w lansaya. Miała dziwną wymowę, wyraźną, ale mocno syczącą, i zaskakująco niski głos.

- Zabieramy cię z Sol Wangkuo.

- Co mi da, jeśli pójdę z wami?

Dag pomyślał, że pytanie jest nader do rzeczy. Medyczyk nie był jednak nastawiony na negocjacje. Wyjął miotacz zza pasa. To ją ruszyło. Odrzuciła pościel.

- Zaczekaj!

Sule nie zaczekał. Ani mu się śniło wlec po wraźnym terytorium oporną kosmitkę. Oczy dziewczyny zaszyły mgłą; upadła bezwładnie na łóżko. Sule bez ceregieli przerzucił ją sobie przez ramię.

Bard aż zagwizdał, mierząc wzrokiem pełnym uznania tę część ciała Lugszem, która właśnie znalazła się tuż przed jego nosem.

- Niezła jest... Ho, ho, naprawdę niezła. Sule, a może to ja bym ją poniósł?

- Znikamy stąd - mruknął Medyczyk.

- Jasne. Ech, najlepiej to być szefem - westchnął żałośnie Bard. - Ja mogę sobie tylko pomarzyć. Jestem biedny mały zuczek...

- A jakże - przytaknął Sule, idąc szybko ku drzwiom. - Ofiara mojej bezdusznej tyranii.

- Żebyś wiedział. Pozwól przynajmniej, żebym to ja ubrał ją w skafander!

- Zrobimy to w parku.

Wrócili tą samą drogą, którą przyszli.

Z początku szło im doskonale. Jeden jedyny bioautomat, który napotkali po drodze, został przez Daga obrócony w zwęgloną masę, zanim pozostali mężczyźni zdążyli choćby złapać za broń. Poruszali się bardzo szybko i to właśnie ich uratowało, przemierzyli już bowiem większą część drogi przez podziemia parku, kiedy nagle nadeszła katastrofa.

Dag pełzał akurat skulony pomiędzy Bardem a Suleyem, przeciskając się wśród masywnych transporterów dostarczających odżywkę glebową. Wtem cały świat zachwiał się

dokoła. Niewidzialna siła rzuciła nim naprzód. Bard poleciał z impetem na jakiś przekaźnik, który wybuchł pod uderzeniem jego ciała. Transportery pękały z hukiem. Igor krzyknął, gdy gwałtownie tryskająca odżywka grzmotnęła nim o zasilacz.

Wstrząs minął równie niespodziewanie, jak się zaczął. W podziemiu zawył alarm. Z rozerwanych transporterów kipiała strumieniami gorąca biała substancja. Cały przekaźnik buzował wysokim ogniem, a Bard pospiesznie wygrzebywał się z płonących szczątków.

- Co to było? - stęknął oszołomiony, odruchowo obmacując skafander. Powłoka nie została nawet osmalona.

- To było trzęsienie ziemi - powiedział spokojnie Jun.

- Nonsens! - zaprotestował Igor, wściekle rozchlapując bulgoczącą odżywkę. - Prognoza sejsmiczna była znakomita!

- Wstrząs miał znaczną siłę. Jeśli za kilka minut przyjdzie następny, to będzie znaczyć, że wkrótce po nim nadejdzie trzeci, najgorszy.

- Skąd wiesz? - spytał Dag.

- Wiem, bo znam się trochę na sejsmologii - odparł Jun.

- To pewnie ta cholerna Patni i jej nieliniowe zmiany pól. - Sule rozejrzał się dookoła.

- Wszyscy cali i zdrowi?

- Nic nam nie jest - machnął ręką Bard. - Jazda, zmykajmy stąd, panowie! To z każdą chwilą coraz mniej przypomina herbatkę u cioci!

Przez następne minuty czołgali się w ciasnocie, w zalewie mazistego ukropu, wśród pogruchotanych urządzeń, w blasku białych i błękitnych wyładowań skaczących z sykiem między rozerwanymi przewodami. Gdyby nie protektory, które zapamiętały przebytą drogę, zgubiliby się wśród tego dzikiego chaosu.

Szyb pozostał drożny. Sule wyrzwał przez luk i odetchnął z ulgą.

- Igor, skaczesz pierwszy. Przeprowadzisz rekonesans. Po tobie ja z dziewczyną, potem Zaniewski i Bard. Jun ostatni.

Igor kiwnął głową, włączył lewitator i zeskoczył w dół, w ciemną czeluść, znikając im z oczu.

- Wszystko w porządku - odezwał się niebawem. - Jestem już przy wylocie do hali magazynowej. Gruz znowu zatamował drogę, ale rozbiłem go na piasek. Możesz lecieć, Sule.

Sule mocniej uchwycił nieprzytomną kosmitkę, dał krok i zapadł w mrok szybu.

Dag odczekał chwilę, a potem poszedł w jego ślady.

Leciał w dół szybko i cicho. Gdy minął połowę wysokości, przyszedł drugi wstrząs.

Ściany szybu i otaczające je poziomy techniczne złożyły się jak domek z kart. Bard,

opadający tylko parę metrów nad Dagiem, ujrzał walące się bezładnie płyty. Ogłuszył go potworny huk, gdy zderzyły się setki ton budulca. Krzyknął. Jakaś siła porwała go w górę i natychmiast znalazł się wyżej, koło Juna. Ledwo to zauważył. Zszokowany, nie mógł oderwać oczu od drogi, której nigdy nie miał już przebyć.

Tam, gdzie przed sekundą biegł daleko w dół pusty szyb, teraz widniało zbite zwałowisko gruzu. Masa była tak jednolita, że wyglądała jak zmiksowana; tylko połamane stalowe pręty sterczały spośród miału. Wokół unosiła się szarawa chmura pyłu. Rozglądając się w panice, Bard dostrzegł, że kataklizm oszczędził górną część szybu, która dziwnie skróciła się i osiadła, lecz jej ściany, choć niebezpiecznie ścieśnione i pochylone, jednak nie runęły.

Jun wisiał obok w powietrzu, nietknięty i nieludzko, niezmaczenie spokojny.

*Wszystko w porządku* - przekazał Bardowi w myśli.

*W porządku?! - Bard poczuł, jak serce łomocze mu w piersi. Zaczął drżeć.*

- Sule! - krzyknął przerażony. - Igor! Żyjecie? Jasna cholera! Dag!

Ze słuchawek dobiegały tylko rozpaczliwe przekleństwa Igora.

- Sule, odezwij się! - wrzasnął Bard. - Dag, co z tobą? Igor, co tam się do cholery dzieje?!

- Żyję - przemówił w jego słuchawkach zdławiony głos Daga.

- Sule jest tu... tutaj - wykrztusił Igor w panice. - Widać jego... no... nogę...

- Złap go i wyciągnij - warknął Stapleton. - Co z dziewczyną?

- Sule zdążył mi ją podać, zanim... - Igor stęknął.

- Jak wygląda ta hala na dole?

- W porządku... Ściany popękały, ale stoją... No, mam go. Sule, jak się czujesz?

Medyczyk milczał. Bard daremnie czekał w napięciu na jego głos.

*Jest nieprzytomny, ale dojdzie do siebie* - oznajmił Jun. - *Nic mu nie będzie.*

Bard wydał westchnienie ulgi. Nagle uświadomił sobie, że przed chwilą wstrzymał oddech.

- Wyciągnąłeś go, Igor?

- Łatwo ci się mądrzyć tam na górze - sapnął Igor, który najwyraźniej mocował się z czymś ciężkim. - On ma porysowany skafander...

- Porysowany czy popękany?

- Nieźle go musiało łupnąć, skoro próżniowiec nie wytrzymał. A mówiłem, weźmy heliosy, są odporniejsze. Niech to szlag, ile on waży!

- Sprawdź hermetyczność! - zdenerwował się Bard. - Czy jego protektor działa? Jak z

powietrzem?

- Powłoka jest szczelna, tylko porysowana, a powietrza mu nie brakuje - odparł obrażony Igor. - Sam wiem, co robić. Co u was?

Przez noktowizor Bard widział tylko wymieszane szczątki budulca. Włączył filtr transwizyjny. Chwała Bogu, ujrzał zarys ciała Wojownika zaledwie metr pod powierzchnią. Wylądował na osypisku i w gorączkowym pośpiechu zaczął odgarniać gruz. Jun bez słowa pojawił się obok i zabrał do pomocy. Fizycznie słabszy od Barda, nie mógł pracować tak wydajnie. Pył otoczył ich szarawą mgiełką.

- Jun i ja jesteśmy na wysokości poziomów badawczych. Dag, czekaj spokojnie. Zaraz cię odkopimy. Igor, co z grawilotem?

- Z grawi... - Igor zachłysnął się i głośno złapał oddech.

Gruz był częściowo w odłamkach, a częściowo tak rozdrobniony, że strużkami wysypywał się przez garście. Bard miał wrażenie, że grzebie w szarym piachu.

- Grawilot stoi - zameldował Igor z wyraźną ulgą.

- Dobrze. Masz otwartą drogę na stację. Tunel powinien być drożny, a tam, gdzie nie jest, przebijesz się termogeneracją.

- Nie zostawię was - oświadczył Igor - Sule zemdłał, więc teraz ja przejmuję dowodzenie. Obok szybu są poziomy techniczne. Musicie natychmiast przebić się przez nie na wylot, macie broń i...

- Posłuchaj mnie, Igor - przerwał Bard, nie przestając ryc wśród rumowiska. - Poziomów technicznych już nie ma. Poszły w diabły, zostały zgniecione na proszek. Cała góra osiadła teraz na nich.

- Brednie! Przecież hala jest nietknięta!

- Bo została kiedyś odgradzona od reszty i porządnie umocniona! Ale jeśli następny wstrząs załatwi i grodzie, pięć dolnych poziomów spadnie prosto na was, jak w pysk strzelił! Pamiętaj, że trzeci wstrząs będzie najsilniejszy. Zabieraj Suleya i dziewczynę i wynoście się natychmiast.

- A wy?

- Przejdziemy górą.

- Przez kosmodrom? Zwariowałeś?

- Nie dyskutuj, tylko bierz tylek w troki. Dag, co u ciebie?

- A jak przypuszczasz? - odpowiedział głos Zaniewskiego, równy i pozbawiony wyrazu.

- Zaraz cię wyciągniemy. Już blisko... - Bard zadyszał się, gorączkowo przewalając

gruz.

- Chcecie wyciągać tego mordercę?! - ryknął Igor - Stapleton, jesteś stuknięty!

- Tylko kilkanaście centymetrów. Trzymaj się, Dag!

- Zostaw go i słuchaj - rozkazał Igor. - Zaraz przyniosę z grawilotu najmocniejszy generator jaki znajdę, i spróbuję przebić się do was od dołu.

Barda ogarnęła furia.

- Czy ty w ogóle masz mózg, gówniarzu?! - huknął. Z pasją cisnął ułomek stalowej obręczy. - Jeśli ruszysz ten chłam od dołu, wszystko pieprznie na halę! Nawet twój zakuty łeb tego nie wytrzyma! Cud Boski, że to dotąd nie spadło! Natychmiast bierz Suleya i tę lalę i won na stację! Zrozumiałeś? Jazda stąd, ale już!

- Tylko nie takim tonem - obraził się de Courcy - Doskonale, radźcie sobie sami. Agencja was złapie będzie na świecie o dwóch durniów mniej!

- Zjeżdżaj, przygłupie!

- Żegnam, kretynie - wycedził Igor.

Krótkie, suche „klik” w słuchawkach oznajmiło, że Igor przerwał łączność. Bard zaklął wściekle. Gdyby mógł, otarłby pot z czoła.

Dag słuchał tej rozmowy z sercem walącym w dzikiej panice. Tkwił samotnie w nieprzeniknionym mroku, ściśnięty ze wszystkich stron przez napierającą masę gruzu, tak gęstą, że nie mógł poruszyć palcem. Skafander uratował go przed zgnieceniem, lecz jego elastyczne powłoki odkształcały się powoli, napierając na klatkę piersiową. Dag oddychał z trudem i coraz płycej. Głosy Barda i Igora, które słyszał bez zakłóceń w swoim kasku, dochodziły jakby już z innego świata.

Nagle jednolita, zbita masa lekko drgnęła. Po chwili jej ucisk osłabł. Dag mógł się już odrobinę poruszyć i skorzystał z tego natychmiast.

- Hej, widzę twoją rękawicę! - wrzasnął Bard radośnie. - Chwała Bogu, Jun, mamy go!

Kilka minut później Dag miał już wolne ręce i sam energicznie zaczął uwalniać sobie nogi. Nim skończył, poczuł, jak Bard łapie go za przegub i ostrym podrywem ciągnie w powietrze. Kolana i kostki aż zaboląły, wyszarpięte z gruzów ze zbyt gwałtowną siłą. Pomknęli ku wyższym piętróm.

Wszystkie budynki Instytutu w przekroju pionowym składały się z dwóch części - dolnej, techniczno-gospodarczej, i górnej, badawczo-mieszkalnej. Dzielili je gąbczasta, sprężysta warstwa grubości trzynastu metrów, która miała amortyzować ewentualne wstrząsy. Ponieważ Sanyasin nawiedzały egzotyczne, nieznanne na innych globach typy fal sejsmicznych, każda część została zbudowana inną techniką i z innych materiałów, żeby choć

jedna z nich przetrwała nietknięta wszelkie trzęsienia ziemi.

Jednak stało się inaczej.

Wyższe partie szybu nie legły wprawdzie w gruzach, ale ich ściany osunęły się i zetknęły ze sobą gdzieś w połowie poziomów badawczych. Droga do części mieszkalnej została zamknięta; szyb kończył się ślepo zupełnie nie tam, gdzie powinien. Wyglądało na to, że wstrząsy porobiły spustoszenia również na górze.

- A niech szlag trafi tych partaczy! - syknął Bard z pasją. Wykonał salto w powietrzu i kopnął pogiętą płytę, blokującą światło szybu.

Jun pokręcił głową.

- To były wstrząsy o takiej sile, że nie obejmuje jej nawet skala Du Kwanga.

Stapleton wyrwał zza pasa ciężki miotacz i wycelował w miejsce, gdzie powinien przebiegać chodnik najniższego z poziomów badawczych.

- Załóżcie filtry ochronne - rzucił, wydając myślowe polecenie własnemu protektorowi.

Wypalił w ścianie głęboką jamę i stopniowo przesuwając płomień w bok, niszczył grube masy budulca, aż wreszcie natrafił na pustą przestrzeń. Nie był to jednak korytarz. Miotacz wyrwał zionącą dziurę w ścianie jakiegoś większego pomieszczenia, które w ogóle nie miało prawa się tu znajdować.

Nie było czasu do namysłu. Jeden po drugim przedostali się do środka przez wypalony otwór. Po szerniałych brzegach dziury pełzały cienkie smużki dymu.

Nie zdążyli się nawet rozejrzeć. Posadzka przechyliła się pod ostrym kątem i zafalowała jak wzburzony ocean, wyginając się i zapadając w konwulsyjnych drgawkach. Z mroku dobiegł brzęk i gruchot, zagłuszony natychmiast przez łomot tak potworny, jakby w pomieszczenie uderzył meteor. Łomot przeszedł w przeciągły zgrzyt. Ściany zatańczyły jak żywe, to zbliżając się ku sobie, to odskakując. Sufit wydał niemal ludzkie stęknienie, gdy niewidzialna siła nagięła go tuż nad podłogę, po czym błyskawicznie wypchnęła znów w górę, nadając mu kształt kopulastego bąbla. Bąbel zaczął pękać z traskiem przypominającym odgłos dartej tkaniny.

Wtedy wszystko zastygło, niczym zatrzymany kadr z filmu, w którym ktoś nagle wyłączył ruch i dźwięk.

## Rozdział XIX

Dag odczekał chwilę, a później zręcznie jak kot wyskoczył ze szczeliny, w którą wpadł do pasa.

Bard i Jun, potłuczeni, podnosili się wolno, z trudem łapiąc równowagę, jakby wciąż kręciło im się w głowach. Dag schował broń, bo w pomieszczeniu nie było ani człowieka, ani automatu. Przez filtr noktowizyjny widział w mroku jedynie totalny chaos. Nie umiał nawet rozpoznać, gdzie trafili. Podłoga powyginała się w głębokie, zdradzieckie rozpadliny, ściany i sufit zastygły uformowane w kilka grubych, nieregularnych fałd, drzwi popękały i upadły. Wszędzie wałały się połamane półki, zmiażdżone pojemniki i cała masa innych, trudnych do określenia przedmiotów w rozmaitych stadiach dezintegracji. Odłamki szkła, w większości sproszkowane, zaścielały całą posadzkę.

Bard odetchnął i rozejrzał się.

- No to trzeci wstrząs mamy z głowy. A Instytut wciąż stoi.

- Co to jest? - spytał Dag.

Dziura, łącząca pomieszczenie z wnętrzem szybu, była w całości zatkana jakąś mazią. Maź powoli wciskała się do środka. Bard zamrugał, nie wierząc własnym oczom.

- Chryste Panie, to łącznik! Łącznik diabli wzięli!

- Jaki łącznik?

- No, warstwa amortyzująca między dolnymi a górnymi poziomami, taka sprężyna z alfaxilu... Ale to przecież nie alfaxil!

- Nie - zgodził się Jun, patrząc na szarą jednolitą masę, pełznącą w ich stronę ameboidalnymi skurczami i rozkurczami. Masa rosła w oczach, wylewając się z otworu i centymetr po centymetrze opanowując dalszy teren. - To rzeczywiście nie alfaxil. Alfaxil jest drogi. Wykonawcy tego budynku wzięli za niego pieniądze, ale użyli dużo tańszego materiału... zdaje się, że alfaenerfenu.

- A co to za cholera? - spytał Bard, patrząc na masę z nieufną obawą.

- Pochodna alfaxilu. Oba materiały w normalnych warunkach są nie do odróżnienia bez analizy chemicznej. Ale kiedy warunki przestają być normalne, na przykład kiedy dochodzi do bardzo silnych naprężeń albo dużych zakłóceń grawitacji, wiązania przekształcają się. Z alfaenerfenu powstaje betaenerfen, który bardzo obficie pęcznieje. Przy takiej masie łącznika, jaką mieli w Instytucie, wszystkie pomieszczenia wypełnią się w ciągu

najbliższych paru godzin.

Bard parsknął śmiechem.

- Świetnie! Już widzę, jak ekipa obronna z Agencji rzuca zabawki i z kwikiem wieje na Shambalę!

- Nie przypuszczam - mruknął Dag. - Na Chantico mają bliżej. Po co zabraliście mnie z tego szybu?

- A co, wolałbyś kąpiel w betaenerfenie?

- Gdybym tam został, i tak bym się udusił - stwierdził Dag rzeczowo. - Nawet bym nie powąchał żadnego betaenerfenu. Rozumiem, założyliście konto na moim życiu, ale dlaczego to było dla was takie ważne? Sami ryzykowaliście, że trzeci wstrząs was tam złapie.

- My nie zakładamy kont - odparł Bard - i nie wierzymy w żadne Niebiańskie Aksjomaty, łącznie z tą brednią, że nie wolno ratować cudzego życia, bo w ten sposób występuje się przeciw karmie. W karmę zresztą też nie wierzymy, a nasz Bóg nakazuje pomagać innym. Potraktuj to jako nasze dziwactwo. A teraz, panowie, musimy szybko dostać się na kosmodrom.

Wojownik drgnął.

- Kosmodrom!

Bard spojrzał na niego, nagle zaalarmowany. Głos Daga zabrzmiał dziwnie. W jednej chwili Zaniewski gwałtownie zwrócił się ku Junowi.

- To ty!

- O co chodzi? - zdenerwował się Bard.

Jun nie zareagował w ogóle. Jego twarz, przesłonięta kaskiem, była niewidoczna. Dag włączył filtr transwizyjny. Ujrzał wówczas, że Jun bez zdziwienia, nawet bez zainteresowania czeka, aż padną dalsze słowa.

Dag poczuł falę gniewu zmieszanego ze strachem. Zacisnął pięści, aż rękawice ledwo słyszalnie zaskrzypiały.

- Jak sądzisz, Stapleton, po co wybrałem się z wami? - wycedził.

- Sule hojnie ci zapłacił.

- Gównu mnie obchodzi wasz Sule i jego czerwońce. Potrzebny był mi statek. Poleciałem do Instytutu wyłącznie po to, żeby zabrać któryś z ich kosmolotów.

- No to będziesz miał teraz okazję. O ile kosmodrom przetrwał wstrząsy. W czym problem?

- Ja o tym zapomniałem. Jak tylko przybyliśmy tutaj, moje zamiary wyleciały mi z głowy. Jak wykasowane z pamięci - w cichym głosie Daga brzmiała niekłamana wściekłość. -



Ty się tym zająłeś, M'bo.

- Zrobiłeś to, Jun? - spytał Bard rzeczowo.

- Tak.

Bard z aprobatą skinął głową.

- I słusznie, bo szlag by trafił cały mój plan akcji. Tylko trochę zbyt pochopnie cofnąłeś blokadę. Dag, nie czas na pretensje! Musimy uciekać!

- Wyłączyłeś mój alarm telepatyczny, M'bo - powiedział Dag cicho i groźnie. - A to jest alarm typu Turan, produkowany specjalnie dla nadludzi. Nikt go nie zablokuje. Ani nadczłowiek, ani, neurikom. A ty to zrobiłeś.

- To cię dziwi? - odezwał się wreszcie Jun, patrząc mu prosto w twarz. - Przecież dobrze wiesz, co potrafię.

Dag poczuł, jak całe jego ciało ogarnia lodowaty chłód.

- O czym ty mówisz?

- Ja jestem M-2-5.

Zapadła długa chwila ciszy.

Bardowi dosłownie opadła szczęka. Zszokowany, wytrzeszczył oczy na przyjaciela.

- Jun! - wykrztusił.

- Kłamiesz! - syknął Dag. Źrenice mu się zwięziły. - Nie wiem, kim ty jesteś, *dzoude shi*, ale na pewno nie M-2-5.

Jun uśmiechnął się nieznacznie.

- Pozwalasz, by kierowały tobą uprzedzenia - zauważył. - No proszę. A niedawno twierdziłeś, że to mój rozum ulega dogmatom.

- Nie jesteś M-2-5 - warknął Dag.

- Czemu?

- Bo to niemożliwe. Nie wiem, jak się nauczyłeś pokonywać mój alarm, może wynaleziono już metodę, której nie znam. Ale na pewno nie jesteś Unicestwiaczem!

- To imię nadali mi wrogowie - oświadczył Jun spokojnie. - Ty go nie używaj. Już od dawna niczego nie unicestwiam. Tworzę sztukę. Jestem malarzem, rzeźbiarzem, architektem. Trochę kompozytorem.

- W tej chwili jesteś głównie ściganym przestępcą - wtrącił oschle Bard. - Odłóżcie dyskusje, dobrze? Musimy uciec, zanim wyjdzie na jaw zniknięcie Lugszem!

- Uciec? - powtórzył Dag, wpijając wzrok w twarz Juna. - Po co? Dysponujemy przecież najwybitniejszym mentatem Galaktyki. Teleportuj nas stąd na stację, M'bo. Wtedy może ci uwierzę.

- Daj spokój - rzucił zniecierpliwiony Bard. - Skoro wiesz, kim on jest, powinienesz rozumieć, że mu nie wolno!

Dag przeniósł wzrok na twarz Stapletona.

- Czemu nie? Jeśli mieszkał na Sanyasinie i neurikom go nie namierzył, równie dobrze może pokazać, co potrafi!

- Neurikom by go nie namierzył, nawet gdyby Jun siadł mu na obudowie - parsknął Bard. - Co innego teleportacja. To generuje fałdy w infopolu.

- Fałde - poprawił Jun. - Fałdy powstają przy oddziaływaniach metakauzalnych.

- Co za różnica. Dość gadania, spadamy!

Dag zamilkł. Jego trzeźwy, sceptyczny umysł nie ulegał pokusom romantyzmu i nie dawał sobie narzucić twierdzeń sprzecznych z logiką. Unicestwiciel na Sanyasinie zostałby wykryty niezależnie od tego, czy używałby swej mocy, czy nie - nasłuch był po prostu zbyt czuły. Jaki interes mają ci obcy podludzie, żeby mu wmawiać, że Jun to zaginiony M-2-5? Którą tożsamość klona próbują zamaskować?

- Jun, czy kosmodrom ocalał? - spytał Bard nagłaco.

- Tak. Lądowisko grawilotów również. Były porządniej zbudowane.

- Znakomicie. Inaczej naprawdę musiałbyś nas teleportować. Ruszamy!

Bard dał susa przez najgłębszą rozpadlinę. W locie klepnął Daga po ramieniu.

- Tylko niech ci mózg nie wykipi od nadmiaru hipotez!

\*

Instytut Ksenologii nie wydawał się już ani cichy, ani opuszczony. W korytarzach panowało najprawdziwsze pandemonium.

Poziomy mieszkalne i naukowe nie ucierpiały wiele w porównaniu z totalną ruiną panującą niżej, lecz i tu trzęsienie ziemi dało się mocno we znaki. Nic się wprawdzie nie zawaliło, ale konfiguracja większości pomieszczeń uległa radykalnej zmianie. Sypialnie powpadały na siebie, laboratoria przemieściły się między piętrami; niektóre korytarze zostały tak ścieśnione, że niemal sprasowane, inne złożyły się w harmonijki. Wybrzuszone podłogi, pofałdowane i pocięte uskokami, tworzyły niesamowity krajobraz. Część pięter zderzyła się i nadziała na inne; z wyższego poziomu badawczego można było teraz dostać się od razu na niższy mieszkalny, gdyby tylko ktoś miał ochotę czołgać się wśród ściśniętych płyt budulca.

Jednakże, generalnie biorąc, Instytut wciąż stał. Delikatne kremowe światło nadal płynęło z pogiętych sufitów, bo luminescencyjna farba trzymała się znakomicie. Nie było ciepła ani wody, lecz fotoksyt rósł w najlepsze, a wytwarzacze powietrza, oparte na odczynnikach chemicznych i solidnie zabezpieczone, pracowały pełną parą. System

wentylacyjny przetrwał na tyle przynajmniej, by ludziom nie groziło uduszenie. Grawitacja szwankowała, ale ledwo zauważalnie. Kogitery i bioautomaty miały własne źródła zasilania, a neurikom czerpał energię z zasobów awaryjnych Instytutu.

Nikt na górze nie zdawał sobie jeszcze sprawy z rozmiarów kataklizmu. Betaenerfen zajmował dopiero pierwsze pozycje, wciskając się niezauważony przez szczeliny. Póki co, największy problem stanowił wybuch agregatów cieplnych. Postępująca utrata ciepła mogła w krótkim czasie zabić wszystkich ludzi w Instytucie. Park już nie istniał. Jego kopuła pękła przy trzecim wstrząsie. Rozgwieżdżone niebo spadło, niczym pchnięte karzącą ręką bogów. Zgruchotane szczątki zmiażdżyły drzewa i większe zwierzęta; następnie uciekło całe powietrze, wybuchając przy zetknięciu z atmosferą księżyca. Pomiedzy ruiny wtargnęły trujące, mroźne opary, dopełniając dzieła zniszczenia. Nie przeżyła nawet jedna bakteria. Neurikom w ostatniej chwili zdołał odciąć skażony teren od reszty Instytutu.

Apogeeum chaosu nastąpiło jednak, gdy ktoś odkrył, że zniknęła Lugszem.

W popłochu rozpoczęto historyczne poszukiwania. Cała załoga eskadry obronnej została rzucona, żeby przetrząsać teren. Kogitery zgodnie oświadczyły, że o niczym nie wiedzą. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś je przeprogramował. Neurikom usunął obcy program i osobiście zaczął robić zdalny przegląd Instytutu.

Właśnie na ten niefortunny moment trafili Dag, Bard i Jun.

Ludzie nie stanowili zagrożenia. Wszyscy wylegli hurmem ze zniszczonych apartamentów i krążyli gorączkowo po całym terenie niczym rój oszalałych os.

Biegali jak w amoku, spłoszeni, nerwowi, rozebrani do naga lub poubierani w pospiesznie narzucone przypadkowe rzeczy. Podekscytowane bioautomaty przemykały między nimi, każdy w swoją stronę.

Bard i Jun zdjęli skafandry, zwinęli je i zatknęli za pasy. Przykleili też do czoła oznaki kasty wajsy, które Bard przezornie przygotował jeszcze na stacji. Dag, z uwagi na swoją wytatuowaną twarz, musiał pozostać w nieprzenikliwym z zewnątrz skafandrze, lecz w towarzystwie dwóch wajsów nie budził podejrzeń. Członkowie stałej załogi Instytutu brali ich za personel techniczny ekip obronnych, zaś członkowie ekip obronnych - za personel techniczny Instytutu. Prawie biegli, ale tak samo biegli wszyscy. Kilka razy dosłownie otarli się ramionami o brunatne mundury heitai. Czarnowłosa, potargana Ollantay prześlizgnęła się koło nich w ciasnym przejściu, ledwo muskając ich wzrokiem. Mignął im też młody Qilin, wyraźnie przestraszony.

Dotarli na kosmodrom bez przeszkód. Tutaj stanęli jak wryci. Droga została szczelnie zablokowana. Przez cały przekrój korytarza wznosiły się szare sendzeinitowe grodzie. Nic

oprócz antimaterii nie mogło przebić sendzeinitu. Oni jednak nie mieli anihilatora, a morfer został z Suleyem i albo spoczął na wieki w zasypanym szybie, albo płynął właśnie w grawilocie przez metanowy ocean.

Bard pobladł.

- Jak lądowisko grawilotów? Też odgrrodzone?

- Nie - odparł Jun. - Ale kierują się tam heitai.

- Może zdążymy. Szybko!

Żadna z wind nie działała. Pobiegli schodami.

Lądowisko grawilotów leżało niedaleko kosmodromu. Zbiegali w dół z bronią w rękę, gotowi na atak wroga - Jun pierwszy, pół kroku za nim Bard, na końcu Dag, czujnie rozglądający się dookoła. Szerokie, białe schody zakręcały łukiem ku platformom startowym.

Wszystko zdecydowało się w ułamku sekundy. Jun dotarł na półpiętro, zeskoczył kilka stopni, krzyknął i upadł. Dag odruchowo złapał Barda za pas i wciągnął siłą do góry, za zakręt schodów, podczas gdy Jun bezwładnie, z rozrzuconymi ramionami i nogami, toczył się w dół.

- Jun! - ryknął Bard.

Dag potrząsnął nim mocno.

- Uspokój się. Już go mają. Wpadł w lej sucking.

- Puść mnie, do diabła! - szarpnął się Bard.

- Opanuj się. Nic nie możesz zrobić.

- Puszczaj! - syknął Bard. Zmrużył modre oczy. Mięśnie jego twarzy napięły się w determinacji silniejszej od strachu. - Nie zostawię go!

Dag puścił. Nie mógł powstrzymać go przemocą, chyba że zrobiłby mu krzywdę. Jednak wbrew fatalistycznym oczekiwaniom Wojownika Bard nie skoczył od razu naprzód. Z bronią gotową do strzału ostrożnie przesunął się w dół schodów.

- Zajmę ich - rzucił przez ramię. - Odwrócę ich uwagę, a ty spróbuj przejść z drugiej strony. Osłona otwiera się na hasło: „Coatepec”.

Dag nie odpowiedział. Ogarnęło go frustrujące poczucie bezradności.

Krok za krokiem, szorując plecami po ścianie. Bard przesunął się w stronę niewidzialnego leja sucking. Nic go nie wsysało, nikt nie otwierał ognia. Na schodach panował idealny spokój.

Chociaż jedna sprawa jasna, pomyślał ponuro Dag. Jun nie jest Unicestwiciem. Gdyby był, wyczułby zagrożenie. M-2-5 słyszał z tego, że omijał każdą pułapkę. A ten, proszę, władował się w sam środek leja i nawet nie zauważył symptomów ostrzegawczych - nagłego ucisku w uszach, wysokiego dźwięku tuż za granicą słyszalności, lecz jeszcze

rejestrowanego przez wyczulony słuch... Dag zacisnął usta. Assahir prędzej rozwaliliby Instytut, niż dał się złapać Agencji.

Rzucił ciche, soczyste przekleństwo i pobiegł na górę. Chwilę potem znalazł się na obwodnicy. Korytarz wznosił się kilkanaście metrów nad poziomem lądowiska, otaczając je z góry białym pierścieniem. Od wewnętrznej strony korytarz nie miał ściany, tylko barierkę, dzięki czemu rozciągał się z niego znakomity widok na całe lądowisko. Był to rozległy, bardzo wyraźnie oświetlony kwadrat. Światło nie raziło oczu, nie było jaskrawe, lecz wydobywało nawet najdrobniejsze szczegóły. Nawierzchnia, podzielona na szesnaście platform startowych, stanowiła białoniebieską szachownicę. Grawilotów stało tu siedem, wszystkie, nie wiedzieć czemu, na niebieskich polach. Cztery były kolorowe - te należały do ksenologów. Trzy pozostałe - czarne, owalne - nosiły na burtach wyraźny czerwony znak. Znak był odwieczny; setki lat temu odczytywano go jako szesnastą literę runicznego alfabetu, runę „Słońce”, zwaną Sowilo albo Sol. Potem widniał, podwojony, na mundurach SS. Dziś należał do Agencji Ochrony Dobra.

Lądowisko drzemało, ciche i spokojne. Nienormalnie ciche i spokojne, biorąc pod uwagę zamieszanie w Instytucie. Żadnego heitai, żadnego w ogóle człowieka. Oczy kogiterów musiały unosić się wszędzie wokół, lecz ludzki wzrok ich nie rejestrował, a Dag nie zwracał sobie głowy włączaniem filtrów.

Podszedł do barierki i wychylił się, usiłując dojrzeć ciało Juna. Skoro spadł, powinien leżeć na nawierzchni u stóp schodów.

Ale nawierzchnia była pusta.

Wszystko jasne. Neurikom namierzył intruzów i teraz bawi się, obserwując ich reakcje.

Szybko ruszył naprzód, lecz zanim zrobił parę kroków, chodnik zadudnił i zaczął dygotać, jakby pędziło po nim stado ciężkich zwierząt.

Dag zawrócił natychmiast i zbiegł na lądowisko.

Lej sucing został zdjęty. W głębokich podcieniach pod obwodnicą czaiło się kilkoro ludzi w brunatnych mundurach. Czwooro wyskoczyło z najbliższego czarnego grawilotu i pognało ku Zaniewskiemu, wymachując bronią i wrzeszcząc radośnie. Ich tryumfalny krzyk odbijał się echem w pustej hali. Sześciuosobowy oddział, który nadbiegł górą, teraz zeskakował w dół po schodach.

Dag rzucił miotacz i podniósł ręce nad głowę.

## Rozdział XX

Kłęczący pod strażą Bard Stapleton widział z odległości kilkunastu metrów, jak heitai dopadają Zaniewskiego i zaczynają go kopać. Wojownik nie bronił się. Upadł, nie próbując się nawet osłaniać.

Parę kroków od Barda, skulony pod ścianą hali, leżał Jun, zwinięty w kłębek, wciąż nieprzytomny. Po szoku suling powinien dojść do siebie nie wcześniej niż za godzinę lub dwie. Chryste, oby jak najprędzej! - pomyślał Bard żarliwie. Że też właśnie on musiał wpaść w lej! Że też to przeklęte trzęsienie ziemi musiało przyjść akurat teraz! Przez dwadzieścia lat był spokojny, aż nagle planeta Patni z piekła rodem wybrała sobie właśnie tę noc!

Heitai nie byli projektowani na tytanów intelektu, ale i do nich wreszcie dotarło, że waląc nogami w skafander próżniowy, prędzej sprawą ból sobie niż kopanemu. Spróbowali więc ściągnąć z jeńca kask. Daremnie. Ten typ skafandra mógł zostać rozhermetyzowany wyłącznie przez osobę znajdującą się w środku lub przez komputer sprzężony z protektorem. W końcu zrezygnowali. Rzucili bezwładnego Juna do wnętrza planetolotu, który nadleciał przed chwilą nie wiadomo skąd, i uderzeniami kolb zapędzili tam również obu pozostałych jeńców.

Podoficer szczechnął krótką komendę. Troje młodych heitai wepchnęło się za podludźmi do planetolotu, a reszta w zwartym szyku opuściła lądowisko, kierując się w podziemia.

Planetolot sam ruszył i sam wybrał drogę. Nikt go nie pilotował. Jeden heitai usiadł z tyłu, twarzą do kierunku lotu; dwoje pozostałych zajęło miejsca w przedniej części, naprzeciw kolegi. Podludzie zostali ciśnięci na podłogę między fotelami.

Obaj jeńcy mieli ręce skute z tyłu. Dag siedział apatycznie, przygarbiony, niczym posąg znużonej rezygnacji. Bard zacisnął wargi. Nie spodziewał się tego po Wojowniku. On sam gorączkowo zastanawiał się nad jakimś sposobem ucieczki.

Spojrzał uważnie na swych konwojentów. Ciemnoskóra, skośnooka dziewczyna pochwyciła jego wzrok i parsknęła drwiąco:

- Patrzenie, jak to się gapi, *dzoude shi!* Co to, żołnierza nie widziałeś, podludzka pokrako?

Kantem dłoni uderzyła Barda w twarz, rozbijając mu nos, a potem wytarła pokrzwawioną rękę o jego włosy.

- Ciekawość, jaką gębę ma ten w skafandrze - zauważył rozparty obok niej Sindianin, młody dryblas z prostymi czarnymi włosami do ramion. To on trzymał broń, wycelowaną w jeńców.

- Ten tu jest nawet milutki - powiedział ostatni heitai. Płaskonosy, o szarobeżowej skórze, włosach barwy czarnej kawy i lekko sterczących kościach policzkowych, należał do belo, mieszańców wszystkich ras. Dotknął twarzy nieprzytomnego Juna i pogłaskał go po policzku. - Może potem nam go dadzą.

Sindianin wykrzywił się do niego.

- Głupi jesteś? Prędej ci w mordę dadzą. Jak państwo oficerstwo z nim skończą, pójdzie na przemiał. Do niczego innego już się nie nada.

Bard milczał. Zacisnął pięści, ponuro obserwując, jak płaskonosy wyrostek w brunatnym mundurze dotyka szyi Juna. Heitai pochylił się i spróbował włożyć nieprzytomnemu rękę do spodni.

Bard nie wytrzymał. Z pozycji siedzącej kopnął go w szczękę całą siłą wymachu nogi. Wyrostek zaskowyczał i wyprostował się, odruchowo łapiąc za twarz. Dwoje pozostałych, po chwili zaskoczenia, wybuchnęło hałaśliwym śmiechem.

- Zazdrosny! On jest zazdrosny! A to masz farta, Mao, trafiłeś na jego przydupasa!

Płaskonosy Mao wsadził palce do ust i pomacał zęby. Potem splunął na Barda krwawą śliną, wyszczerzył się wściekle i kopnął go w brzuch. Jeniec z jękiem zgiął się wpół. Mao dołożył mu w głowę.

- Zostaw tego pieprzonego zwierzaka. Kazali nam ich dowieźć nieuszkodzonych - powstrzymał go Sindianin.

- Pewnie po to, żeby sami mogli się z nimi zabawić! - odparł Mao ze złością i wyraźnym poczuciem krzywdy. - Ale ja go jeszcze dopadnę!

Planetolot leciał przez jasne, zdeformowane korytarze Instytutu - znów zupełnie puste. Ludzie znikli gdzieś jak zdmuchnięci. Wszędzie zalegała grobowa cisza. Zrobiło się wyraźnie zimniej. Stapleton, choć ubrany w wełniany sweter, zdążył zmarznąć, nim w końcu dotarli do oszklonego szybu windy. Opancerzone szkło, o dziwo, przetrwało wszystkie wstrząsy, za to windy nigdzie nie było widać. Polecieli szybem w górę, na tak zwany poziom zerowy, dostępny tylko dla upoważnionych, i zagłębili się w biały owalny tunel. Planetolot nagle przyspieszył. Powietrze zagwizdało, gdy pomknęli naprzód jak wystrzeleni. Chwilę potem wyhamowali bezgłośnie przed parą masywnych drzwi.

Heitai wywlekli jeńców, rzucili Juna na posadzkę, po czym bez słowa porozumieli się wzrokiem. Dziewczyna i Sindianin sprawnie unieruchomili Barda; Mao zadawał ciosy. Po

kilkunastu mocnych, szybkich uderzeniach puścili ofiarę. Bard upadł, zwinięty z bólu, szary na twarzy, spazmatycznie łapiąc oddech. Z ust ciekła mu krew. Nim zdążył głębiej nabrać powietrza, dwóch heitai kopniakami postawiło go na nogi. Dziewczyna położyła obie dłonie na drzwiach i wymówiła hasło.

Wrota rozsunęły się powoli.

Heitai wepchnęli jeńców do środka.

Znaleźli się w obserwatorium. Tu mieścił się ośrodek dowodzenia Instytutu - duża okrągła sala, której ściany i sufit zostały całkowicie zabudowane ekranami i aparaturą techniczną. Większość ekranów była szara i pusta. Nieliczne, które wciąż działały, przekazywały drgający obraz, co chwila przerywany skaczącymi pasmami zakłóceń.

Czworo ludzi natychmiast zwróciło się ku przybyszom. Dwaj mężczyźni nosili czarne oficerskie mundury z czerwonymi runami na kołnierzach i pagonach. Trzeci, siwy Murzyn, był cywilem. Roztaczał aurę kulturalnej, łagodnej dystynkcji. Obok niego stała kobieta, czarnowłosa, obcięta na pazia, szaroskóra i z wyglądu bardzo młoda, ubrana tylko w pospiesznie narzuconą jedwabną podomkę i puchate kapcie. Miała najzimniejsze spojrzenie ze wszystkich obecnych. Jej oczy, bladobłękitne jak płomyk gazu, tchnęły obcością w gładkiej buzi osiemnastolatki - jakby przez dwa rozdarcia w młodej powłoce wyzierała istota stara, doświadczona i zła.

Heitai przerazili się na jej widok. Odruchowo padli na kolana.

- Tylko tyle znaleźliście?

- T... tak, proszę wielmożnej pani. Ale wciąż szukamy - wymamrotał Sindianin i szybko, nerwowo zaczął wybijać pokłony.

- Znajdziemy prędzej czy później - zapewnił uspokajająco starszy z oficerów, skośnooki, niski i krępy. - Trzęsienie ziemi skomplikowało sytuację. Wiele systemów nie działa. Sam pan przyzna, panie dyrektorze... - rozłożył bezradnie ręce, zwracając się do dystygowanego cywila.

- To trzęsienie ziemi było błogosławieństwem - ucięła oschle kobieta. - Gdyby nie ono, aż do rana nie odkrylibyśmy zniknięcia dziewczyny i może nigdy nie złapalibyśmy tych zwierząt - obejrzała jeńców z odrazą. - Czy mam rozumieć, Sturmbannführerze Hsiu, że to ci podludzie ją ukradli?

- Na to wygląda. Bo raczej nie sędzę, żeby przygnał ich do Instytutu niepohamowany głód wiedzy - pozwolił sobie na żart drugi oficer, piękny młodzieniec o polinezyjskiej urodzie, noszący dystynkcje zaledwie Obersturmführera.

- Jak miło słyszeć, że ktoś tu zachował dobry humor - wycodziła kobieta takim tonem,



że młodzieniec aż się cofnął. - Podludzkie zwierzęta, wytresowane nie wiadomo przez kogo, infiltrują strzeżoną przez pana placówkę i porywają cenny obiekt, a pan widzi w tym wyłącznie świetny temat do dowcipów. Wspomnę o tym pańskim przełożonym. Musicie się dowiedzieć, kto ich przysłał! - zakończyła, zwracając się znów nagle do Hsiu.

Hsiu rzucił dyrektorowi spłoszone, udęczone spojrzenie.

- Dowiemy się z całą pewnością.

- Ale dziewczyny nam to nie zwróci!

- Ona musi być gdzieś na terenie Instytutu. Wszystkie drogi ucieczki zostały odcięte.

- Rychło w czas!

- Pani docent, my naprawdę robimy, co w ludzkiej mocy...

- Wasza ekipa miała nas chronić! Chronić! - syknęła szaroskóra. - I proszę tylko! Zaraz pierwszej nocy po waszym przybyciu ktoś ukradł nam dziewczynę!

- Już to mówiłaś, Liane - westchnął dystyngowany Afrykanin. - Bardzo dokładnie wytłumaczyłaś też panom oficerom, jak ważne jest, by ją znaleźć.

- A może to ona? - rozjaśnił się młody Obersturmführer. - Ta w skafandrze! Tak, to na pewno ona! Ruszać się, pieprzone bydło! - warknął do heitai. - Zdejmijcie jej kask, *dzoude shi*, ale już!

Dystyngowany Afrykanin skrzywił się z głębokim niesmakiem kulturalnego, wyrafinowanego inteligenta, zmuszonego do obcowania z plebsem o koszarowych manierach. Hsiu wydawał się zakłopotany. Podobnie jak młodszy oficer, sam też należał do kszatrijów, podczas gdy oboje naukowcy byli aminami.

Wielkie, ciemne oczy młodzieńca spojrzały na docent Liane z błagalną nadzieją. Widać było, że gotów jest wyjść ze skóry, żeby się jej przypodobać. Z jakichś powodów szaroskóra budziła strach nie tylko w prostych heitai.

Zmroziła Obersturmführera lodowatym wzrokiem.

- Coś podobnego! - wycodziła. - Rewelacja! Od wczoraj wieczór nasza albinoska zdołała urosnąć o jakieś piętnaście centymetrów! Wie pan co, panie Vainehe, niech pan czasem myśli. Dobrze panu radzę. Myślenie jest zajęciem niezbyt bolesnym, a bywa, że pożytecznym. Proszę codziennie ćwiczyć i nie zrażać się kiepskimi wynikami. Jest szansa, że za rok czy dwa może panu zaświta, że ma pan szukać samicy wzrostu metr siedemdziesiąt pięć, a nie samca wysokiego gdzieś na metr dziewięćdziesiąt. Przecież pół godziny temu osobiście podałam wam wszystkie jej dane identyfikacyjne, łącznie ze wzrostem!

- Liane, moja droga - dyrektor wziął ją pod ramię. - Zostawmy naszych obrońców z ich zawodowymi sprawami. Na pewno dowiedzą się od tych zwierząt, na czyje zlecenie Lugszem

została uprowadzona i gdzie się znajduje. Odzyskamy ją, nie obawiaj się.

- Przede wszystkim niech ustalą, jakim sposobem podludzie w ogóle zdołali przeniknąć do Instytutu! To hańba dla całej Agencji!

- Tak, tak, oczywiście - dyrektor, manewrując między fotelami, podprowadził Liane w stronę drzwi.

- Chcesz stąd odejść? - obruszyła się.

- Mamy dużo innych problemów, a metody, jakimi fachowcy uzyskują informacje, nie są zbyt estetyczne. Trzeba zobaczyć, jak Aubrey poradził sobie z zapewnieniem ciepła w sektorze trzecim.

Szaroskóra pozwoliła się przekonać. Od progu jeszcze raz obrzuciła funkcjonariuszy Agencji i ich jeńców zjadliwym spojrzeniem. Z tunelu - a może od jej ciała? - ze świstem wionął nagle przenikliwie lodowaty podmuch, który ciął jak biczem ludzi i podludzi. Troje heitai zadygotało i znów poczęło bić rozpaczliwe pokłony. Był to już jednak pożegnalny akord Liane. Chwilę później ciężkie wrota zamknęły się za nią i za dyrektorem Instytutu.

Zapadła chwila ciszy. Heitai na ostry rozkaz Vainehe niepewnie podnieśli się z podłogi, na której przez całą rozmowę Wyższych trwali przycupnięci jak rozpląszczone żaby. Hsiu spojrział na jeńców i zatarł dłonie - może z zapału do pracy, a może dlatego, że powietrze w obserwatorium robiło się coraz zimniejsze nie tylko za przyczyną złego humoru pani docent. Temperatura spadła już do ośmiu stopni Celsjusza i stopniowo malała dalej. Nawet gruby pancerz nie chronił Instytutu przed powolną utratą ciepła.

- Ściągnijcie mu skafander, debile! Nie słyszeliście, co wam kazał pan Obersturmführer Vainehe?

- Próbowaliśmy, panie. Nie złazi.

- Nie złazi?

Hsiu wyjął miotacz i skierował na Daga. Miotacz włączył się automatycznie od dotyku ludzkiej dłoni.

- Zdejmijcie mu kajdanki. Słuchaj, bydlaku, masz teraz szybciotko się rozebrać. Szybciotko, rozumiesz po ludzku? Jazda, bo ci kutasa odstrzele!

Dag pospiesznie zrzucił skafander. Ręce mu się trzęsły.

- Nie przypomina zbytnio tej albinoski, co? - rzucił drwiąco Hsiu do młodego weibina.

- Wytatuowany. Jakiś były gangster, najemnik. No, co tak stoisz? Rozbieraj się, bydlę jebane! Co, chory jesteś?

Dag stał nieruchomo z pochyloną głową i opuszczonymi ramionami. Słyszając ostry głos Sturmbannführera wzdrygnął się, skulił i zaczął ściągać golf.

- Za pozwoleniem - odezwał się Vainehe. - Za pół godziny będzie tu zimno jak w lodówce. On może nam przedwcześnie zejść na skutek szoku i utraty ciepła.

Hsiu zastanowił się moment, wciąż mierząc w Daga.

- W porządku, zwierzaku, zostań na razie w ubraniu. Załóżcie mu kajdanki.

Heitai znów skuli Wojownika, który pozwolił na to apatycznie.

- No to zaczynamy. Pamiętasz, Vainehe, co nakazuje Procedura? Co się robi z takimi na początek?

- Należy ich wstępnie przesłuchać - wyrecytował młodzieniec gorliwie i bez wahania. - Kontrolując odczyt mentoskopu, pobudzamy ośrodki w mózgu, zarazem utrzymując we krwi stały poziom...

- O czymś zapomniałeś.

- Tak mówi procedura, panie Sturmbannführerze.

- Nie pouczaj mnie, gówniarzu. - Hsiu spojrzał na niego z góry. - Ja robiłem memo z procedury przed dwudziestu laty, a ty przed dwoma, i już, *dżoude shi*, nie pamiętasz. Ale nieuków wypuszczają teraz z Dharmadżati!

Obersturmführer Vainehe patrzył na niego stropiony. Jego brązowe, okrągłe oblicze miało nieco podejrzliwy wyraz, jakby się zastanawiał, czy Hsiu go nie nabiera.

- Zanim zaczniesz badać zdobycz, musisz wiedzieć, co za zwierzę przesłuchujesz - pouczył Hsiu.

Vainehe rozpromienił się. Z uśmiechem wygładził czarne kędziory.

- No tak, jasne! Najpierw idzie ustalenie tożsamości.

- Przed chwilą to jeszcze nie było takie jasne - burknął zrzędlawie Hsiu. - Zaczniemy od tego z obitym pyskiem. Stawiał się wam?

Heitai przytaknęli jedno przez drugie.

- TINGLIT, Powierniku Bogów, czy mógłbyś sprawdzić, kim jest ten podczłowiek? - Hsiu zwrócił się do neurikomu, wykonując niski ukłon w stronę ściany. Neurikom był zarazem wszędzie i nigdzie, jak przystało na bóstwo.

W powietrzu zmaterializował się pomarszczony starzec potężnej postury, ubrany w długą szatę. Siwa broda opadała mu aż do pasa. Na głowie miał koronę - nie złotą, lecz żelazną. W miarę materializacji starzec rósł w oczach, by wreszcie głową sięgnąć pułapu. Z tej wysokości spojrzał na ludzi.

Jeńcy zostali zmuszeni, by uklęknąć. Oficerowie i heitai też padli na kolana. Starzec przyglądał im się chwilę. Jego pobrużdżona, ciemna twarz przybrała wyraz sardonicznego politowania.

- Wstańcie - rozkazał grzmiącym głosem. Ludzie podnieśli się posłusznie - Hsiu i Vainehe z ulgą, heitai z nabożnym podziwem. Płaskonosy Mao, Sindianin i śniada dziewczyna gapili się na starca z otwartymi ustami. Chyba po raz pierwszy w życiu dostąpili zaszczytu ujrzenia Powiernika.

- Ruszcie się, matyły! - Vainehe natychmiast doprowadził ich do porządku.

Heitai przywlekli Barda do nóg olbrzymiej postaci. Szło im opornie, bo Stapleton wierzgał i wyrywał się jak szalony. Troje heitai z trudem zdołało go utrzymać. Neurikom nie zamierzał im pomóc - wręcz przeciwnie, patrzył na krnąbrnego jeńca z chłodnym, wyniosłym rozbawieniem. Hsiu skinął na Vainehe. Młodzieniec ochoczo dołączył do samotaniny. Bard nie miał szans, samotny i skuty przeciw czworgu sprawnym żołnierzom. Ani razu nie krzyknął, ale pod sam koniec bicia nie mógł już opanować zduszonych jęków. Nawet wtedy próbował atakować. Wreszcie unieruchomili go w pozycji kłęzącej, z czołem u stóp starca.

- A to ścierwo! - sapnął Vainehe zdyszany. - Ile to ma energii!

Złapał Barda za włosy, odciągnął głowę w tył i uderzył kolaniem w pokrwawioną twarz.

- Dosyć - zadudnił TINGLIT z wysokości czterech metrów. - Nie marnujemy czasu. Co chcecie wiedzieć?

Bard oddychał ciężko. Nos miał złamany, usta rozbite. Skulony, zdołał po chwili podnieść głowę znad ogromnych czarnych cizem. Kątem oka dostrzegł Daga, który cichy i niemal zapomniany stał przy wrotach obserwatorium, garbiąc się i zwieszając głowę.

Gdyby miał szersze pole widzenia, może by spostrzegł, że spod opadających na czoło czarnych włosów jasnoszare oczy Zaniewskiego patrzą bacznie i chłodno. Wojownik nie poświęcił ani jednego spojrzenia Stapletonowi czy heitai. Całą jego uwagę pochłonął neurikom.

Przeklęty tchórz! - pomyślał Bard z wściekłością. A taką miał nadzieję, że Wojownik mu pomoże! Dawny komandos na pewno umiał walczyć, używając samych nóg. Zaniewski jednak ani drgnął. Na co liczył - że Agencja oszczędzi go, bo jest bossem potężnego tongu? To się, do diabła, przeliczył!

- Podczłowiek nie rejestrowany w Systemie Kogiterów - rzekł starzec. - Jednak zachodzi istotna zbieżność odczytu z infoprofilem osobnika o roboczym kryptonimie Inkarri 61. Infoprofil został sporządzony na księżycu Inkarri, Cori Cancha 8, w 332 roku, co zbiegło się w czasie z działalnością antypaństwową na tym terenie. Dokładne informacje wyświetlam na ekranie czwartym. Podczłowiek fizycznie zdrowy, wiek biologiczny: w przybliżeniu dwadzieścia trzy i pół roku arkadyjskiego, co odpowiada dwudziestu sześciu latom Shambali

lub Ziemi. Grupa krwi zero Rh plus, dalsze dane o cechach dziedzicznych na ekranie piątym. Infopole typu Yeo Gart, poziom szósty, potencjał zaledwie piąty. Od tej strony możecie nie oczekiwać niespodzianek.

- Dziękuję, Powierniku Bogów.

Hsiu dał znak. Barda ciśnięto twarzą do ziemi na posadzkę kilka kroków dalej. Rozsunęli mu nogi. Vainehe kopnął go, a Mao oparł but na jego plecach.

Nieprzytomny, lecący przez ręce Jun nie sprawiał żadnych kłopotów. Jednak twarz starca sposepniała jak chmura gradowa, gdy tylko skierował ku niemu wzrok.

- Ta istota nie jest rejestrowana w Systemie, lecz pewne dane wskazują, że może okazać się śmiertelnie niebezpieczna. Trzeba ją natychmiast przesłać na Shambalę. Rejs będzie miał absolutne pierwszeństwo. Zajmę się tym osobiście. Przed startem rozkazuję umieścić tego osobnika w ściśle ekranowanej kabinie przy zastosowaniu wszystkich środków bezpieczeństwa przewidzianych w paragrafie 41. Regulaminu Lotów Transportowych. O jego ujęciu należy powiadomić bezpośrednio Kancelarię Cesarską i Kancelarię Reichsführera Agencji Ochrony Dobra na Arkadii.

Oficerowie wytrzeszczyli osłupiałe oczy.

- Ka... Kancelarię... Cesarza, oby żył wiecznie? - wyjąkał Hsiu, z trudem odzyskując mowę. - I... samego Rei... Reichsführera?

- Tak jak słyszałeś.

- Na Świetlistego! - wybełkotał Hsiu, mrugając z przejęcia.

- Powierniku Bogów, ale kto to jest, ten podczłowiek? - ośmielił się zapytać Vainehe. Jego sarnie wilgotne oczy błyszczały z ciekawości i przejęcia. - Co to za jeden, że jest aż tak ważny?

Starzec nie raczył odpowiedzieć.

Hsiu doszedł do siebie. Przeniósł wzrok na nieprzytomnego Juna i dłuższą chwilę oglądał go w zadziwieniu. Potem mocno kopnął leżącego Barda.

- Już ty nam wszystko powiesz. Dobierzemy ci się do dupy, Inkarri, a wtedy wyśpiewasz, kim jest ten drugi!

- Wszyscy więźniowie zostaną razem odesłani na Arkadię - oznajmił neurikom. - Nie wy będziecie ich przesłuchiwać. Przypominam, co mówi paragraf 41. Regulaminu Lotów Transportowych: „Więzień szczególnie niebezpieczny ma zostać przekazany przez superszybki tunel pod osobistym nadzorem co najmniej dwóch oficerów Agencji. Więźnia pozbawia się wpierw odzieży, całkowicie unieruchamia, zakłada włączony na maksimum kask ekranujący i podaje odpowiednią do wagi dawkę środka nasennego". W przypadku tego

konkretnego osobnika rozkazuję dodatkowo podać dożylnie pięć miligramów metasanderinu. Poziom leków we krwi ma być stale kontrolowany.

Hsiu pokłonił się.

- Tak jest, Powierniku.

- Wygląda, że złapaliśmy jakąś grubą rybę - szepnął do niego podekscytowany Vainehe. - Metasanderin podaje się, żeby unieszkodliwić tych najlepszych mentatów, prawda, panie Sturbannführerze? A pięć miligramów... to pięciokrotna dawka!

- Jeśli liczysz na jakiś awans, jesteś głupszy, niż myślałem - burknął Hsiu. Odchrząknął. - Mhm, Dostojny Powierniku, czy kanały łączności są już w porządku? Skoro każesz nam powiadomić tak wysokie Urzędy, lepiej zrobić to jak najszybciej.

Starzec obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

- Jak widać z danych na ekranie drugim, poziom zaburzeń przestrzeni wciąż uniemożliwia teleportację i łączność - wyjaśnił ze świętą cierpliwością osoby z dawna nawykłej zwracać się do tępych ignorantów. - Rejestruję liniowo rosnącą intensywną emisję fal skalarnych o gęstości od pięciu do dwunastu nhat. Zakłócenia techniczne kumulują się. Powoli tracę kontakt mentalny nawet z częścią moich własnych kogiterów. Nie widzę chwilowo żadnych szans na odzyskanie łączności choćby z Chantico i Dakini, co dopiero z Shambalą. Nie wykluczam też nadejścia kolejnych wstrząsów tektonicznych, nad którymi nie zdołam zapanować. Procesy zachodzące w głębi Patni są nieznane i niezrozumiałe, mają wyjątkowo gwałtowny przebieg. Nauka solaryjska nie zetknęła się jeszcze z zaburzeniami grawitacji o analogicznym lub choćby zbliżonym charakterze... - starzec urwał. Chyba doszedł do wniosku, że i tak nie ma sensu mówić dalej. Hsiu i Vainehe zadzierali ku niemu głowy, ale widać było, że zamiast słuchać z należytą czcią i uwagą, pozwalają myślom błądzić w stronę owego niezwykłego podczłowieka, który przypadkiem wpadł im w ręce. - Sturbannführerze Hsiu, czy nie interesuje cię trzeci jeniec? On chociaż jest normalnie zarejestrowany w Systemie.

- Tak jest. Pokornie proszę o informacje.

- Jak na gangstera wydaje się potulny - mruknął pod nosem Vainehe, mierząc Wojownika pogardliwym wzrokiem. - Dawajcie go tutaj. Niech padnie na twarz przed Powiernikiem Bogów.

Leżący na brzuchu Bard, obolały, przerażony, wciskany w podłogę ciężkim butem Mao, widział, jak dwoje heitai skoczyło ku Zaniewskiemu i przyciągnęło go ku zmaterializowanej myśloformie neurikomu. Dag nie bronił się. Bard zacisnął powieki. Zaczął się modlić. Panie Jezu, oby coś się stało, coś, co im przeszkodzi otworzyć tunel na Shambalę i

dać Junowi metasanderin! Niech te zakłócenia rosną! Może Sule z Igorem zdołają nas jakoś wyciągnąć z tego piekielnego bagna!

- Witaj, TINGLIT.

Niski głos Zaniewskiego był łagodny, prawie czuły.

- Ty bezczelny podludzki śmieciu! - warknął Vainehe i chyba kopnął jeńca, bo Bard usłyszał głuchy odgłos uderzenia.

- Ja, Imhotep, przekraczam bramę - oznajmił głos Daga.

Bard aż westchnął. Rany Boskie! Ten człowiek oszalał - autentycznie oszalał ze strachu!

Tego, co zdarzyło się w ciągu następnej półtorej sekundy, nie zarejestrował ani Stapleton, ani nikt spośród ludzi w obserwatorium.

Bard, leżący twarzą do ziemi, usłyszał stęknienie, chrobot, trzask i cichy syk strzału - wszystko zlane w jeden dźwięk. But, wbijający mu się w kręgosłup, nagle znikł. Poczuł, jak wali się na niego jakiś ciężar.

Mocnym szarpnięciem tułowia przewrócił się na plecy. Ciężar, przygniatający go do podłogi, okazał się ciałem płaskonosego wyrostka. Mao był martwy, z głową przekreśloną pod nienaturalnym kątem. Wybałuszone puste oczy i rozchylone usta nadawały jego rysom wyraz naiwnego, dziecinnego zdziwienia.

Stapleton usiadł. Trup bezwładnie osunął mu się na kolana.

Hsiu i dwoje pozostałych heitai tworzyli plątaninę tułowi, ramion i nóg, nieruchomą i pozbawioną życia. Zwłoki Vainehe z odstrzeloną głową leżały nieco dalej, obficie tryskając jasną tętniczą krwią.

Majestatyczny starzec dematerializował się bez pośpiechu - nie ziarniście, lecz pasmowo, poczynając od nóg w górę. Zniknął już do kolan; wyższe partie ciała tkwiły udami w podłodze, zanurzając się coraz głębiej.

Obserwatorium, jeszcze przed chwilą pełne ruchu i dźwięków, stało się znienacka przedziwnie spokojne. Wszystko zamarło; tylko myśloforma systematycznie wtapiała się w grunt. Dag Zaniewski stał nieruchomo przy pulpicie sterowniczym, patrząc z namysłem na zmieniający się odczyt na jednym z ekranów i od niechcienia obejmując ramieniem kibić kruczowłosej dziewczyny. Dziewczyny?

Bard, którego umysł ledwo zdążył przyswoić nagłą i cichą śmierć pięciorga ludzi, omal się nie zachłysnął. Gdyby miał wolne ręce, przetarłby oczy. Nie, to chyba neurikom generuje mu w mózgu te absurdalne wizje!

Znów ogarnęła go fala strachu.

Neurikom. Czy ta brunetka, zmaterializowana nie wiadomo jak i skąd, nie jest przypadkiem kolejną myśloformą neurikomu?

Korona starca zagłębiła się w podłodze i znikła. Z całej postaci zostały jedynie długie pasma siwych włosów, porzucone koło trupów jak rekwizytowa peruka.

Niemożliwe! - pomyślał Bard, przenosząc oszołomiony wzrok na dziewczynę. - Absolutnie niemożliwe! Kruczowłosa przytuliła się do Wojownika, prowokująco pieszcząc jego biodro. I to ma być neurikom? Zginęło pięcioro funkcjonariuszy Agencji, a Powiernik Bogów kokietuje zabójcę?

W przeciwieństwie do Barda, Dag od razu rozpoznał myśloformę. Narodziła się z jego wspomnień. Dżihan. Na pół zapomniana, nastoletnia miłość. Pełna życia Wojowniczką, krew z krwi dzikich Pasztunów i walecznych Gurkhów, która na kolanach prosiła swego dostojnego ojca, żeby jej pozwolił wyjść za Daga za męża. Skutek był taki, że Dag trafił do ośrodka szkoleniowego w Orqo Cilay, skąd mało kto uchodził z życiem, a Dżihan, zgodnie z planami tongu, została wydana za dostojnika zaprzyjaźnionej triady. Od lat mieszkała na drugim końcu Sol Wangkuo jako Pierwsza Żona, matka licznego potomstwa, łykając tabletki przeciw otyłości i z nudów zatruwając życie pozostałym żonom. Co prawda Dżihan nie miała murzyńskich warg ani olbrzymiego biustu, rysy też zdawały się grubsze... Nastąpiła oczywista kontaminacja z Zunyere. Jasnowidzący neurikom cierpiał na zaburzenia rozdzielczości, co mogło znaczyć, że umysł TINGLIT szwankuje pod wpływem zakłóceń infopola. Dag ściągnął brwi. Niedobrze. To komplikowało sytuację.

U lewej ręki wciąż dyndała mu para zaciskowych kajdanek. Z roztargnieniem wysunął dłoń z obręczy, po czym niedbale rzucił kajdanki na konsolę sterowniczą i zajął przy niej miejsce, władczy i pewny siebie, jakby zasiadał tu od lat.

Bard tymczasem rozejrzał się, szukając Juna.

Jun leżał równie bezwładnie jak heitai. Oddychał jednak - szybko, płytko i równo. Twarz miał ziemistą, spoconą i ściągniętą, a jego mięśnie drgały wyraźnie, jakby śnił niespokojny sen.

Bard znowu przeniósł wzrok na Wojownika. Zadrzał. Serce zakołatało mu w piersi. Co planuje Zaniewski? Postąpi z nimi jak przyjaciel czy jak wróg? Po co zostawił ich przy życiu? Co tu się w ogóle dzieje?

- Zdejmij mi kajdanki - zażądał. Skrzywił się z bólu. Jego głos zabrzmiał nosowo i niewyraźnie.

Dag podniósł głowę znad konsoli.

- Poczekaj - mruknął, zaabsorbowany. Powrócił do subwokalnej rozmowy z



neurikomem.

Bard wyczuł słuch, ale ze szmeru ich głosów nie wyłowił ani jednego zrozumiałego słowa, choć w obserwatorium panowała cisza jak makiem zasiał. Piersiasta pannica rozwinęła się niby mgła. Neurikom wykasował myśloformę, pozostając wyłącznie przy własnej infotronicznej postaci.

Minęło dobrych parę minut, zanim Zaniewski ukląkł wreszcie przy Stapletonie i rozkuł go. Bard odetchnął, potarł palcami czerwone ślady na przegubach. Ramiona mu opadły. Pozwolił Wojownikowi złapać się pod pachy, podnieść z podłogi i pchnąć na stojący nieopodal fotel.

- To o Imhotepie to było hasło władzy? - zagadnął.

- Nie.

Dag ściągnął ze zwłok Hsiu pas z bronią i spokojnie zapiął go na biodrach. Potem znów podszedł do pulpitu sterowniczego.

- Wyświetl mi plan Instytutu i pokaż, gdzie są ludzie.

Jak się okazało, oddziały heitai pod dowództwem oficerów Varayany i Makonde wciąż uparcie przetrząsały Instytut w poszukiwaniu Lugszem. Dotarli już do strefy pełną betaenerfenu i usiłowali przedrzeć się przez nią do części gospodarczej, na razie z takim tylko skutkiem, że paru heitai ugrzęzło w ruchomej, lepkiej magmie. Reszta ludzi - pracownicy naukowcy, personel pomocniczy i personel techniczny - stłoczyła się w sali konferencyjnej. Średnia temperatura w Instytucie spadła już do trzech stopni.

- Mówiłaś, Powierniczko, że zagrażają następne wstrząsy?

- Moim zdaniem tak - potwierdził neurikom.

Głos neurikomowi płynął nie wiadomo skąd. Był zupełnie bezpłciowy.

- Instytut jest przecież mocno osadzony w lądolodzie, zakotwiczony na wyciszaczu i izolatorze. Dysponujesz aparaturą do pochłaniania fal sejsmicznych.

- Aparatura okazała się dalece niewystarczająca. To trzęsienie ziemi miało wiele jednoczesnych epicentrow. Płyta tektoniczna, na której leży nasza wyspa, pękła na trzy części, które uderzały o siebie nawzajem. Poziomy techniczne i gospodarcze zostały zniszczone, bo materiał, z którego je zbudowano, wszedł w narastający rezonans. To jest kataklizm na miarę nie znaną w Sol Wangkuo.

- Czy na drugiej półkuli Sanyasina, tam, gdzie panuje teraz dzień, wstrząsy były równie potężne?

- Nie. Na przeciwległej półkuli nie ma oceanu, który nasilałby fale sejsmiczne. Tam trzęsienie ziemi przebiegło słabiej.

- Istnieje teoria, że Patni jest protogwiazdą typu Marduk - powiedział Dag z zadumą. - Myślisz, że to, co się dzieje, może okazać się przemianą protogwiazdy w gwiazdę? W takim wypadku księżyce byłyby skazane na zagładę.

- Nie. Wykluczam taką możliwość. Niezależnie od tego nie uważam za prawdopodobne, by Patni była protogwiazdą. Moim zdaniem to planeta typu Fusang 1.

Dag chwilę studiował zmieniające się dane na ekranach.

- Cokolwiek tam zachodzi, to cholernie fascynująca sprawa - stwierdził z żalem. - Szkoda, że nie mam czasu. Natychmiast rozpocznij ewakuację wszystkich ludzi do sektora trzeciego. Po zakończeniu ewakuacji przejdź na procedurę awaryjną. Sektor trzeci musi zostać całkowicie odcięty od reszty pomieszczeń.

- Czy to oznacza, że mam zrezygnować z poszukiwania obiektu?

- Tak. Nie umiesz zlokalizować Lugszem innymi metodami?

- Niestety nie. Całkowicie straciłam z nią kontakt. Nie odbieram jej bionamiaru.

- Wykonaj moje polecenie.

- Tak jest.

Bard poczuł dreszcz ekscytacji. Coś podobnego! Przecież neurikomy przyjmują rozkazy tylko i wyłącznie od nadludzi! Sam dyrektor Instytutu nie ośmieliłby się odezwać do Powiernika Bogów tak, jak uczynił to Dag. Nawet wobec aminów neurikom pełnił rolę niezwyklej, potężnej i nieprzewidywalnej superistoty, która łaskawie pomaga niezdatnym i niemądrym stworzeniom z gatunku *homo sapiens*.

- Przechodzimy na gao yeyán - mruknął Dag.

TAK JEST - wydrukowało się na głównym ekranie.

Neurikom odsłonił klawiaturę, dotychczas ukrytą w głębi konsoli sterowniczej. Zaniewski od razu zaczął coś szybko pisać.

Bard wstał i zajrzał mu przez ramię. Zobaczył złożony, długi tekst w gao yeyán - wewnętrznym egzomatematycznym języku, w którym porozumiewały się między sobą neurikomy i w pewnym zakresie kogitery. Tylko starannie wyszkoleni programiści potrafili posługiwać się tym wybitnie skomplikowanym szyfrem, o wiele bogatszym syntaktycznie i semantycznie od xinés, pełnym nieprzetłumaczalnych pojęć z trudem tylko ogarnianych przez umysł ludzki. Do nauki gao yeyán kogitery dopuszczały wyłącznie aminów. Dla niższych kast był to język zakazany i święty. Po Sol Wangkuo krążyły pogłoski, że neurikomy mają też inną mowę, własną, supertajną, której zmysły ludzkie nie potrafią odebrać ani rozum przyswoić - lecz jak dotąd pogłoski te nie znalazły potwierdzenia.

Dag, skupiony niczym w transie, bez chwili przerwy kreślił na ekranie dziwaczne,

chaotyczne kombinacje barwnych trójwymiarowych figur, cieni, fraktali, przeplatane ciągami matematycznych zapisów i z rzadka słowami. Neurikom odpowiadał w podobny sposób, dodając sekwencje muzyczne, które przekładał czasem jednocześnie na synestetyczne abstrakcyjne obrazy.

Stapleton znów ułożył się w fotelu. Zamknął oczy. Powinien zejść na poziom theta lub przynajmniej alfa, by stłumić tępy ból, który promieniował do mózgu z całego potłuczonego ciała. Nadal jednak serce tłukło się w nim z emocji. Kim jest Zaniewski? Gdyby stał po stronie Agencji Ochrony Dobra, Jun na pewno by o tym wiedział. A Jun mu z jakiegoś powodu zaufał... Więc skąd Wojownik Triady zna tajną mowę neurikomów? Nie należy do Netu Dżarih, powiedział Jun... czyli nie zdobył tej wiedzy za zgodą tongu... Geniusz? Czy istnieje taki cholerny geniusz, który sam jeden, od podstaw, odkryłby infotronikę na poziomie Archontów?

Neurikom Instytutu nie był skomplikowany. Spokojnie, po kolei, Dag załatwił wszystko, co chciał. Kosmodrom stanął otworem. Z umysłów Liane, dyrektora, oficerów i heitai znikło wszelkie wspomnienie o schwytych podludziach; zapomnieli o tym również wszyscy, którzy o tym od nich usłyszeli, oraz wszystkie kogitery i bioautomaty. TINGLIT działała starannie, wymazując każdą ścieżkę pamięciową. Nawet podczas głębokiej mentoskopii nikt niczego nie odnajdzie.

Umysł Barda okazał się niedostępny. Chroniła go infobariera nieustalonego pochodzenia, tak mocna i szczelna, że pokonywanie jej zajęłoby TINGLIT kilka godzin subtelnych zabiegów. Dag z żalem musiał zrezygnować.

Na sam koniec zostawił sobie prywatny rarytas: Juna M'bo.

I tu przeżył zaskoczenie.

Neurikom - nawet neurikom! - nie zdołał nic ustalić. TINGLIT pobrała Junowi próbkę naskórka, dokładnie przebadła kod genetyczny, wszystkie cechy identyfikacyjne - i dalej nie wiedziała, z kim ma do czynienia.

Zbyt wiele się nie zgadzało. Jun nie mieścił się w żadnym ze znanych profili klonów.

Na pewno nie jest ani M-1-1, ani N-165, stwierdziła TINGLIT, ponieważ jest genetycznym synem ZBX 809. To zaś oznaczało, że może być albo Unicestwiaczem, albo którymś z ocalałych klonów późniejszych serii, M-5 lub M-6. W takim wypadku byłby jednak młodszy od Unicestwiacza co najmniej o cztery lata - a nie był. Poza tym żaden klon z tych serii nie zaginął; Agencja знаła miejsce pobytu każdego z nich.

A więc naprawdę był Unicestwiaczem? Pozostawała tylko ta jedna możliwość. Lecz TINGLIT wykluczyła ją stanowczo. Każdy infotyp miał niezmiennie przez całe życie

indywidualne cechy, stanowiące infotroniczny zapis tożsamości na poziomie nadwymiarów. Infotyp Juna nosił cechy znacząco różne od infotypu Assahira. Tak różne, że utożsamienie Juna z Assahirem nie wchodziło w grę.

TINGLIT znalazła się w kropce. Logicznie biorąc, Jun nie istniał. Nie pasował do żadnego z możliwych wariantów.

Dag polecił TINGLIT przesondować umysł klona.

*Już to zrobiłam*, odparła ponuro i pokazała mu wyniki.

Odczyt poraził go kompletnie.

Był zerowy. Infopole Juna wykazywało czysty biały szum, nieskażony bodaj śladowym szczątkiem informacji. Wartość, natężenie i zakres psychomatrix wykraczały poza wszystkie znane skale. Mentogram niemożliwy do sporządzenia - zbyt duża odmienność warunków wyjściowych, brak jakichkolwiek parametrów nadających się do pomiaru. Na domiar złego infopole wykazywało protuberancje o nieustalonym wpływie na pole bazowe. No i oczywiście - istniała bariera. Dokładnie taka sama jak u Assahira.

Dag po raz pierwszy w życiu widział coś takiego.

Przeniósł na Juna osłupiały wzrok. TINGLIT rozumowała logicznie - Jun nie mógł być Unicestwiaczem. A skoro nie mógł, to nie był. W tym punkcie rozumowanie TINGLIT dobiegło końca. Ani ona, ani żaden inny neurikom nie wykroczy poza ten sylogizm. Nasłuch nie będzie reagował na obecność Juna w mierzalnym infopolu.

Ale kim on jest?

Załóżmy... bo co nam szkodzi założyć... że to nie tożsamość stanowi klucz do sprawy - pomyślał Dag. - Czym różni się Jun od Assahira? Tylko i wyłącznie infotypem. Cała reszta przecież się zgadza!

Jego odczyt psychomatrix był typowy dla Unicestwiacza. Normalne skale psychomatrix obejmowały pełny zakres, od wartości ujemnych po maksymalne. Tylko enselin wykazywałyby wartości poza wszelkim pomiarem. Infopole zawsze dawało się jakoś odczytać, nawet w wypadku zupełnie obcych istot, kiedy odczyt bywał niezrozumiały jak hieroglif. Wyłącznie enselin mógł posiadać infopole, które nie przekazywało ludziom żadnych absolutnie informacji.

Jun żył już dwadzieścia osiem ziemskich lat. Był niewątpliwie klonem Mumii z Olmar... A może nie? W umyśle Daga przez moment zawirowały fantastyczne hipotezy. Ożywiona Mumia? Bliźniak Mumii przeniesiony ponad czasem? Enselin z Ense Larran...?

Bzdury, bzdury! - pomyślał zniecierpliwiony. Jun musi być klonem Mumii z Olmar, bo jest synem ZBX 809. Został wyprodukowany przez Agencję. Albo jest Unicestwiaczem,

jak sam twierdzi, albo klonem Unicestwacza. W tym drugim wypadku musiałby być temporalnie młodszy od pierwowzoru - a nie był. Nie był też akceleratem; raz, że neurikom by to wykrył, dwa, że nawet jak na dwudziestoosmiolatka miał wyjątkowo dojrzałą osobowość i wyrobiony intelekt. Teoretycznie mógł być jeszcze nanokopia, lecz to nie tłumaczyło jego niezwykłego odczytu. Nanokopie są zawsze słabsze od oryginałów, a gdyby jakaś obca cywilizacja umiała tak niesamowicie przekształcać i nasilać wartości psychomatrix, żaden klon Mumii nie byłby jej potrzebny.

Wniosek nasuwał się sam.

Jun to M-2-5.

A że ma inny infotyp... Dag wzruszył ramionami do własnych myśli: no, to nie problem. Wystarczyło wprowadzić do wszystkich solaryjskich neurikomów fałszywy infoworzec Assahira w miejsce prawdziwego. Trudne, ale wykonalne. A może ci, którzy przejęli go jako dziecko, zmienili mu nie tylko twarz, ale i indywidualne cechy infotroniczne? Nauka uważa to za niemożliwe... ale nauka lubi się mylić.

No to świetnie. Wiem, na czym stoję, pomyślał Dag, marszcząc czoło. *Dzoude shi*, a już myślałem, że najgorsze kłopoty się skończyły. I co teraz?

Enselin czy nie, metasanderin działał równo na wszystkich mentatów... Dag rozważył tę kwestię, błędząc wzrokiem po ekranach. Nikt nie wiedział, co się jeszcze zdarzy. Katakлизм na Patni mógł mieć dla księżycy nieobliczalne konsekwencje, a na stacji została Oria. Lepiej w razie czego mieć pod ręką potężnego Assahira niż bezmyślny i bezradny kloc nafaszerowany narkotykiem.

Wykasował dane i wstał.

- Idziemy - powiedział do Barda.

Bard podniósł powieki, poruszył się niemrawo i aż syknął z bólu. Na Zaniewskiego spojrzała para niebieskich oczu, równo podbitych, okolonych wyraźnymi już krwiami. Cała puchnąca twarz czerwieniła się od podskórnych wybroczyn. Na wargach i nosie krew zakrzepła w grube strupy.

- Idziemy? Już?

- A co? Wolisz zostać? Chcesz pójść na bal maskowy dla oficerów Agencji?

- Pewnie. Przebiorę się za piłkę futbolową.

- Taak, do tej roli masz rzadki talent. Z maniackim uporem ładujesz się pod buty heitai. I po co ci to?

- Grałem na czas, zanim dadzą Junowi metasanderin. Planowałem jeszcze odstawić atak jakiejś efektownej choroby.

- Dobra, wstawaj. Przykro mi cię rozczarować, ale bal raczej się nie odbędzie.

- Nie wtedy, jeśli docent Liane będzie miała coś do powiedzenia - zgodził się Bard. -  
Ona chyba nie należy do kobiet zafascynowanych mundurem.

- Miałem raczej na myśli okoliczności obiektywne.

- E, nie przesadzaj. Ja bym się tym nie zrażał. Co tam jakieś trzęsienie ziemi.  
Niestraszne nam fale skalarnie ni płyt tektonicznych głuchy jęk...

Dag wyszczerzył zęby w uśmiechu, rozpoznając frazę. Co prawda, w wersji oryginalnej hymn Agencji brzmiał ciut jakby inaczej...

- Głuchy jęk to się dopiero rozlegnie, jak Akademia oszacuje koszty odbudowy.

Wyciągnął rękę, Bard złapał ją i wstał, krzywiąc się z bólu. Rozejrzał się po zakrwawionym obserwatorium. Przez moment zrobiło mu się nieswojo. Obaj z Dagiem przerzucali się żartami nad stosem martwych ciał... A co tam, do diabła z tym, nie będzie po nich płakał! Ruszył w stronę Juna. Stopa zaplątała mu się w szare, długie włosy. Potrząsnął nią z irytacją.

- Co u licha? One są materialne!

Dag wyjął zza pasa miotacz i sprawdził stan naładowania, uśmiechając się lekko.

- To taki prywatny dowcip TINGLIT.

- Dowcip?

- Ostatnio kilku ludzi w Instytucie zaczęło uprawiać dzogczen. Ją to bawi.

- Uprawiać co?

- Dzogczen. Nie słyszałeś o tym?

- Jak żyję! Co to jest?

- To kogitystyczna wersja Ścieżki Perfekcji.

- No, no. Już sam początek brzmi szalenie zachęcająco.

Uśmiech Daga stał się szerszy.

- Posłuchaj dalej. Kogityści uważają, że ludzie na podobieństwo kogiterów powinni poddać się dziejowej miniaturyzacji. Im mniej materii, tym lepiej. Dzogczen to właśnie praktyka mistyczna, która ma zminiaturyzować ciało. Podobno wynaleziono ją w Tybecie trzy tysiące lat temu, ale stała się modna dopiero od kilku miesięcy. Neuromie kogitystyczne reklamują ją jako Nowy Przewrót Mistycznego Oświecenia. Adept medytuje, póki nie dozna jedności z Pustką. Wówczas guru uczy go wchodzić w specjalny trans, zwany rigpa. Podczas rigpa cielesna powłoka adepta karleje z tygodnia na tydzień w miarę, jak fizyczne ciało zmienia się w Ezoteryczne Ciało Tęczowe. Materia kurczy się i ostatecznie zanika zupełnie. Uteczowiony adept wkracza bezpośrednio w nirwanę, porzucając drogę kolejnych inkarnacji.

W świecie materialnej mai zostają tylko jego włosy. Z niezbadanych powodów włosy nie podlegają ezoterycznej przemianie.

Mina Barda wyrażała mieszaninę obrzydzenia i niedowierzania.

- Nabierasz mnie!

- Skądże znowu.

- I oni naprawdę... karleją?

- Nie wiem - Dag wzruszył ramionami. - TINGLIT z tego kpi.

- Trzeba mieć chorą wyobraźnię, żeby wymyślić taki kretyński sposób odejścia ze świata! Widocznie rozum kurczy im się w pierwszej kolejności.

- Czemu uważasz to za kretyńskie? - Dag załadował kolejny miotacz.

- Bo tylko kretyn może sprowadzić swoje życiowe aspiracje do marzenia, by zostać krasnalem! Ja już pomijam, że adeptowi przy okazji kurczy się też parę organów, które każdy normalny człowiek wolałby posiadać w rozmiarach maksymalnych... - Bard urwał, tknięty nagłą myślą. - Wiesz co, a może by tak zarekomendować to dzogczen znajomym? Jest kilku takich, za którymi nie przepadam.

- Złośliwa z ciebie bestia.

Bard ze wstrętem ominął długą brodę, rozwleczoną na posadzce, podszedł do Juna i schylił się, by zarzucić go sobie na plecy.

Podskoczył nerwowo, słysząc syk miotacza. Obrócił się natychmiast.

Dag Zaniewski obojętnie i metodycznie niszczył porozrzucone po obserwatorium zwłoki. Tkanki trysnęły, ciała poczęły kurczyć się, zwijać i niknąć. Kości rozsypały się w proch.

Bard podniósł rękę do gardła. Chwyciły go mdłości.

- Co ty robisz?

- Ich mózgi nas pamiętały, ich skóra miała kontakt z naszą. Powinieneś wiedzieć coś o infośladach. To ciebie namierzyli jako Inkarri 61.

- Pewnie mnie - przyznał Bard markotnie. - Rzeczywiście byłem na Inkarri w trzydziestym drugim roku.

Na zakończenie Dag zniszczył fotele, w których siedzieli, i wypalił czarny otwór w posadzce w miejscu, gdzie leżał Jun.

Za wrotami wciąż czekał planetolot, którym ich tu przywieziono. Najwidoczniej Liane i dyrektor albo odeszli pieszo, albo trzymali gdzieś w pobliżu własne środki lokomocji.

Instytut wydawał się wymarły. Jasno oświetlone wnętrza tchnęły zimnem. Gdy opuścili biały tunel, ujrzeni, że nawet tu, na najbezpieczniejszym poziomie, trzęsienie ziemi

zostawiło wyraźne ślady. Ściany i podłogi popękały. Z niektórych szczelin szarymi bąblami pączkował już betaenerfen. Korytarze ścieśniły się i poskręcały, przybierając groteskowy, asymetryczny wygląd, jak z majaków szalonego architekta. Cisza dzwoniła w uszach. Bard daremnie wypatrywał jakiegoś ruchu, śladu życia, choćby jednego automatu. Ta błada, zimna pustka sprawiała upiorne wrażenie. Gdyby nie fotoksyt i farba luminescencyjna, Instytut do złudzenia przypominałby posępne, prastare katakumby.

- Tu trzeba skręcić w prawo - rzekł Bard, gdy dolecieli do skrzyżowania dwóch korytarzy. - Ta odnoga powinna prowadzić dokładnie w stronę kosmodromu.

- Nie. Zamierzam coś jeszcze załatwić - mruknął Dag i skręcił w lewo.

Bard zdziwił się.

- Chcesz zajrzeć do magazynu obcych obiektów?

- Tak.

- To nie jest najlepsze miejsce na szukanie pamiątek z wycieczki. Trzymają tam artefakty z Dakini. Nikt nie wpadł jeszcze na pomysł, do czego większość z nich mogła służyć.

- Kilka zostało rozpracowanych.

Bard spojrział na niego ciekawie. Niestety, widywał już ryby o mimice żywszej i bardziej czytelnej niż u Yaoyinga.

- Uważaj. Każda rzecz znaleziona na Dakini jest równie bezpieczna jak rój meteorów. Najlepiej podziwiać je z oddali. *Exemplum* choćby Lugszem.

- Lugszem? Dlaczego?

- Słyszałeś, co powiedziała, kiedy ją obudziliśmy?

- Myślała, że to jakiś Yukio.

- Doktor ksenopsychologii Yukio Herero. Jej kochanek. Nie żeby narzucał się Lugszem przemocą, skąd. Ona go regularnie uwiodła. Wpasowała się w jego wieloletni związek z jednym z tutejszych inżynierów, niejakim Himmlerem Wu. Z początku figlowali sobie we troje, ale tydzień temu Himmler zaczął być zazdrosny. Upozorował samobójstwo, tylko że trochę przedobrzył. Umarł naprawdę.

Bard nie spodziewał się, że szef triady uroni łzę wzruszenia nad losem tragicznego kochanka, lecz reakcja Wojownika zaskoczyła go.

- Upozorował samobójstwo? - Dag skrzywił się z niesmakiem. - Co za brak gustu.

- Brak... gustu?

- Masz luki w edukacji. Rozumiem jeszcze, że nie słyszałeś o dzogczen, bo to najnowsza moda, ale jako szpieg powinieneś wiedzieć, że statystycznie jedna trzecia ludzi



kończy wcielenie samobójstwem. Zabijają się z nudów, z powodu kłopotów, zawodów miłosnych, podczas rytuałów albo gdy zaczyna do nich wreszcie docierać, jak jałowe jest virtu, w którym wegetują. Różnie. To zwykła rzecz. I żadna trudność, wystarczy zamówić firmę eutanazyjną. Ale pozorowanie, udawanie zmiany wcielenia to coś, czego w Sol Wangkuo żadną miarą nie wypada robić. Nie uczyli cię tego na kursach wywiadowczych?

Stapleton nie odpowiedział, bo dolecieli do celu.

W normalnych warunkach drzwi magazynu były strzeżone i zablokowane. Teraz stały otworem. Czekał w nich mały samotny bioautomat, który obejmował mackami brązową skrzynkę. Dag rozkazał mu, by położył ją na tylnym siedzeniu planetolotu, obok Juna. Gdy bioautomat wykonał polecenie, Zaniewski jednym strzałem rozniósł go na bezkształtną masę, która zastygła na podłodze jak czarny kopczyk. Bard w milczeniu odwrócił wzrok.

Kosmodrom oczekiwał ich również. Po grodziach nie zostało śladu. Na lśniącej ciemnoszarej płaszczyźnie lądowiska stało sześć kosmolotów. Dag skierował planetolot ku najmniejszemu z nich. Był to zgrabny sportowy statek, model ninlil 500, używany zwykle w zawodach pilotażu.

Właz sam się przed nimi otworzył.

- Wynajęłeś też obsługę? - zagadnął pogodnie Bard, nie bez wysiłku gramoląc się na pokład. Był ledwo żywy, poraniony i obolały, a bezwładny Jun z każdym krokiem ciążył mu coraz bardziej. Musiał oddychać przez usta, bo skrzepy krwi zatkały mu rozbity, pulsujący bólem nos.

- Ty będziesz pilotował. Mam nadzieję, że trafisz na waszą stację.

Bard wystartował z fantazją, podrywając ninlila w jednej chwili z poziomu lądowiska niemal na wysokość słuź powietrznych kosmodromu.

Nagle zrobiło mu się zimno.

Pozostałe pięć kosmolotów powoli i majestatycznie uniosło się z pól startowych.

- Przecież te statki muszą być puste! Co się dzieje?!

Dag obserwował kosmoloty ze swoim zwykłym chłodnym opanowaniem.

- Są puste. No, leć.

Bard odetchnął. Jasne. To znowu geniusz przy pracy. Ale co on knuje?

Neurikom otworzył obie słuzy, jedną za drugą. Bard wyprowadził statek z doku w nieprzeniknioną, czarną noc.

- Dlaczego tak ci się nie spodobało, kiedy Mao dotykał Juna? - zagadnął Dag mimochodem. Zawsze próbował dokładnie poznać każdy obcy sposób myślenia, a w przypadku Barda zostało niewiele czasu.

- Jun to mój przyjaciel. Żadne zboczone bydlę nie będzie sobie o niego wycierać obleśnych łap.

Dag nie zrozumiał. W jego świecie pojęć słowo: „zboczony” oznaczało mięsożercę, a „przyjaciel” stanowił synonim kochanka.

- Myślałem, że wy, joszuici, uznajecie tylko stosunki między mężczyzną i niewiastą, czy jak tam głoszą wasze święte pisma.

- Przyjaciel... no, po medyjsku nauri, w omoi to znaczy kumpel. Mówiłem w euroxinés. I żeby nie było nieporozumień, nigdy w życiu nie uprawiałem seksu z żadnym mężczyzną, dzieckiem, robotem, biorobotem, mutantem, humanoidem, ahumanoidem, zwierzęciem, rośliną, komputerem, kogiterem, neurikodem... - Bard urwał, bo tchu mu zabrakło. - Coś pomiąłem?

- Mhm. Kobiety

- Kobiety - oznajmił Bard z mocą - to zupełnie inna sprawa.

Dag pokręcił głową, patrząc dziwnie na Stapletona. Przy całym swoim intelektualnym wyrobieniu Bard był tak zaskakująco niewinny.

- Masz szczęście, że nie wychowałeś się w Sol Wangkuo - powiedział tylko.

- Wyrosłem na solaryjskim Pograniczu - odparł Bard. - To też, ściśle biorąc, nie jest raj na zie... Co u diabła? Co to?! Co się dzieje?!

Pięć kosmolotów wyleciało ze śluzu w ślad za ninlilem. Kopuła zamknęła się za nimi jak paszcza węża.

Z zewnątrz Instytut wyglądał nadspodziewanie dobrze. Jedna kopuła wprawdzie runęła, po dwóch innych biegły ciemne zygzaki pęknięć, lecz reszta przetrzymała wstrząsy nietknięta. Wszystkie, nawet te uszkodzone, emitowały nieznaczną jasnozieloną poświatę. W tym słabym blasku Bard ujrzał, że pięć kosmolotów ustawia się w klasyczny szyk bojowy.

- Chyba nas atakują!

Bezzałogowe statki ruszyły cicho przez ciemność.

- Nie leżymy na ich trajektorii - zauważył Dag spokojnie.

- Przecież na ich trajektorii leży tylko... Głos zawiódł Stapletona.

Ochronny pancierz Instytutu, oderwany potężną siłą, uniósł się z łoskotem, powoli skręcił w stożek i odleciał w mrok. Z kosmolotów jak gęsty grad sypnęły się kule jasnego światła, podobne do piorunów kulistych, które przeniknęły przez okaleczone ściany budynków i znikły wewnątrz. Przez następną minutę statki wolno sunęły nad Instytutem, równomiernie rozsiewając swój zasób bomb. Gdy siew dobiegł końca, przeformowały szyk i wszystkie razem odleciały ku bezgwiezdnemu niebu.

Moment później wyspą wstrząsnął wybuch. Całą okolicę zalało przeraźliwe pomarańczowe światło. Błysk trwał sekundę. Zanim zapadł mrok, w niknącym poblasku Bard ujrzał, że na całym obszarze, gdzie jeszcze przed chwilą były budynki, teraz zionie jeden olbrzymi dymiący krater.

Instytut Ksenologii przestał istnieć.

## Rozdział XXI

Bard popatrzył w gęste ciemności i powoli wypuścił powietrze z płuc. Miał nadzieję, że ludzie przeżyli. Tak zwany sektor trzeci był pancernym schronem, głęboko osadzonym w lądolodzie. Przeniósł wzrok na ekran noktowizyjny, który wyraźnie i ze szczegółami ukazywał istic księżycowy krajobraz rozciągający się na terenie, gdzie zaledwie przed minutą wznosił się dumnie ku nocnemu niebu kompleks złocistych kopuł Instytutu.

- Wiesz co, Dag? Trzęsienie ziemi przy tobie wysiada. Jesteś lepszy. Dużo lepszy.

- Lepszy? - powtórzył Zaniewski ze zdziwieniem. - Ja?

- A kto to zrobił?

- Widocznie neurikom dostał zaburzeń umysłowych. Neurikomy wchodzą w rezonans z infopolem, a infopole Sanyasina jest pełne wyjątkowo silnych zakłóceń.

- Dobra, dobra. Wiedziałeś, co się stanie. To dlatego kazałeś ewakuować ludzi!

Dag był autentycznie zdumiony.

- Ludzi? Chyba żartujesz. A co mnie obchodzi, czy oni żyją, czy zdechną? Ewakuowałem ich, żeby nie pętali się pod nogami.

- I taki byłeś pewien, że bal się nie odbędzie. No i rzeczywiście. Scenografię to im załatwiłeś na amen.

- Wiesz, gdzie ja mam ich bale?

- Wiem. Agencja razem ze swoimi balami służy ci, powiedzmy, do higieny intymnej. Popieram. Ale chyba o czymś zapomniałeś. Rdzeń neurikomu znajduje się właśnie w segmencie trzecim. TINGLIT przetrwa. A ona dużo o nas wie.

- Potem będziesz się tym martwił. Teraz wracajmy na stację.

Bard potarł obolałą szczękę, przyglądając mu się z zastanowieniem.

- Aha... Więc ty celowo oszczędziłeś sektor trzeci. Chciałeś, żeby TINGLIT przetrwała. Wiesz co, zanim zaprogramuję lot na stację, oddaj mi broń.

- Broń? Po co?

- Konsekwentnie niszczysz wszystko, co mogłoby wskazać na twój pobyt w Instytucie. Rozwaliłeś nawet ten Bogu ducha winny bioautomat magazynowy, choć wystarczyłoby mu wykasować pamięć. Założę się, że TINGLIT też już nie wie o twoim istnieniu. Ja jestem ci na razie potrzebny, bo znam położenie stacji, ale za chwilę będę następny w kolejności.

- Nie będziesz. Nie zabiję was.

- Oddaj broń.

Dag wzruszył ramionami. Odpiął pas z bronią i podał Stapletonowi. Bard, nie spuszczać z Wojownika podejrzliwych oczu, wziął najmniejszy miotacz. Rzucił pas za swój fotel pilota, poza zasięg Zaniewskiego, i nastawił miotacz na ładunek ogłuszający.

- Wybacz, ale wolę zachować przezorność. Już wiem, co potrafisz. Gołymi rękami zabiłeś pięcioro uzbrojonych ludzi.

- Czworo.

- Co czworo?

- Gołymi rękami zabiłem czworo. Piątego zastrzeliłem.

- Tak, jasne, to rzeczywiście istotna różnica. Zwłaszcza dla tego Vainehe, świeć Panie nad jego żalną duszyczką.

- Kto ma świecić? - nie zrozumiał Wojownik.

- To takie powiedzenie. W jakiej formacji naprawdę służyłeś, Dag? W Trzydziestu Sześciu Niepokonanych?

- Czemu tak myślisz?

- Żeby uwolnić ręce z samozaciskowych kajdanek, trzeba mieć specjalnie modyfikowane dłonie. To bardzo kosztowny zabieg, wykonywany tylko u najwyższej elity komandosów. Długo należałeś do Trzydziestu Sześciu?

- Dwa lata.

- Że też nie zdążyłem nic zobaczyć! - w głosie Barda zabrzmiał szczerzy żal. - Zawsze chciałem ujrzeć Niepokonanego w walce.

Dag wzruszył ramionami.

- To nie była walka. Prosta, nudna likwidacja. Nie oczekiwali ataku po kimś tak zastraszonym jak ja, byli psychicznie otwarci na cios. Poza tym nigdy nie uważałem się za Niepokonanego. Wyjątkowo głupia nazwa. Wystarczy raz znaleźć się po niewłaściwej stronie miotacza, a każdy Niepokonany zamieni się w dymiący żużel. Widywałem to, Bard.

- Czy wy naprawdę spowalnicie bieg czasu?

- Jasne, że nie. Umiemy tylko przyspieszać własne reakcje. Jesteśmy biocyborgami.

- Podobno wtedy postrzegacie świat tak, jakby wszystko wokół działało się w zwolnionym tempie, a tylko sami na tym tle poruszacie się szybko. Tak to wygląda?

- Owszem. A teraz może wreszcie rusz stąd tylek. Martwię się o Orię. Nie wiadomo, w jakim stanie jest wasza stacja.

- Stacja jest sejsmoodporna, tkwi głęboko w lodowcu. Nic złego nie powinno się stać. Zresztą gdyby coś groziło Aune, Jun by się tym zajął.

- Wasz Jun nie umiał się nawet zająć lejem sucing. Co z niego za Unicestwiazcz?

Bard uśmiechnął się.

- Nie, Dag. To bardziej skomplikowane. Myślisz, że Unicestwiazcz nie wpada w pułapki, bo je wyczuwa? Albo że automatycznie omija zagrożenia, jak robot zwiadowczy? Nic podobnego. Jun działa inaczej. On generuje sploty zdarzeń. Widzi drogi, dosłownie i metafizycznie. Idzie drogą, która prowadzi do pożądanego skutku. Jeśli wybrał drogę przez te schody, jeśli pierwszy nią poszedł, to miał powód. A że wpadł w lej, to z jego punktu widzenia drobna niedogodność. Najważniejsze, że coś w ten sposób osiągnął. Ciekaw jestem, co.

- Wracajmy już.

Nieufnie zerkając na Wojownika, Stapleton wprowadził do pokładowego kogitera dane o położeniu stacji i włączył autopilota. Dag obserwował go spod oka, leniwie wyciągnięty w fotelu, z rękami założonymi pod głowę. Gdyby mu na tym zależało, potrafiłby zlikwidować Stapletona choćby w tej chwili, a położenie stacji znał na pamięć. Ale Bard nie powinien o tym wiedzieć. I tak już wiedział o wiele za dużo.

Położył nogi na pulpit sterowniczy. Bard aż podskoczył. Odruchowo uniósł broń.

- Uspokój się. Wpadasz w nerwicę sytuacyjną.

- Dag, nie oszukujmy się. Wiem, do czego jesteś zdolny. Wolę ci patrzeć na ręce.

- Patrz. To pierwsza rozsądna rzecz, jaką wymyśliłeś.

- A jakie były te nierozsądne?

- Zrobiłeś głupstwo, okazując, że Jun jest dla ciebie ważny. Takich informacji nie udziela się wrogom. Zrobiłeś drugie głupstwo, gdy szarpałeś się z heitai w obserwatorium. Jedyne, co zyskałeś, to obity pysk.

- Żeby tylko pysk! - skrzywił się Bard boleściwie. - Ale skąd mogłem przypuszczać, że twój urok osobisty tak podziała na TINGLIT? A właśnie, co to było, ten tekst o Imhotepie? Hasło władzy?

- Przecież już ci mówiłem, że nie. Hasła władzy to legenda. Żaden neurikom ani kogiter nie utraci samodzielności po usłyszeniu jakiegoś tam hasła. W ten sposób warunkuje się wyłącznie ludzi.

Bard nieznacznie skinął głową. Dobrze o tym wiedział.

- Wszystko jasne - zapewnił pogodnie. - Tekst o Imhotepie tylko tak wpadł ci do głowy, a TINGLIT słuchała twoich rozkazów, bo akurat miała ochotę, żeby ktoś jej rozkazywał. To się przecież zdarza co drugi dzień.

- To było Hasło Widzących. Dzięki niemu neurikom zidentyfikował mnie jako

qiangliyana, agenta o najwyższych prerogatywach. Qiangliyan ma prawo wydawać polecenia każdemu neurikomowi, z wyjątkiem tylko Archontów, i może zabić dowolną liczbę ludzi, jeśli uzna to za przydatne dla swojej misji.

Oczy Barda rozszerzyły się w szoku. Wiedział o qiangliyanach więcej, niż Dag sądził.

- Jesteś progresorem Cesarza?! Ty?!

- Nie - uspokoił go Zaniewski. - Poznałem to hasło kiedyś, przypadkiem.

- Że też mi nigdy nie przytrafił się taki przypadek - westchnął Bard żałośnie.

- Rozumiesz, jakiś czas temu spotkałem pewną wysoką oficer Agencji, qiangliyankę.

Ona... hm... mówiła przez sen.

- Jakie to romantyczne! Czyżby łączyła was płomienna miłość?

- Całkiem płomienna, owszem - zgodził się Dag.

- Okrutny los was rozdzielił, lecz ty nigdy nie przestałeś o niej marzyć?

- Niewykluczone.

- Tak się składa, że z racji moich zawodowych zainteresowań wiem, że istnieje wiele tak zwanych Haseł Widzących. Każdy neurikom reaguje tylko i wyłącznie na jedno. Qiangliyanowie są specjalnie szkoleni, żeby rozpoznawać, jakie hasło pasuje do konkretnego neurikomu. To stąd pochodzi nazwa hasła. Może go prawidłowo użyć tylko „widzący”, ktoś, kto dostrzega w zachowaniu, myśloformach czy głosie neurikomu znaki niedostrzegalne dla nikogo poza nadczłowiekiem albo qiangliyanem. Dlatego, Dag, bajka o twojej gadatliwej ukochanej wymaga przeróbek. I to sporych.

Dag spojrział na niego bez wyrazu.

- Podobnie jak bajka o tym, że porwaliście mnie i moją siostrę tylko po to, żeby uzyskać informacje na temat triady.

- Porwaliśmy was, bo Jun powiedział, że jesteście geniuszem.

- Bzdura. Znam się trochę na infotronice, ale geniuszem bym się nie nazwał. Zresztą geniuszy infotronicznych żyje w Sol Wangkuo od cholery i trochę. Wasz Unicestwiaz coś kręci. Wmówił wam, że stanowią doskonały towar dla waszych mocodawców, bo prowadzi moim kosztem jakąś grę.

- Dag, nie jesteś traktowany jak towar! To nie tak!

Zaniewski rzucił mu spojrzenie pełne cynicznego politowania. Jak już kłamać, to chociaż mądrze.

- Moi, jak to nazywasz, mocodawcy, być może będą zainteresowani współpracą z tobą. Dobrowolną współpracą, Dag. Nikt cię do niczego nie zamierza zmuszać.

- Oczywiście. Najmocniej przepraszam za przejęzyczenie. Zamiast „mocodawcy”

powinienem był powiedzieć „szlachetne byty anielskie”.

- Uwierz mi. My szanujemy wolną wolę. To dla nas wszystkich zasada wiary.

Dag nie odpowiedział. Jednak umiejętnie kłamie ten Bard - głupio, ale umiejętnie. Wygląda, jakby całym sercem wierzył w to, co mówi. A przecież trudno posądzać go o naiwność. Albo został świetnie zaprogramowany, albo świetnie wyszkolony. Szkoda tylko, że wygaduje takie brednie. I w ogóle - ech, w ogóle szkoda.

- W każdym razie - ciągnął Stapleton - tak myśli Sule. Jakie motywy kierują Junem, to już zupełnie inna sprawa. Bo to właśnie Jun nalegał, żeby zabrać cię na Sanyasin i na Medę.

- Cholernie pocieszające - mruknął Dag z sarkazmem. *Dzoude shi*, nie dość, że ogarnął go bezsensowny smutek, to w dodatku zrobiło mu się nieswojo.

- Jun wybrał cię na swojego przyjaciela. Kumpla - dodał pospiesznie Bard.

Dag wzdrygnął się nieznacznie.

- Jak w ogóle można być kumplem Unicestwacza? Seks bym jeszcze zrozumiał, ale to? On potrafi jednym spojrzeniem rozpylić każdego na atomy. Jest totalnie nieludzki. Obcy. Ma umysł bardziej odległy niż jakikolwiek neurikom.

- E, nie przesadzaj. Jun po prostu lubi otaczać się taką aurą, wiesz. Tajemniczy Enselin z Jeszcze Bardziej Tajemniczej Ense Larran.

- Należy do innego gatunku.

- No i co z tego? Psy, koty, konie i delfiny też należą do innego gatunku, też mają inny zakres percepcji, a przecież się ich nie boimy. A Jun jest przynajmniej z wyglądu człowiekiem.

- Nigdy się go nie bałeś? Nie czułeś się bezbronny?

- Jasne, że nie. Zawarliśmy braterstwo krwi.

- Co? - Dag raptownie podniósł głowę z oparcia.

- Braterstwo krwi. Wedle korelskiego rytuału.

- Zdziwiasz mnie. Nigdy bym się po tobie nie spodziewał czegoś tak patetycznego. Już prędzej po nim. Czemu rytuał był korelski?

- Jun przechodził wtedy fazę fascynacji Antarą Vanherią, pamiętasz chyba, tym korelskim średniowiecznym enselinem.

- Uzdrowicielem ciał i dusz - Dag pokiwał głową. - Jasne. Klon Mumii nie umiałby uzdrowić nawet samego siebie.

- Nie, wcale nie o to chodzi. Antara Vanheria był dobry. Juna pociąga w ludziach dobroć, próbuje ją naśladować. Wracając do rzeczy, Jun uważa, że kiedyś się z nim zaprzyjaźnisz.



- A co, miał jasnovidzenie? Mówił ci o tym?

- Nie. Ale ja go znam. Traktuje cię jak przyjaciela, więc pewnego dnia zostaniecie przyjaciółmi. Jun myśli kategoriami przyszłości. Teraźniejszość interesuje go umiarkowanie, a przeszłość jest jak mgła. On często nawet nie pamięta, co działo się wczoraj, myślą mu się dni, większość jego wspomnień sprzed lat jest niewyraźna i zatarta. Dla jego umysłu istnieje przede wszystkim to, co dopiero będzie, za moment czy za dziesięć lat. Jeśli uważa cię za przyjaciela, to znalazł powód w wydarzeniach, które nastąpią.

- Masz na myśli, że ujrzał to w jednym z wariantów przyszłości?

- Ja nie wiem, czy dla niego przyszłość innych ludzi dzieli się na jakieś warianty. Dostrzega ścieżki, ale zawsze odnosiłem wrażenie, że on i tak z góry wie, które z tych ścieżek wszyscy wybierzemy.

Dag odwrócił się w stronę bezwładnego ciała Juna. Enselin leżał w tylnym fotelu. Błada, wilgotna od potu twarz nie zdradzała żadnych oznak powrotu świadomości.

Oto żywa zagadka. Dag poczuł nagły skok adrenaliny. Miał przed sobą obcą istotę, działającą na poziomach tak potężnych, że fale zdarzeń pobudzały najgłębsze struktury Istnienia. Ludzie odbierali to jako serie anomalii i niewyjaśnionych zjawisk, występujących nawet w miejscach odległych o lata świetlne od terenu działania Unicestwacza. M-2-5 umiał generować przypadki i kierować losem - nikt nie wiedział, na jaką skalę.

Żywa, bezcenna zagadka. Bard znał realia, słusznie trzymał Wojownika na muszce. Normalny Wojownik spróbowałby zdobyć zagadkę na własność i sprzedać temu, kto da więcej. Chętni pchaliby się ze wszystkich stron, co prawda gotowi raczej zabić niż zapłacić. Tylko ktoś naprawdę cwany wyrwałby im pieniądze i uszedł z życiem.

Może i okazałbym się wystarczająco cwany - pomyślał Dag - ale na pewno nie jestem wystarczająco głupi. Ostatnie, czego bym pragnął, to znaleźć się w centrum uwagi wszystkich służb specjalnych Galaktyki. Nie - jeśli zagarnąć Unicestwacza, to po kryjomu i wyłącznie dla siebie. Złapać i okaleczyć. Wystarczy jeden zabieg neurochirurgiczny i Assahir zamieni się w bezwolne, bezmyślne narzędzie. Stokroć lepsze niż Fulko, potężniejsze niż każdy z Archontów. Z taką bronią... kto wie, do czego można by dojść?

Dziwne. Nie czuł nawet pokusy. Unicestwacz czy nie, dobrze mu się z Junem rozmawiało. Sporo czasu na stacji przegadali, przedyskutowali. O nauce, religii, psychologii, kulturze. Żal niszczyć taką inteligencję. I taką tajemnicę... Nie ma co, jeśli Jun to przewidział, to trafnie go rozpracował. Nawet teraz Dag nie zdobył się, by strzelić choćby ładunkiem ogluszającym do tego śmiertelnie groźnego człękokszałtnego stwora, który pewnie obudzi się lada chwila i znów storpeduje jego plany. Ładunek połączony z szokiem sucing mógłby go

zabić. Z tego, co wiedział, lej sucing generuje silny impuls, zaburzający stany subkwantowe w mikrotubulach neuronów; trochę potrwa, zanim psychomatrix znów wszystko wyskaluje według wzorca. Ale to wrażliwy proces; w tym stanie każdy dodatkowy wstrząs może sprawić, że wzorec się zachwieje, psychomatrix ulegnie destabilizacji i wtedy świadomość już nie wróci, a z człowieka zostanie warzywo. Dag nie chciał robić tego Junowi. Należało raczej zabrać z Instytutu stosowną dawkę metasanderinu. Właśnie - należało. Znakomity pomysł, tylko nieco spóźniony.

Dag uśmiechnął się krzywo. Shengli Xiang ukarałby go, i to dotkliwie, za tę sentymentalną słabość. Bo Shengli Xiang nie znał sentymentów. On widziałby w tej groźnej istocie Unicestwacza - nie Juna M'bo. Narzędzie - nie osobę. A jednak kiepskim okazał się mentorem. A Bard - kiepskim prorokiem. Dag zanadto obawiał się enselina, żeby odczuwać sympatię, lecz nie zmieniało to postaci rzeczy: wołał świat z Junem niż bez Juna. Nie wolno niszczyć kogoś tak niezwykłego.

Więc tak. Odtąd po Galaktyce będzie latać stanowczo zbyt wielu podludzi wiedzących o jego pobycie na Sanyasinie, o haśle qiangliyanów, o rozmowie z TINGLIT... Jedyna pociecha, że ci sami podludzie wiedzą, kim jest Jun. Dobrze i tyle. Jun na pewno nie zadawałby się z informatorami Agencji. Ostatni odnotowany kontakt Unicestwacza z heitai skończył się tym, że szczątki heitai trzeba było zeszkrobywać ze ścian. Trudno już jaśniej dać do zrozumienia, że Unicestwacz nie jest zainteresowany kontaktem z rzeczoną instytucją.

Dag powiódł wzrokiem po ekranach. Zbliżali się do stacji. Obszary nocy zostały daleko za nimi. Teraz przemierzali strefę późnego poranka. Cień statku przesuwiał się po pagórkach seledynowych obłoków, gładkich i lśniących w świetle olbrzymiej, złotoszarej tarczy Patni, rozpościerającej się w górze. Pogoda pogarszała się nieustannie. Chmury ciemniały. W pobliżu coraz częściej przelatywały gigantyczne błyskawice, strzelające w niebo i w ziemię z górnych warstw atmosfery. Zanurkowali w dół i przez warstwę oparów ześliznęli się tuż nad powierzchnię Sanyasina.

Zielonkawe chmury wisiały nisko nad lądem. Lodowiec ledwo majaczył, gęsto spowity płożącymi się mgłami, przez które walił z nieba gęsty, drobny grad.

Bard wywołał stację. Na ekranie łączności zaczęły skakać ostre drgające zakłócenia. Twarz Aune pojawiła się na moment i zaraz znikła znowu.

- Jesteście! - wykrzyknęła rozpromieniona. Jej słowa ledwo przedarły się przez trzaski.  
- Nareszcie! Wszyscy cali?

Bard uśmiechnął się pokrwawionymi wargami.

- Cali i zdrowi. Sule i Igor jeszcze nie dotarli? Ostrożnie podprowadził kosmolot do

zewnątrznej śluzy, zamaskowanej wśród lodowych iglic, kruszących się i rozpryskujących pod atakiem gradu. Śluza stanęła otworem; statek zanurzył się w okamgnieniu.

Na ekranie łączności obok Aune zaczęła przebłyskiwać twarz Orii. Zniekształcony obraz chwilami zanikał zupełnie, by zaraz później znów wyłonić się na sekundę spośród czarno-białych drgań.

- Co z Suleyem i Igorem? - spytała niespokojnie Aune. - Nie ma ich z wami? Rozdzieliliście się?

- Rozdzieliło nas trzęsienie ziemi. Oni lecą grawilotem, więc droga zajmie im dłużej, ale powinni zjawić się lada moment. Odczuliście wstrząsy?

- Tak, ale praktycznie nie ma żadnych szkód. Tyle, że łączność wysiada. Procedura śluzy dobiega końca, za chwilę otworzę wam hangar... A gdzie Jun? Razem z Suleyem i Igorem?

- Nie, mamy go tutaj. Leży z tyłu. Wpadł prościutko w lej sucing i jest wciąż nieprzytomny.

- Trzeba mu włączyć healera! Zresztą tobie też się przyda.

- Dzięki, że to zauważyłaś. Mimochodem, ale jednak. Nie ma to jak siostrzana troska.

- Nasz komputer twierdzi, że na tamtej półkuli wstrząsy były trochę silniejsze. To prawda?

- Trochę silniejsze? - Bard zaśmiał się i lewą ręką przesłał jej całusa. W prawej dłoni wciąż ścisnął miotacz. - Kocham cię, siostrzyczko. Jesteś absolutnie słodka z tymi niewinnymi oczkami. Instytutem zatrzęsło jak wszyscy diabli. Właściwie mogliby teraz oprowadzać turystów po ruinach, jak po wykopaliskach Troi. Tylko że Troja jest w zdecydowanie lepszym stanie.

- Żartujesz!

- Dag, czy ja żartuję?

Dag zastanowił się.

- No, to niezupełnie tak. Kiedyś istniało powiedzenie: *nec locus ubi Troia*. „Nie ma nawet miejsca po Troi”. A miejsce po Instytucie przecież zostało. I to, powiedziałbym, jeszcze ciepłe.

Bard wybuchnął śmiechem. Śmiejąc się na całe gardło, wprowadził statek do hangaru. A potem nacisnął spust.

Ułamek sekundy później Dag zwałił się na niego. Spojrzał Bardowi prosto w twarz szklistymi oczami, nim tęczówki uciekły mu w górę. Usta Wojownika rozchyliły się, ciało zwiotczało jak u szmacianej lalki i runęło bezwładnie. Stapleton mimo woli wydał zduszony,

bolesny jęk, czując, jak Yaoying całym ciężarem przygniata jego poobijane wnętrzności. Odepchnął go i sięgnął do pulpitu.

Ekran pociemniał.

- Mamy problemy z wizją! - krzyknęła Aune przez trzaski i piski. - Chyba w ogóle się zepsuła!

- To nie awaria, tylko zakłócenia na Patni. Bez fonii też się obejdziemy. Te upiorne dźwięki działają mi na nerwy.

Znów nachylił się nad pulpitem. Trzaski i piski zamilkły jak nożem uciał.

Wylądował, wyłączył napęd i odczekał, aż pokładowy kogiter oznajmi koniec procedury. Gdy pulpit sterowniczy poszarzał, a większość wskaźników zbladła, wstał i rozejrzał się po sterowni. Prawie od razu znalazł to, czego szukał. Niewielkie wgłębienie w ścianie mieściło pokładową apteczkę. Bard wyjął z zestawu mały, czarny krążek - strzykawkę pneumatyczną - a po chwili znalazł również miniaturową ampułkę z mocnym środkiem nasennym. Wprawnie umieścił ampułkę wewnątrz krążka i przestawił program z iniekcji jednorazowej na powtarzaną co sześć godzin arkadyjskich. Godzina arkadyjska liczyła sześćdziesiąt sześć i pół minuty; to powinno wystarczyć. Podwinął rękaw czarnego swetra Daga i umieścił krążek na przedramieniu. Strzykawka natychmiast przyssała się do gładkiej, wydepilowanej skóry i uwolniła pierwszą dawkę leku.

Bard rozsunął fotel do pozycji horyzontalnej i ułożył nieprzytomnego Wojownika na boku, tak by ciało spoczęło możliwie wygodnie. Chwilę przyglądał się śpiącemu. Pokręcił głową - niewiele brakowało... Jakim cudem zdążył jeszcze zareagować?

Potem nachylił się nad Junem. Twarz mu złagodniała. Dotknął jego czoła. Skóra była już sucha i ciepła, choć wciąż bardzo blada. Niebawem powinien odzyskać przytomność.

Dźwignął go i wyszedł z kosmolotu. Minutę spędzili w wewnętrznej śluzie, dzielącej hangar od pomieszczeń stacji, podczas gdy komputer sprawdzał, czy nie przywlekli z zewnątrz żadnych szkodliwych mikroobów. Wreszcie ściana śluzy pojaśniała, ścięczała i zamieniła się w ledwo widoczną błonę.

Bard przekroczył błonę szeroko uśmiechnięty. Sam pokrwawiony i posiniaczony, niosący w ramionach bezwładnego Juna, wyglądałby jak bohater z wirtu, gdyby nie to, że jego uśmiech ukazywał dwie zięjące szczyby w miejscu wybitych przez heitai przedtrzonowców.

Obie dziewczyny czekały przed śluzą. Aune podbiegła, wspięła się na palce i ucałowała go w brudny od krwi policzek. Potem pochyliła się nad Junem. Pogładziła ciemne włosy, patrząc z niespokojną miłością w pobladłą, ściągniętą twarz.

- Długo jest nieprzytomny?

- Gdzieś z godzinę.

Dłonie Aune musnęły policzki enselina w geście podejrzenia podobnym do pieszczoty.

- Skórę ma już normalną.

Oria podeszła również. Naraz Bard poczuł lekkie szarpnięcie z boku. Wojownicza momentalnie odskoczyła, trzymając jego miotacz. Wycelowała go pewną ręką. Twarz miała zimną jak lód.

- Gdzie mój brat?

- Na pokładzie kosmolotu. Zemdlął - skłamał Bard gładko.

- Zemdlął? Dag?

- Jest ranny. Nic groźnego, nie martw się.

Oria zacisnęła usta w wąską bezlitosną kreskę.

- Połóż Juna na podłodze. Szybko!

- A jeśli nie? - Bard spojrzał jej w oczy.

- To do was strzelę. Jun jest w szoku sucing, najślabszy ładunek może go zabić. Liczę do trzech. Raz... dwa...

Stapleton przyklęknął pod ścianą i ostrożnie położył enselina.

- Teraz oboje przesuniecie się w głąb korytarza.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Aune bardzo spokojnie.

- Obezwładnię was i sprawdzę, co naprawdę dzieje się z moim bratem. Jeśli zrobiliście mu coś złego, zrobię z wami dokładnie to samo. Tylko gorzej. Jeśli nie, wam też się nic nie stanie. Jazda!

- A Jun? - zapytała Aune, nie ruszając się z miejsca.

- Nie strzelę do niego. Po prostu dam mu po głowie, żeby prędko się nie obudził.

Teraz...

- Czy Dag powiedział ci, kim Jun jest naprawdę? - przerwał Bard.

Oczy Orii pomroczyły.

- Nie wciągaj mnie w rozmowy. Stoicie tuż koło niego. Zaraz strzelę. Dla jego dobra radzę, żebyście przesunęli się w głąb korytarza, możliwie jak najdalej. Szybko!

Dźwięczny głos Wojowniczkę przeszedł nagle w słyszalne westchnienie. Osunęła się jak podcięta. Miotacz wyleciał jej z dłoni i potoczył się po podłodze, nie wystrzelił jednak. Oria zapadła w głęboki sen.

Za plecami Barda Jun uniósł się na łokciach, tocząc wokół rozkojarzonym wzrokiem. Twarz enselina była już nie blada, lecz zielonkawa. Aune i Bard ukłękli przy nim jednocześnie i podtrzymali go.

- No, to się nazywa wycucie czasu! Leż, nie wolno ci się forsować.

Jun pokręcił głową i skrzywił się, siadając z trudem.

- Jesteśmy już na stacji?

Chwiejnie, jak pijany, zaczął się podnosić.

- Siedz, nie szarżuj!

Aune i Bard wspólnymi siłami przycisnęli go do podłogi. Nie stawiał oporu. Wyglądał, jakby walczył z gwałtownym atakiem mdłości.

- Co się dzieje? - wymamrotał.

- A, nic takiego. Nasi Wojownicy trochę się zbiesili. Próbowali chyba prysnąć z Sanyasina.

Jun pochylił głowę i utkwiał wzrok w dłoniach Aune, spoczywających na jego barku. Potem bez słowa podniósł oczy i spojrzał Aune w twarz.

Dziewczyna cofnęła się jak oparzona. Wstała z kolan, poprawiła blond loki.

- Bard, zostań z nim tutaj. Ja przyniosę healera - powiedziała chłodnym, rzeczowym tonem. - Jun, sprawdź tylko z łaski swojej, czy z Suleyem i Igozem wszystko w porządku.

Enselin nie odrywał od niej oczu. Usta wykrzywił mu dziwny grymas.

- Z Suleyem i Igozem...? Tak. Są nad stacją. Właśnie próbują nawiązać łączność...

Aune zakręciła się jak fryga i pobiegła do dyspozytorni.

- Ech, ty osłe - westchnął Bard z dezaprobatą.

Jun rzucił mu złe spojrzenie.

- Głowa mi pęka, ledwo żyję - syknął. - Zaraz mogę zwymiotować! Do szczęścia mi brakuje już tylko wykładu o moim intelekcie! Gdzie Dag? O, do diabła! Strzeliłeś do niego?

- Tak. Kiedy tylko oznajmił, że potrzebuje statku, zrozumiałem, że nasza gościnność już mu się znudziła. Nie mogłem ryzykować. Pamiętaj, że jako Assahir przedstawiasz wymierną wartość w pieniądzech.

- Mylisz się. Dag to nasz przyjaciel.

- Poinformowałem go o tym. Nie wydawał się przekonany.

Przez stację przebiegło drzenie. Bard upadł na czworaki, uderzając głową w kolano enselina. Jun zachwiał się i zrobił ruch, jakby próbował złapać się gołej ściany. Uspiona Oria przetoczyła się na plecy. Drzenie trwało tylko parę sekund. Ledwo ustało, Stapleton usiadł, odruchowo obmacując pokrwawiony nos. Łzy bólu pociekły mu po twarzy. Otarł je rękawem.

- Co to było? Czwarty wstrząs?

- I nie ostatni... - Jun odetchnął głęboko, zakaszał i przymknął podkrążone oczy. Wydawał się tak słaby i chory, że Bard odruchowo otoczył go ramieniem.

- Zostaw, już mi lepiej... Zaraz wstanę.

Nie od razu zdołał to zrobić, jednak gdy Sule i Igor przeniknęli przez błonę śluzu, ujrzeli Juna chwiejącego się niepewnie na nogach. Stał sam, choć Bard na wszelki wypadek wołał go nie odstępować.

Igor wszedł sprężystym krokiem, tryumfujący, roześmiany, niczym legendarny heros powracający z wyprawy pełnej przygód. Po raz pierwszy w życiu nadstawiał karku w śmiertelnie niebezpiecznej misji. Sukces upoił go jak młode wino.

- Widzę, że jednak przebiliście się przez kosmodrom!

- W całym tym zamieszaniu jakoś się nam udało - zbył go Bard beztrąsko. Igor nie należał jeszcze do organizacji, więc nie powinien wiedzieć o nadzwyczajnych talentach Daga Zaniewskiego.

Twarz Suleya pojaśniała na widok przyjaciół. Bez słowa pochylił się i zamknął ich obu naraz w niedźwiedzim uścisku. Jun przez moment oparł się na nim ciężko, zaraz jednak zacisnął zęby i znów z uporem stanął sam.

- A tej co się przytrafiło? - Igor trącił butem nieprzytomną Orię.

- Dostała ładunkiem ogłuszającym. Wojownicy chcieli uciec.

- Uciec? Powiedz raczej, że was zaatakowali! Od początku mówiłem, że tak się skończy! Czy to ten bandzior cię poharatał? Ech, Stapleton, naprawdę chciałbym ci użyczyć trochę rozumu!

- Igor, twoja hojność mnie wzrusza. Sam masz go tak mało...

W śluzie pojawił się healer, przysłany przez Aune. Robot był zmiennokształtny i wysoce funkcjonalny. Chwilowo przybrał formę wielkiej falującej płaszczyki w optymistycznym kolorze zielonym.

- Jun kuruje się pierwszy, ja drugi - Bard zademonstrował w uśmiechu wyszczerbione uzębienie. - No, panowie, wracamy z tarczą do domu!

Nie wszyscy, pomyślał Sule.

Podniósł Wojowniczkę. Nie omylił się wtedy w Migong - rzeczywiście ważyła niewiele. Na jej wytatuowanej twarzy malował się spokój, jakby śniła jakiś miły sen.

Ciekawe, jak spодoba jej się przebudzenie... Wojownicy nie wrócą do domu, nie mają zresztą w całym Wszechświecie nic przypominającego dom. Ockną się bardzo daleko od Sol Wangkuo - i nie na Medzie bynajmniej. Nawet nie w Galaktyce. Trafiają do miejsca, gdzie nie znajdzie ich ani tong, ani Agencja, ani nikt inny.

Do miejsca, z którego nie ma ucieczki.

Nie wiadomo, co stanie się z nimi potem.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO